

JOHN
GRISHAM



ZAWODOWIEC



ZAWODOWIEC

Nowy, tym razem zupełnie niedoskonały bohater
znajduje swoje miejsce w życiu pod niebem pięknej Italii

Rick Dockery budzi się w szpitalu – nie pamięta, po jakiej kontuzji
i w jakim meczu... Zawsze jest tak samo.

Przez sześć lat zaliczył osiem drużyn
i zawsze potrafił zmienić prawie pewną wygraną w totalną klęskę.

Fani żądają jego głowy.

Dziennikarze nie zostawiają na nim suchej nitki.

A prawnik depcze mu po piętach.

Tylko jedna drużyna na świecie jest skłonna podpisać z nim kontrakt:

Pantery z... Parmy.

Ale gdzie, u diabła, jest ta Parma?

We Włoszech wszystko jest inne i dziwne – ludzie, zwyczaje, jedzenie,
a zwłaszcza drużyna składająca się z samych amatorów. Lecz to właśnie
dzięki nim zawodowiec odkrywa przyjemność gry. I uświadamia sobie,
że ten zaskakujący na każdym kroku kraj słonecznych krajobrazów,
wspaniałej kuchni i wina, i serdecznych ludzi umiejących cieszyć się
życiem, to nie tylko krótki przystanek na kolejny sezon...

Barwy wąskich uliczek, zapachy zacisznych trattorii, smaki wina,
dźwięki operowych arii wypełniają nową powieść Johna Grishama.

Najpopularniejszy pisarz świata zabiera nas tym razem
w cudowną podróż do Włoch.

Twórca bestsellerów sprzedanych w 235 milionach egzemplarzy
raz jeszcze udowadnia, jak wszechstronnym jest pisarzem.

Autorem powieści dla każdego: dla miłośników sensacyjnej intrygi
i dla wytrawnych znawców literatury.



Cena det. zł 29,80

www.wydawnictwoamber.pl

978-83-241-3500-4



97824135004

JOHN
GRISHAM

ZAWODOWIEC

Przekład SŁAWOMIR KĘDZIERSKI

AMBER

Mojemu wieloletniemu wydawcy Stephenowi Rubinowi, wielkiemu miłośnikowi wszystkiego, co włoskie: opery, kuchni, wina, mody, języka i kultury.

Ale raczej nie futbolu.

Konsultacja specjalistyczna

Jędrzej Stęszewski, prezes Polskiej Ligi Futbolu Amerykańskiego

Redakcja stylistyczna Anna Tłuchowska

Korekta

Jolanta Kucharska

Katarzyna Pietruszka

Zdjęcia na okładce

© Jodi Cobb/Getty Images/Flash Press Media

© Rich LaSalle/Getty Images/Flash Press Media

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału

Playing for Pizza

Copyright © 2007 by Belfiy Holdings, Inc. All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2007 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-3500-4

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40
13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

1

SZPITALNE ŁÓŻKO, to wydawało się raczej pewne, chociaż pewność ta przyplływała i odpływała. Było wąskie i twarde, z lśniącymi metalowymi poręczami, które sterczały po bokach jak wartownicy i jak oni uniemożliwiały ucieczkę. Pościel gładka i bardzo biała. Sterylnie biała. W pokoju panował mrok, choć słońce usiłowało się przedostać szczelinami żaluzji zasłaniających okno.

Zamknął oczy. Nawet to bolało. Potem otworzył je znowu i chyba przez minutę udało mu się utrzymać uniesione powieki i skupić wzrok na otaczającym go zamglonym świetle. Leżał na wznak, unieruchomiony podwiniętym pod materac prześcieradłem. Z lewej strony dostrzegł rurkę. Zwisiała z jego ręki i znikiała gdzieś za nim. Z daleka, może z korytarza, dobiegał głos. Spróbował się poruszyć, tylko trochę przesunąć głowę, i to był błąd. Nic z tego nie wyszło, głowę i kark przeszył mu nieznośny ból. Jęknął głośno.

- Ocknąłeś się, Rick?

Głos był znajomy. Prawie natychmiast pojawiła się twarz. Arnie dyssał mu prosto w nos.

- Arnie? - powiedział słabym, zachrypniętym głosem i przelknął ślinę.

- To ja, Rick. Dzięki Bogu, ocknąłeś się.

Agent Arnie, zawsze przy nim w ważnych momentach.

- Gdzie jestem?

- W szpitalu.

- To wiem. Ale dlaczego?
- Kiedy się obudziłeś? - Arnie znalazł kontakt i obok łóżka zapaliła się lampka.

- Nie wiem. Kilka minut temu.

- Jak się czujesz?

- Jakby ktoś zmiądzzył mi czaszkę.

- Prawie zgadłeś. Wszystko będzie dobrze, zaufaj mi.

Zaufaj mi, zaufaj mi. Ile razy Arnie o to prosił? Prawdę mówiąc, nigdy tak do końca mu nie ufał i nie widział żadnego rozsądnego powodu, aby teraz zacząć. Bo co właściwie Arnie wie o ciężkich obrażeniach głowy czy w ogóle o jakichś innych śmiertelnych ranach?

Rick przymknął oczy, odetchnął głęboko.

- Co się stało? - spytał cicho.

Arnie zawahał się i przesunął dłoń po łysej głowie. Zerknął na zegarek. Szesnasta zero zero. Jego klient był nieprzytomny przez prawie dobę. Trochę za krótko, pomyślał ze smutkiem.

- Co ostatniego zapamiętałeś? - odpowiedział pytaniem na pytanie, ostrożnie nachylając się do przodu.

Po krótkiej chwili Rick zdołał wymamrotać:

- Pamiętam, jak zasuwam na mnie Bannister.

Arnie cmoknął z irytacją:

- Nie, Rick. To było dwa lata temu w Dallas, kiedy grałeś w Cowboysach.

Rick jęknął na samo wspomnienie, które Arniemu również nie sprawiło przyjemności. Jego klient - oczywiście bez kasku na głowie - siedział w kucki przy bocznej linii, gapiąc się na pewną cheerleaderkę, kiedy gra przeniosła się na tę stronę boiska i wgniotła go w ziemię mniej więcej tona rozpedzonych facetów. Klub z Dallas wywalił go dwa tygodnie później i znalazł, sobie innego trzeciego quarterbacka ¹.

- Rok temu byłeś w Seattle, a teraz jesteś w Cleveland, w Brownsach, pamiętasz?

Rick przypomniał sobie i jęknął nieco głośniej.

- Jaki dziś dzień? - zapytał. Był już całkiem przytomny.

- Poniedziałek. Mecz był wczoraj. Pamiętasz coś z niego? - Jeżeli masz szczęście, to nie, miał ochotę dodać. - Zawolałam pielęgniarkę. Czeka na zewnątrz.

- Jeszcze nie, Arnie. Powiesz mi, co się stało?

- Rzuciłeś podanie i zostałeś wzięty w kleszcze. Purcell zaszarżował ze słabej strony ² i urwał ci łeb. Nawet go nie widziałeś.

- A czemu grałem?

O, to doskonale pytanie, które powtarzano we wszystkich audycjach sportowych w Cleveland i na całym górnym Środkowym Zachodzie. Dlaczego grał w tym meczu? Dlaczego był w drużynie? Skąd się u diabła wziął?

- Porozmawiamy o tym później - powiedział Arnie, a Rick był zbyt słaby, by się spierać. Poobijany mózg niechętnie zaczynał działać, otrząsając się ze śpiączki i próbując się obudzić. Drużyna Brownsów. Stadion Brownsów z rekordową widownią w bardzo zimne niedzielne popołudnie. Play-offy, a nie coś poważnego - mecz o mistrzostwo AFC ³.

Ziemia była zmrożona, twarda jak beton i równie zimna.

W pokoju pojawiła się pielęgniarka i Arnie oznajmił:

- Chyba już doszedł do siebie.

- Wspaniale - odparła bez entuzjazmu i równie apatycznie dodała:
- Pójdę po lekarza.

Nie poruszając głową, Rick patrzył jak wychodzi. Arnie z chrzęstem wylamywał sobie palce, gotowy w każdej chwili dać nogę.

- No, Rick, powinienem się zbierać.

- Jasne, Arnie. Dzięki.

- Żaden problem. Słuchaj, nie ma miłego sposobu, żeby to przekazać, dlatego po prostu to powiem. Dziś rano zadzwonili Brownsi, Wacker, i cóż, zwolnili cię. - Zwolnienia po zakończeniu sezonu stały się obecnie niemal rutyną. - Przykro mi - dodał, ale tylko dlatego, że musiał.

- Zadzwon do innych drużyn - powiedział Rick, z całą pewnością nie mówił tego po raz pierwszy.

- Chyba nie będę musiał. Sami do mnie dzwonią.

- Wspaniale.

- Niezupełnie. Dzwonią, aby mnie uprzedzić, żebym do nich nie telefonował. Obawiam się, że to może być koniec, chłopie.

Jasne, że to koniec, ale Arnie nie był w stanie zdobyć się teraz na taką szczerość. Może jutro. Osiem drużyn w ciągu sześciu lat. Tylko Toronto Argonauts ⁴ odważyli się przedłużyć kontrakt na drugi sezon. Każdy zespół musi mieć zamiennika dla swojego rezerwowego quarterbacka, a Rick idealnie nadawał się do tej roli. Problemy zaczynały się dopiero, kiedy wychodził na boisko.

- Muszę lecieć. - Arnie znowu zerknął na zegarek. - I wiesz co, wyświadczyć sobie przysługę i nie włączaj telewizora. Strasznie są cięci, zwłaszcza w ESPN. - Poklepał go po kolanie i niemal wybiegł z pokoju. Przed drzwiami dwóch potężnych ochroniarzy siedziało na składanych krzesłach i usiłowało nie zasnąć.

Arnie zatrzymał się przy dyżurce pielęgniarek, zamienił słowo z lekarzem, który w końcu ruszył korytarzem, minął ochroniarzy i wszedł do pokoju Ricka. Jego podejście do pacjenta pozbawione było ciepła - szybka, rutynowa kontrola, prawie żadnej rozmowy. Potem badania neurologiczne.

- To kolejne wstrząśnienie mózgu, już trzecie, prawda?
- Chyba tak - odparł Rick.
- Zastanawiał się pan nad innym zajęciem? - spytał doktor.
- Nie.

A chyba powinieneś, pomyślał lekarz i to nie tylko ze względu na kolejny uraz mózgu. Trzy przechwyty w jedenastu minutach gry powinny dać ci do zrozumienia, że futbol nie jest twoim powołaniem. Do pokoju cicho weszły dwie pielęgniarki, by pomóc przy testach i wypełnianiu dokumentów. Żadna nie odezwała się do pacjenta ani słowem, chociaż był niezonatym, przystojnym, dobrze zbudowanym zawodowym sportowcem. Właśnie teraz, kiedy ich potrzebował, zupełnie się nim nie interesowały.

Gdy tylko znowu został sam, zaczął ostrożnie szukać pilota. W rogu na ścianie wisiał wielki telewizor.

Rick miał zamiar od razu włączyć ESPN i mieć to z głowy. Każdy ruch powodował ból nie tylko głowy i karku. U dołu pleców czuł coś, co przypominało ranę po nożu. Łokieć lewej ręki, tej, którą nie rzucał, pulsował z bólu.

Wzięty w kleszcze? Miał wrażenie, że przejechała go ciężarówka z cementem.

Pielęgniarka wróciła z jakimiś pigułkami na tacy.

- Gdzie jest pilot? - spytał Rick.
- Telewizor jest zepsuty.
- Arnie wyciągnął wtyczkę, tak?
- Jaką wtyczkę?
- Od telewizora.
- Jaki Arnie? - odparła, manipulując przy dużej igle.
- Co to takiego? - zainteresował się Rick, zapominając na chwilę o Arniem.

- Vicodin. Pomoże panu zasnąć.
- Mam już dość spania.
- Ale to polecenie lekarza. Potrzebuje pan dużo wypoczynku. -

Wpuściła lek do zbiorniczka z kroplówką i przez chwilę przyglądała się przezroczystemu płynowi.

- Kibicuje pani Brownsom?
- Ja nie, ale mój mąż tak.
- Był wczoraj na meczu?
- Tak.
- Było bardzo źle?
- Nie chce pan tego wiedzieć.

KIEDY SIĘ OBUDZIŁ, Arnie znowu siedział na krześle przy łóżku i czytał „Cleveland Post”. Rick z trudem mógł odczytać nagłówek u dołu pierwszej strony: „Kibice szturmują szpital”.

- Co takiego? - odezwał się najgłośniej jak potrafił. Arnie szybko złożył gazetę i zerwał się na równe nogi.

- Dobrze się czujesz, chłopie?
- Cudownie. Jaki dziś dzień?
- Wtorek, wtorek rano. Jak się czujesz?
- Daj mi tę gazetę.
- A co chcesz wiedzieć?
- Wszystko.
- Oglądałeś telewizję?
- Nie. Przecież wyciągnąłeś wtyczkę. Opowiadaj.

Arnie strzelił palcami, podszedł do okna i lekko rozchylił żaluzje. Zerknął w szczelinę, jakby kłopoty kryły się na zewnątrz.

- Wczoraj przyszło tu kilku chuliganów i urządziło awanturę. Gli-niarze dobrze załatwili sprawę, zamknęli jakiś tuzin. Zwykła banda łobuzów. Kibole Brownsów.

- Ilu?

- W gazecie twierdzą, że ze dwudziestu. Po prostu pijani.

- Ale po co tu przyszli, Arnie? Jesteśmy sami: agent i zawodnik. Drzwi są zamknięte. Oświeć mnie, proszę.

- Dowiedzieli się, że tu jesteś. Ostatnio mnóstwo ludzi ma ochotę cię rozwalić. Otrzymałeś setkę listów, w których grożą ci śmiercią. Kibice są zdenerwowani. Grożą nawet mnie. - Arnie oparł się o ścianę wyraźnie zadowolony, że warto grozić nawet jemu. - Ciągłe nic nie pamiętasz? - zapytał.

- Nie.

- Jedenaście minut przed końcem Brownsi prowadzili z Bron-cosami siedemnaście do zera, co nawet w przybliżeniu nie oddaje tego, jak skopali im tyłek. Po trzech kwartach Broncoosi zdobyli w końcu nędzne osiemdziesiąt jeden jardów ofensywnych i tylko trzy, zwróć uwagę, trzy pierwsze próby. Kojarzysz?

- Nic.

- Quarterbackiem jest Ben Marroon, bo Nagle w pierwszej kwarcie naciągnął ścięgno udowe.

- Teraz sobie przypominam.

- Jedenaście minut przed końcem Marroon został skasowany już po zakończeniu zagrania. Znoszą go. Nikt się nie martwi, obrona Brownsów mogłaby zatrzymać generała Pattona i jego czołgi. Wycho-dzisz na boisko w sytuacji trzecia i dwanaście ⁵ i rzucasz piękne poda-nie do Sweeneya, który oczywiście gra w Broncosach. Czterdzieści jardów później Sweeney jest w polu punktowym. Pamiętasz coś z tego?

Rick wolno zamknął oczy.

- Nie.

- I nie staraj się za bardzo sobie przypomnieć. Obie drużyny mu-szą odkopać piłkę, ale później Broncoosi ją gubią. Sześć minut przed końcem, w sytuacji trzecia i osiem, wykonujesz krótkie podanie do

Bryce'a, piłka leci za wysoko i przechwytuje ją ktoś w białej koszulce. Nie pamiętam nazwiska, ale facet umie biegać i zmienia przechwyt na przyłożenie. Siedemnaście do czternastu. Cały stadion wstrzymuje oddech, ponad osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Przed kilkoma minutami już świętowali. Pierwszy Super Bowl w historii i tak dalej. Broncosi wykopują ⁶, Brownsi trzykrotnie biegną, bo Cooley nie decyduje się na zagranie górą ⁷. To powoduje, że Brownsi punktują ⁸. Albo przynajmniej próbują. Wprowadzenie piłki do gry jest niedokładne i Broncosi odzyskują piłkę na trzydziestym czwartym jardzie od pola punktowego Brownsów. Nie ma żadnego zagrożenia, bo wkurzona obrona Brownsów w trzech próbach cofa przeciwników o piętnaście jardów, poza zasięg kopnięcia z pola. Teraz Broncosi punktują, zaczynacie na swoim szóstym jardzie i przez następne cztery minuty udaje się wam przeciśkać przez środek ich linii obrony. Seria zagrań utyka jednak w środku boiska. Trzecia i dziesięć - czterdzieści sekund do końca. Brownsi boją się podawać, ale jeszcze bardziej boją się punktować. Nie wiesz, jakie zagrywki wybierze Cooley, ale znowu się gapisz i rzucasz bombę w stronę prawej linii bocznej do Bryce'a, który stoi zupełnie niepilnowany. Prosto w ręce.

Rick spróbował usiąść, na chwilę zapominając o swoich obrażeniach.

- Nic nie pamiętam.

- Prosto w ręce, ale o wiele za mocno. Piłka odbija się Bryce'owi od piersi, leci w górę, przechwytuje ją Goodson i pędzi z nią do ziemi obiecanej. Brownsi przegrywają siedemnaście do dwudziestu jeden. Leżysz na ziemi, niemal przecięty na pół. Kładą cię na noszach i kiedy wywożą cię z boiska, połowa tłumu wyje, a druga wiwatuje jak szalona. Niezwykły dźwięk, nigdy dotąd nie słyszałem niczego podobnego. Paru pijanych zeskakuje z trybun i biegnie do noszy - zabiliby cię chyba, gdyby nie ochrona. Niezła burda, i puszczali ją w całości w wieczornych programach.

Rick opadł na łóżko. Leżał płasko, oczy miał zamknięte, ciężko oddychał. Migrena wróciła razem z ostrymi bólami karku i kręgosłupa. Gdzie są lekarstwa?

- Przykro mi, chłopie - mruknął Arnie. W ciemności pokój sprawiał miłsze wrażenie, zasunął więc żaluzje i znów usiadł na krześle z

gazetą w rękę. Jego klient nawet się nie poruszył, wyglądał jak martwy.

Lekarze chcieli go wypisać, ale Arnie upierał się, że Rick potrzebuje jeszcze kilku dni wypoczynku i ochrony. Za ochronę płacili Brownsi, a to ich wcale nie cieszyło. Drużyna pokrywała również koszty leczenia i pewnie wkrótce zaczną narzekać.

Arnie też miał wszystkiego dosyć. Kariera Ricka, jeżeli w ogóle pasowała tu takie określenie, była skończona. Arnie dostawał pięć procent, a pięć procent zarobków Ricka nie wystarczało nawet na pokrycie kosztów.

- Nie śpisz? - zapytał.

- Nie - odparł Rick, nie otwierając oczu.

- Posłuchaj mnie, okej?

- Słucham.

- W mojej pracy najtrudniej jest powiedzieć graczowi, że pora kończyć. Grałeś całe życie, to wszystko, co umiesz, wszystko, o czym marzyłeś. Nikt nigdy nie jest gotów, by dać sobie spokój. Ale, Rick, stary, pora powiedzieć dość. Nie ma wyjścia.

- Mam dwadzieścia osiem lat, Arnie. - Rick otworzył oczy. Malował się w nich smutek. - Co twoim zdaniem miałbym robić?

- Wielu graczy bierze się do trenowania. I do handlu nieruchomościami. Byłeś bystry i zrobiłeś dyplom.

- Zrobiłem dyplom z wychowania fizycznego, Arnie. A to znaczy, że mogę uczyć siatkówki szóstoklasistów za czterdzieści tysięcy rocznie. Nie jestem na to przygotowany.

Arnie wstał i zaczął spacerować przy nogach łóżka. Sprawiał wrażenie głęboko zamyślonego.

- A może pojechałbyś do domu, trochę odpoczął i przemyślał sprawę?

- Do domu? A gdzie to jest? Mieszkałem w wielu różnych miejscach.

- Twój dom jest w Iowa, Rick. Wciąż cię tam kochają. - I bardzo kochają cię w Denver, pomyślał Arnie, ale rozsądnie zachował tę uwagę dla siebie.

Myśl, że ktoś mógłby go zobaczyć na ulicach Davenport, w stanie Iowa, przeraziła Ricka. Jęknął cicho. Miasto zapewne czuło się

upokorzone grą swojego syna. Au. Pomyślał o biednych rodzicach i zamknął oczy.

Arnie zerknął na zegarek. Z jakiegoś powodu dopiero teraz zauważył, że w pokoju nie ma żadnych kart z życzeniami ani kwiatów. Pielęgniarki powiedziały mu, że Ricka nie odwiedził żaden przyjaciel, członek rodziny, kolega z drużyny, nikt nawet luźno związany z Brownami.

- Muszę lecieć, chłopie. Wpadnę jutro.

Wychodząc, nonszalanckim gestem rzucił gazetę na łóżko. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Rick chwycił ją, ale szybko tego pożałował. Według oceny policji pięćdziesięciosobowa grupa urządziła hałaśliwą demonstrację pod szpitalem. Sytuacja zrobiła się paskudna, kiedy przyjechała ekipa telewizyjna i zaczęła filmować. Rozbito okno, kilku bardziej pijanych kiboli wpadło do izby przyjęć pogotowia, szukając Ricka Dockery'ego. Ośmiu aresztowano. U dołu pierwszej strony - na wielkim zdjęciu, zrobionym zanim doszło do aresztowań - widać było tłum. I dwa bardzo czytelne, prymitywne transparenty: „Odłączyć go od aparatury!” i „Zalegalizować eutanazję!”

Dalej było jeszcze gorzej. „Post” miał bardzo znanego dziennikarza sportowego, niejakiego Charlesa Craya, wrednego pismaka specjalizującego się w agresywnym dziennikarstwie. Wystarczająco sprytny, by stać się wiarygodny, był bardzo popularny Zachwycał czytelników opisywaniem kiksów i potknięć zawodowych sportowców, którzy zarabiali miliony, ale daleko im było do doskonałości. Był specjalistą od wszystkiego i nigdy nie marnował okazji, by zadać cios poniżej pasa. Jego wtorkowa kolumna - na pierwszej stronie działu sportowego - miała tytuł: *Czy Cockerly powinien zostać Superbaranem wszech czasów?*

Znając Craya, nie było żadnej wątpliwości, że Rick Dockery otrzyma ten tytuł.

Treścią dobrze przygotowanego i ostro napisanego artykułu były opinie Craya o największych wpadkach, kiksach i pomyłkach w historii sportu. O tym, jak Bill Buckner przepuścił między nogami łatwą piłkę w bejsbolowej World Series 9 z 1986 roku, a Jackie Smith upuścił podanie na przyłożenie w Super Bowl XIII, i tak dalej.

Ale, jak wyjaśniał dobitnie swoim czytelnikom Cray, to tylko pojedyncze zagrania. A pan Dockery zdołał wykonać trzy - policzcie sami - trzy koszarne podania w ciągu zaledwie jedenastu minut.

Z czego oczywiście wynika, że Rick Dockery jest niekwestionowanym Superbaranem w historii sportu zawodowego. Werdykt nie podlegał dyskusji, Cray rzucał wyzwanie każdemu, kto odważyłby się mieć inne zdanie.

Rick cisnął gazetą w ścianę i poprosił o następną pigułkę. Samotny, w ciemności za zamkniętymi drzwiami czekał, aż magia leku zadziała, pozbawi go przytomności, a potem, przy odrobinie szczęścia, także życia.

Zakopał się głębiej w łóżku, naciągnął kołdrę na głowę i zaczął płakać.

2

PADAŁ ŚNIEG. Arnie miał dosyć Cleveland. Na lotnisku, czekając na rejs do Las Vegas, do domu, wbrew zdrowemu rozsądkowi zadzwonił do mniej ważnego wiceprezesa Arizona Cardinals.

Obecnie, nie licząc Ricka Dockery'ego, Arnie miał siedmiu graczy w NFL i czterech w Kanadzie. Prawdę mówiąc, był agentem ze środka listy, ale oczywiście miał większe ambicje. Telefony w sprawie Ricka Dockery'ego nie mogły dobrze wpłynąć na jego wiarygodność. W tym fatalnym momencie Rick był wprawdzie graczem, o którym wiele się mówiło, ale nie na takiej popularności zależało Arniemu. Wiceprezes był uprzejmy, choć odpowiadał lakonicznie i niejasno, najwyraźniej chciał jak najszybciej odłożyć słuchawkę.

Arnie poszedł do baru, zamówił drinka i znalazł miejsce daleko od jakiegokolwiek telewizora, ponieważ jedyną sprawą, którą wałkowano w Cleveland, były trzy przechwyty podań nieznanego nikomu quarterbacka - nawet nie wiadomo, że gra w drużynie. Brownsi przebrnęli przez cały sezon z kulejącym atakiem, ale mordercza obrona była rekordy najmniejszych strat jardowych i punktowych. Przegrali tylko raz i po każdej wygranej miasto, które marzyło o Super Bowl, coraz bardziej uwielbiało swoich uroczych do niedawna nieudaczników. Nagle, w czasie jednego sezonu Brownsi stali się zabójcami.

Gdyby wygrali w niedzielę, ich przeciwnikami w rozgrywkach Super Bowl byłiby Minnesota Vikings, drużyna, która w listopadzie rozgromili do zera.

Całe Cleveland czuło już słodki smak mistrzowskiego tytułu.

I wszystko to zniknęło w ciągu jedenastu koszmarnych minut.

Arnie zamówił drugiego drinka. Dwaj coraz bardziej zawiani akwizytorzy przy sąsiednim stoliku świętowali przegraną Brownsów. Pochodzili z Detroit.

Najbardziej sensacyjną wiadomością dnia było wywalenie dyrektora naczelnego Brownsów, Clyde'a Wackera. Do ubiegłego tygodnia był uważany za geniusza, ale obecnie stał się idealnym kozłem ofiarnym. Kogoś trzeba wylać, i to nie tylko Ricka Dockery'ego. Kiedy więc w końcu ustalono, że w październiku to Wacker zatrudnił Ricka, właściciel drużyny go zwolnił. Egzekucję przeprowadzono publicznie - na wielkiej konferencji prasowej, gdzie demonstrowano zmarszczone czoła, a także składano mnóstwo obietnic wprowadzenia większej kontroli i tak dalej. Brownsi powrócą!

Archie poznał Ricka, kiedy ten był na ostatnim roku studiów w Iowa, pod koniec sezonu, który rozpoczął bardzo obiecująco, ale zakończył trzeciorzędnym meczem pucharowym ¹⁰. W poprzednich dwóch sezonach Rick zaczął występować jako quarterback i wydawał się doskonale pasować do agresywnego ataku, tak rzadko spotykanego w Big Ten ¹¹. Czasami był wspaniały - odczytywał zamiary przeciwników jeszcze przed wprowadzeniem piłki do gry, rzucał niewiarygodnie mocno. Miał niezwykle ramię, niewątpliwie najlepsze w nadchodzącym naborze ¹². Potrafił rzucać daleko i mocno, z błyskawicznym zamachem. Ale był jednocześnie nieobliczalny, nie można mu było zaufać, a kiedy w ostatniej rundzie naboru wybrała go drużyna z Buffalo, powinien uznać to za wyraźny znak, że lepiej byłoby ukończyć studia albo zrobić licencję maklerską.

Zamiast tego na dwa nieudane sezony pojechał do Toronto, a następnie zaczął kręcić się przy NFL. Z trudem, tylko dzięki wspaniałemu ramieniu załapał się do składu. Każda drużyna potrzebuje trzeciego rezerwowego quarterbacka. W czasie sprawdzianów, a było ich wiele, oszałamiał trenerów swoimi rzutami. Pewnego dnia w Kansas City Arnie widział, jak posłał piłkę na odległość osiemdziesięciu jardów, a kilka minut później rzucił bombę lecącą z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

Ale Arnie wiedział o czymś, co większość trenerów zaczęła podejrzewać. Rick obawiał się kontaktu fizycznego. Nie przypadkowych uderzeń czy powalenia, gdy zdecydował się pobiec z piłką. Rick - nie bez powodu - bał się szarżujących graczy obrony.

W każdym meczu jest jedna lub dwie takie chwile, kiedy pojawi się szansa podania do nieobstawionego skrzydłowego, ale wówczas nieblokowany, potężny liniowy szarżuje na quarterbacka. Wtedy rozgrywający ma do wyboru zacisnąć zęby, poświęcić się i postawić drużynę na pierwszym miejscu; wykonać to cholerne podanie, po którym zostanie rozdeptany, albo schować piłkę pod pachę i modłać się, by dożyć do następnego zagrania, biec z nią w stronę pola punktowego rywali. Arnie nigdy nie widział, by Rick postawił dobro drużyny na pierwszym miejscu. Gdy tylko czuł presję obrońców, rozpaczliwie uciekał z piłką w stronę linii bocznej.

No cóż, przy jego skłonności do wstrząśnięć mózgu Arnie właściwie nie mógł mieć pretensji.

Zadzwoił do bratanka właściciela Ramsów, który od razu zapytał:

- Mam nadzieję, że nie chodzi o Dockery'ego?
- Cóż, tak - zdołał wykrztusić Arnie.
- Odpowiedź brzmi: nie, do cholery.

Od niedzieli Arnie rozmawiał z mniej więcej połową drużyn NFL. Reakcja Ramsów była dość typowa. Rick nie wiedział, że jego smutna, byle jaka kariera legła w gruzach.

Arnie zobaczył na monitorze, że jego lot jest opóźniony. Jeszcze tylko jeden telefon, przyrzekł sobie. Jeszcze jedna próba znalezienia Riccowi pracy i zajmie się innymi graczami.

KLIENCI POCHODZILI Z PORTLAND i chociaż mężczyzna nazywał się Webb, a kobieta była blada jak Szwedka, oboje twierdzili, że w ich żyłach płynie włoska krew i że bardzo chcą zobaczyć stary kraj, gdzie wszystko miało swój początek. Każde z nich znało może sześć słów po włosku i wszystkie sześć wymawiało fatalnie. Sam podejrzewał, że na lotnisku kupili przewodnik i nad Atlantykiem przyswoili sobie parę podstawowych zwrotów. W czasie poprzedniej podróży do Włoch mieli

miejscowego kierowcę i przewodnika w jednej osobie, który „okropnie” mówił po angielsku. Dlatego tym razem zażądali, by zajął się nimi Amerykanin, porządny jankes. Będzie umiał załatwić posiłki i kupić bilety. Po dwóch wspólnie spędzonych dniach Sam był gotów odesłać ich z powrotem do Portland.

Nie był ani kierowcą, ani przewodnikiem, ale niewątpliwie Amerykaninem, a ponieważ w pracy zarabiał mało, od czasu do czasu dorabiał na boku, zajmując się przyjezdnymi rodakami, którzy potrzebowali kogoś, kto by ich poprowadził za rączkę.

Czekał w samochodzie. Klienci bardzo długo jedli obiad w Lazzaro, starej trattorii w centrum miasta. Było zimno, padał śnieg. Popijając mocną kawę, jak zawsze zaczął rozmyślać o składzie drużyny. Sygnał komórki go zaskoczył. Telefon był ze Stanów.

- Halo - powiedział.
- Z Samem Russo proszę - usłyszał zdecydowany głos.
- Przy telefonie.
- Trener Russo?
- Tak, to ja.

Facet wyjaśnił, że nazywa się Arnie jakiś tam, że jest swego rodzaju agentem i twierdził, że w 1988 roku był menedżerem drużyny futbolowej z Bucknell. Sam grał w tej drużynie kilka lat wcześniej, szybko więc znaleźli wspólny język. Po kilku minutach wspomnień i pytań byli już na przyjacielskiej stopie. Sam z przyjemnością gawędził z kimś co prawda zupełnie obcym, ale jednak ze starej szkoły.

Poza tym rzadko dzwonił do niego agenci.

W końcu Arnie przeszedł do rzeczy.

- Tak, oglądałem play-offy - odparł Sam.
- Reprezentuję Ricka Dockery'ego. Brownsi go zwolnili - oznajmił Arnie.

Nic dziwnego, pomyślał Sam, ale słuchał dalej.

- Obecnie Rick rozważa różne możliwości. Słyszałem, że potrzebujesz rozgrywającego.

Sam niemal upuścił komórkę. Prawdziwy quarterback z NFL miałby grać w Parmie?

- Dobrze słyszałeś - przyznał. - W ubiegłym tygodniu mój rozgrywający zrezygnował i zajął się trenowaniem gdzieś w stanie Nowy Jork. Bardzo chętnie wzięlibyśmy Dockery'ego. Jest w porządku? Mam na myśli fizycznie.

- Jasne. Trochę poobijany, ale gotów do gry.

- I chciałby grać we Włoszech?

- Być może. Prawdę mówiąc, nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, nadal leży w szpitalu, ale sprawdzamy wszystkie możliwości. Uważam, że powinien zmienić klimat.

- Wiesz, jak wyglądają tutejsze rozgrywki? - spytał nerwowo Sam.

- To niezły futbol, ale zupełnie inny niż NFL i Big Ten. Ci chłopcy nie są zawodowcami w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

- Jaki poziom?

- Nie wiem. Trudno powiedzieć. Słyszałeś kiedyś o szkole Washingtona i Lee w Wirginii? Fajna szkoła, dobry futbol, trzecia dywizja¹³?

- Jasne.

- Przyjechali w ubiegłym roku w czasie ferii wiosennych i graliśmy z nimi parę sparringów. Mniej więcej jak równy z równym.

- Trzecia dywizja? - W głosie Arniego usłyszał jakby mniej zapału.

Z drugiej strony, Rick nie potrzebował teraz twardej gry. Jeszcze jedna taka kontuzja i rzeczywiście skończy się uszkodzeniem mózgu, o którym tak często wspominali w żartach. Tak naprawdę Arniego już to nie obchodziło. Jeszcze jeden, dwa telefony i Rick Dockery będzie historią.

- Posłuchaj, Arnie- zaczął z naciskiem Sam. Czas na szczerość. - Włoski futbol to sport amatorski, może oczko wyżej. Każda drużyna w serii A ma trzech amerykańskich graczy, którzy zwykle dostają pieniądze na wyżywienie i czasem trochę na zakwaterowanie. Każdy quarterback to zwykle Amerykanin i otrzymuje niewielką pensję. Reszta drużyny to twardzi Włosi. Grają, bo kochają futbol. Jeżeli mają szczęście, a właściciel jest w dobrym humorze, mogą po meczu dostać pizzę i piwo. W sezonie gramy osiem spotkań, później play-offy, a potem jest szansa na włoski Super Bowl. Stadion jest stary, ale sympatyczny, dobrze

utrzymany, ma jakieś trzy tysiące miejsc na trybunach, przy ważnym meczu można mieć komplet. Mamy sponsorów, ale żadnych kontraktów telewizyjnych i pieniędzy wartych wspomnienia. Jesteśmy w królestwie europejskiego futbolu, kibice amerykańskiego futbolu to raczej margines.

- Jak tam trafiłeś?

- Kocham Wiochy. Moi dziadkowie wyemigrowali stąd i osiedlili się w Baltimore. Tam się wychowałem. Ale mam tutaj mnóstwo kuzynów. Moja żona jest Włoszką. To cudowne miejsce. Nie zarabiam wiele jako trener amerykańskiego futbolu, ale świetnie się bawimy.

- Trenerzy dostają pensje?

- Można tak powiedzieć.

- Są tam inne odrzuty z NFL?

- Od czasu do czasu pojawia się jakaś zbłąkana dusza marząca o Super Bowl. Ale najczęściej Amerykanie to zawodnicy z małych uczelni, którzy kochają grę i czują żądzę przygód.

- Ile możecie zapłacić mojemu człowiekowi?

- Muszę zapytać właściciela.

- Zrób to, a ja pogadam z klientem.

Rozłączyli się po kolejnej anegdocie z Bucknell i Sam znowu zajął się kawą. Quarterback z NFL grający we Włoszech? Trudno to sobie wyobrazić, chociaż kiedyś już się to zdarzyło. Dwa lata wcześniej wojownicy z Bolonii grali we włoskim Super Bowl z czterdziestodwuletnim rozgrywającym, który swego czasu występował krótko w drużynie z Oakland. Zrezygnował po dwóch sezonach i pojechał do Kanady.

Sam przykręcił trochę ogrzewanie w samochodzie i zaczął przypominać sobie ostatnie minuty meczu Brownsów z Broncosami. Nigdy dotąd nie widział, by zawodnik w tak absolutny sposób przyczynił się do klęski swojej drużyny i przegrał wygrany mecz. Niemal bił brawo, gdy Dockery'ego znoszono z boiska.

A jednak pomyślił, by poprowadzić go w Parmie, uważał za interesujący.

3

CHOCIAŻ PAKOWANIE SIĘ I WYPROWADZKA stały się już właściwie rutyną, wyjazd z Cleveland był bardziej nerwowy niż dotychczasowe. Ktoś dowiedział się, że wynajmuje mieszkanie na siódmym piętrze szklanego domu nad jeziorem i kiedy przejeżdżał przez bramę swoim czarnym tahoe, koło wartowni kręciło się dwóch kudłatych dziennikarzy z aparatami fotograficznymi. Zaparkował w podziemnym garażu i szybko poszedł do windy. Przez drzwi usłyszał, jak dzwoni telefon w kuchni. Przyjemną wiadomość w poczcie głosowej zostawił sam Charley Cray.

Trzy godziny później samochód SUV był już wyładowany ubraniami, kijami golfowymi i sprzętem stereo. Po trzynastu kursach w górę i w dół windą - policzył je - kark i ramiona upiornie go bolały. Ból pulsował również w skroniach, lekarstwa niewiele pomagały. Właściwie nie powinien prowadzić po ich zażyciu, mimo wszystko jednak usiadł za kierownicą.

Wyjeżdżał, uciekał z Cleveland, z wynajmowanego mieszkania, od wynajętych mebli, od Brownsów i ich obrzydliwych fanów, byle dalej.

Rozsądnie wynajął mieszkanie tylko na sześć miesięcy. Od ukończenia college'u żył w wynajmowanych mieszkaniach z wynajmowanymi meblami i nauczył się nie gromadzić zbyt wielu rzeczy.

Przebił się przez korek w śródmieściu, udało mu się po raz ostatni zerknąć w lusterko na panoramę Cleveland. No i świetnie! Cieszył się,

że zostawia to miasto za sobą. Przysiągł sobie, że nigdy tu nie wróci, chyba tylko po to, by zagrać przeciwko Brownsom, ale postanowił też nie myśleć o przyszłości. W każdym razie nie przez najbliższy tydzień.

Kiedy pędził przez przedmieścia, przyznał w duchu, że niewątpliwie Cleveland bardziej cieszy się z jego wyjazdu niż on.

Jechał na zachód, mniej więcej w kierunku stanu Iowa, ale nie czuł entuzjazmu, powrót do domu wcale go nie cieszył. Ze szpitala tylko raz zadzwonił do rodziców. Matka zapytała, jak jego głowa, i błagała, żeby przestał grać, a ojciec chciał wiedzieć, o czym u diabła myślał, kiedy rzucił ostatnie podanie.

- Jak sytuacja w Davenport? - zapytał w końcu Rick. Obaj wiedzieli, o co chodzi. Na pewno nie interesowała go tamtejsza gospodarka.

- Nie najlepsza - odparł ojciec.

Wspomnienia przerwana nadawana w radiu prognoza pogody. Obfite opady śniegu na zachodzie, zamiecie w Iowa. Rick z radością skrzył w lewo i skierował się na południe.

Godzinę później zabręczała komórka. Arnie. Dzwonił z Vegas, jego głos był o wiele weselszy.

- Gdzie jesteś, chłopie?

- Wyjechałem z Cleveland.

- Dzięki Bogu. Jedziesz do domu?

- Nie. Po prostu jadę na południe. Może na Florydę, trochę program w golfa.

- Wspaniały pomysł. Jak twoja głowa?

- Świetnie.

- Są jakieś dodatkowe uszkodzenia mózgu? - roześmiał się sztucznie Arnie. Rick słyszał ten żart przynajmniej sto razy.

- Bardzo poważne.

- Słuchaj, chłopie. Coś znalazłem, miejsce w składzie, gwarantowane miejsce pierwszego quarterbacka. Oszalaniające cheerleaderki. Chcesz się dowiedzieć więcej?

Rick wolno powtórzył sobie te informacje przekonany, że źle rozumiał szczegóły. Vicodin wsiąkał na dobre w niektóre rejony obolałego mózgu.

- Dobra - powiedział wreszcie.
- Rozmawiałem z głównym trenerem Panthers. Mogą zaproponować kontrakt od ręki, z miejsca i bez żadnych pytań. Pieniądze nie są duże, ale zawsze to praca. Nadal będziesz quarterbackiem, pierwszym rozgrywanym! To załatwione. Masz to w garści, dziecino.

- Panthers?

- Tak. Pantery z Parmy.

Zapadła cisza, gdy Rick zmagał się z geografią. To chyba jakaś nieznaną drużyną, z jakiejś niezależnej ligi podwórkowej, znajdującej się tak daleko od NFL, że zakrawało to na żart. Z całą pewnością nie chodziło o futbol halowy ¹⁴. Arnie miał za dobrze w głowie, by myśleć o czymś takim.

Ale Rick nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest Parma.

- Chodzi o Carolina Panthers, Arnie?

- Słuchaj uważnie, Rick. Pantery z Parmy.

Wiedział, że jedno z przedmieść Cleveland to Parma. To wszystko było bardzo szmatwane.

- No dobra, Arnie, wybacz, trochę szwankuje mi łeb, więc może powiedziałbyś, gdzie dokładnie jest ta Parma.

- W północnych Włoszech, jakaś godzina jazdy z Mediolanu.

- A gdzie jest Mediolan?

- Również w północnych Włoszech. Kupię ci atlas. W każdym razie...

- Ale tam grają w piłkę nożną, nie w amerykański futbol, Arnie. To nie ten sport.

- Nieprawda. W Europie mają całkiem porządne ligi. W Niemczech, Austrii, we Włoszech. Może być ciekawie. Gdzie twoja żądza przygód?

W głowie Ricka zaczął pulsować ból. Właściwie powinien wziąć następną pigułkę, ale i tak był już nawalony, a zatrzymanie za „prowadzenie pod wpływem” było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Wystarczy, że gliniarz spojrzy na jego prawo jazdy, a pewnie od razu wyciągnie kajdanki, albo nawet pałkę.

- Sam nie wiem - zawahał się.

- Weź to, Rick, zrób sobie rok przerwy, pograj w Europie. Pozwól, by tutaj cała sprawa przycichła. Muszę ci powiedzieć, że nie mam nic

przeciwko dzwonieniu w twojej sprawie, ale moment jest paskudny, naprawdę paskudny.

- Nie chcę tego słuchać, Arnie. Pogadajmy później. Głowa mi pęka.
- Jasna sprawa, stary. Prześpij się z tym, ale musimy działać szybko. Drużyna w Parmie szuka quarterbacka. Wkrótce zaczyna się sezon i są zdesperowani. Może nie aż tak, by wziąć pierwszego lepszego, ale...
- Rozumiem, Arnie. Później.
- Słyszałeś o parmezanie?
- Jasne.
- Właśnie tam go robią. W Parmie. Kapujesz?
- Jeżeli potrzebuję sera, jadę do Green Bay - odparł Rick i uznał, że mimo prochów jest całkiem bystry.
- Dzwoniłem do Packersów, ale się nie odezwali.
- Nie chcę o tym słuchać.

NIE DALEKO MANSFIELD POSZEDŁ DO RESTAURACJI na zatłoczonym parkingu ciężarówek i zamówił frytki i colę. Litery w menu rozplywały się, ale i tak wziął kolejną pastylkę, by uśmierzyć ból między łopatkami. Kiedy w szpitalu włączono mu w końcu telewizję, popełnił błąd i obejrzał w ESPN przegląd najważniejszych wydarzeń. Wzdrygał się, widząc zderzenie i swoje ciało osuwające się bezwładnie na boisko.

Siedzący przy sąsiednim stole dwaj kierowcy zaczęli na niego zerkać. Świetnie... Czemu nie włożyłem czapki i ciemnych okularów?

Szeptali między sobą, pokazywali go palcem, wkrótce inni także zaczęli spoglądać, ba, nawet gapić się na niego. Rick miał ochotę wyjść, ale czuł, że po takiej dawce vicodinu musi jeszcze chwilę zostać. Zamówił kolejną porcję frytek i spróbował zadzwonić do rodziców. Albo wyszli, albo nie odbierali telefonów. Potem zatelefonował do mieszkającego w Boca kolegi z college'u, by się upewnić, że może u niego przemocować przez kilka dni.

Kierowcy śmiali się z czegoś. Starał się nie zwracać na nich uwagi.

Na białej serwetce zaczął zapisywać liczby. Brownsi byli mu winni pięćdziesiąt tysięcy dolarów za play-offy. (Drużyna na pewno zapłaci). Mniej więcej czterdzieści tysięcy miał w banku w Davenport. Koczowniczy tryb życia sprawił, że nie kupił żadnej nieruchomości. Samochód był wynajęty - za siedemset miesięcznie. Żadnych innych aktywów nie było. Przyjrzał się liczbom i uznał, że na czysto to będzie około osiemdziesięciu tysięcy.

Wyjście z gry z trzema wstrząśnieniami mózgu i osiemdziesięcioma tysiącami nie było takie złe, jak się mogło wydawać. Przeciętny running back¹⁵ utrzymywał się w NFL trzy lata, wycofywał z najrozmaitszymi kontuzjami nóg i mniej więcej półmilionowym długiem.

Finansowe problemy Ricka wynikały z nieudanych inwestycji. Razem z pochodzącym z Iowa kolegą z drużyny próbowali zmonopolizować rynek myjni samochodowych w Des Moines. Wytoczono im sprawy sądowe, wciąż figurował w spisach kredytobiorców. Był właścicielem jednej trzeciej udziałów w meksykańskiej restauracji w Fort Worth, gdzie dwaj wspólnicy, dawni przyjaciele, wniebogłose domagali się kapitału. Kiedy ostatni raz zjadł tam *burritos*, zemdlilo go.

Dzięki pomocy Arniego udało mu się uniknąć bankructwa - gazety chyba by go zmasakrowały - ale długi narosły.

Potężny kierowca z niezwykle rozwiniętym mięśniem piwnym podszedł i uśmiechnął się szyderczo. Modelowy okaz - gęste baczki, czapka, wykałaczka w kąciku ust.

- Jesteś Rick Dockery, nie?

Przez ułamek sekundy Rick miał ochotę zaprzeczyć, ale postanowił po prostu go zignorować.

- Jesteś do dupy, wiesz? - oznajmił głośno kierowca. Wyraźnie chciał, by wszyscy go słyszeli. - Byłeś do dupy w Iowa i nadal jesteś do dupy. - Za jego plecami rozległ się głośny śmiech, inni przyłączyli się do zabawy.

Jeden hak w mięsień piwny, a facet leżałby na podłodze i kwiczał. Rick poczuł niesmak. Dlaczego w ogóle o tym pomyślał. Nagłówki gazet - czemu tak go to obchodzi? - byłyby wspaniałe. „Bójka Dockery'ego z kierowcami”. I oczywiście, każdy, kto by czytał artykuł, kibicowałby kierowcom. Charles Cray miałby używanie.

Rick uśmiechnął się do serwetki.

- Czemu nie przeniesiesz się do Denver? Tam to cię chyba kochają.
Znowu śmiech.

Rick udał, że nic nie słyszy, i dopisał do obliczeń kilka nieznaczących liczb. W końcu kierowca odszedł dumnie. Nie co dzień ma się możliwość opieprzyć quarterbacka z NFL.

POJECHAŁ DROGĄ STANOWĄ 71 NA POŁUDNIE, do Columbus, siedziby Buckeyesów¹⁶. Parę lat temu w piękne jesienne popołudnie w obecności stu tysięcy kibiców rzucił cztery podania na przyłożenie i zdemonstrował obronę z precyzją chirurga. Gracz Tygodnia Big Ten. Wierzył święcie, że czekają go dalsze zaszczyty. Przyszłość była tak jasna, że aż oślepiała.

Trzy godziny później zatrzymał się, by zatankować, i tuż obok zobaczył nowy motel. Dosyć jazdy na dziś. Upadł na łóżko, zamierzając spać przez kilka dni, kiedy zadzwoniła komórka.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytał Arnie.

- Nie wiem. W Londynie.

- Co takiego? Gdzie?

- W Londynie w stanie Kentucky, Arnie.

- Porozmawiajmy o Parmie - powiedział Arnie rzeczowym tonem.

Coś się działo.

- Myślałem, że postanowiliśmy to zrobić później. - Rick ścisnął palcami nasadę nosa i powoli rozprostował nogi.

- Właśnie jest później. Chcą mieć decyzję.

- Dobra. Podaj mi szczegóły

- Będą płacili trzy tysiące euro przez pięć miesięcy, plus mieszkanie i samochód.

- Co to jest euro?

- Waluta w Europie. Warta jest teraz o jedną trzecią więcej niż dolar.

- To znaczy ile, Arnie? Jaka jest oferta?

- Około czterech tysięcy zielonych miesięcznie.

Szybko przeliczył, w końcu kwota była bardzo mała.

- Rozgrywający dostaje dwadzieścia tysięcy za sezon? A ile zarabia liniowy ¹⁷?

- Co cię to obchodzi? Nie jesteś liniowym.

- Tylko się pytam. Co cię tak wkurza?

- To, że tracę na to za dużo czasu, Rick. Mam inne umowy do negocjowania. Sam wiesz, jaka jest nerwówka po sezonie.

- Skreślasz mnie, Arnie?

- Jasne, że nie. Po prostu naprawdę uważam, że powinieneś na jakiś czas wyjechać za granicę, no wiesz, podładować baterie i podleczyć głowę. Daj mi trochę czasu tu, na miejscu, bym ocenił szkody.

Szkody. Rick usiłował usiąść, ale jego ciało odmówiło współpracy. Wszystkie kości i mięśnie od pasa w dół bolały. Gdyby Collins zablokował przeciwnika, nie doszłoby do starcia i Rick by nie ucierpiał. Liniowi, kochasz ich i nienawidzisz. Chciałbyś mieć dobrych liniowych!

- Ile zarabia liniowy?

- Nic. Na tej pozycji grają Włosi i grają dlatego, że kochają futbol.

Agenci muszą tam zdychać z głodu, pomyślał Rick. Odetchnął głęboko i usiłował przypomnieć sobie ostatniego znanego mu zawodnika, który grał tylko dlatego, że to kochał.

- Dwadzieścia tysięcy? - mruknął.

- Czyli o dwadzieścia tysięcy więcej niż zarabiasz obecnie - przypomniał mu okrutnie Arnie.

- Dzięki. Zawsze mogę na ciebie liczyć.

- Słuchaj chłopie, weź na rok wolne. Pojedź zwiedzić Europę. Daj mi trochę czasu.

- Na jakim poziomie tam grają?

- A kogo to obchodzi? Będziesz gwiazdą. Wszyscy rozgrywający są ze Stanów, ale to faceci z małych college'ów, którzy nawet nie zbliżyli się do NFL. Pantery są zachwycone, że w ogóle rozważasz tę możliwość.

Ktoś był zachwycony, że Rick może dla niego grać. Cóż za budująca myśl. Ale co powie rodzinie i przyjaciółom?

Jakim przyjaciółom? W ubiegłym tygodniu odezwało się dokładnie dwóch starych kumpli.

Po chwili ciszy Arnie odchrząknął i dodał:

- Jest coś jeszcze.

Słyszając z tonu jego głosu, nie było to nic dobrego.

- Słucham.

- O której wyszedłeś dziś ze szpitala?

- Nie pamiętam. Chyba koło dziewiątej.

- To musiałeś się z nim minąć w korytarzu.

- Z kim?

- Z prywatnym detektywem. Twoja znajoma cheerleaderka wróciła, Rick, jest w ciąży i wynajęła prawników, prawdziwych sukinsynów. Chcą narobić hałasu i zobaczyć swoje mordy w gazetach. Dzwonią tu z najrozmaitszymi żądaniem.

- Która cheerleaderka? - spytał Rick, czując, jak nowe fale bólu przepływają mu przez ramiona i kark.

- Jakaś Tiffany.

- Niemożliwe, Arnie. Spała z połową Brownsów. Czemu poluje na mnie?

- Spałeś z nią?

- Oczywiście, ale to była moja kolejka. Jeśli chce mieć dziecko warte milion dolarów, czemu oskarża mnie?

Doskonale pytanie zadane przez najniżej opłacanego członka drużyny. Arnie powiedział to samo, kłócąc się z prawnikami Tiffany.

- Możesz być jego tatusiem?

- Absolutnie nie. Byłem ostrożny. Trzeba było być.

- Nie może oskarżyć cię publicznie, dopóki nie dostarczy ci pozwu, a jeżeli nie będzie mogła cię znaleźć, nie będzie mogła cię pozwać.

Rick wiedział o tym. Dostawał już pozwu.

- Na jakiś czas ukryję się na Florydzie. Nie znajdą mnie tam.

- Nie licz na to. Ci prawnicy są dość agresywni i chcą rozgłosu. Mają sposoby, żeby wytropić zwierzyńcę. - Chwila przerwy. - Ale widzisz, stary, nie mogą ci wręczyć pozwu we Włoszech.

- Nigdy nie byłem we Włoszech.

- W takim razie pora tam pojechać.

- Muszę się z tym przespać.

- Oczywiście.

Rick szybko zapadł w drzemkę i sen zmorzył go na jakieś dziesięć minut. Obudziła go koszmarna myśl. Karty kredytowe zostawiają ślad. Stacje benzynowe, motele, parkingi ciężarówek - wszystkie miejsca są połączone rozległą elektroniczną siecią, która w ułamku sekundy przekazuje informacje na drugi koniec świata. Jakiś palant z dobrym komputerem może podłączyć się tu i tam i za niezłe honorarium odnaleźć trop i wysłać za nim psy gończe z kopią pozwu o ustalenie ojcostwa. Kolejne nagłówki. Kolejne kłopoty.

Złapał nierozpakowaną torbę i opuścił motel. Jechał godzinę oszołomiony dużą dawką leku przeciwbólowego, w końcu znalazł norę z tanimi pokojami za gotówkę - na godziny albo na noc. Upadł na zakurzone łóżko i po chwili spał, mocno i głośno chrapiąc. Śniły mu się krzywe wieże i rzymskie ruiny.

TRENER RUSSO CZYTAŁ „GAZZETTA DI PARMA”, czekając cierpliwie na twardym, plastikowym krzeselku w poczekalni dworca kolejowego w Parmie. Z niechęcią musiał przyznać, że jest trochę zdenerwowany. Rozmawiał już ze swoim nowym quarterbackiem przez telefon. Gracz był akurat na polu golfowym gdzieś na Florydzie i przebieg rozmowy pozostawiał nieco do życzenia. Dockery nie miał ochoty grać dla Parmy, chociaż pomysł, by przez kilka miesięcy pomieszkać za granicą, był z pewnością kuszący. Sam odniósł wrażenie, że Dockery w ogóle nie ma ochoty grać. Hasło „Superbaran” rozniosło się i gość nadal był obiektem dowcipów. Jako futbolista musiał grać, ale nie był pewien, czy chce jeszcze oglądać piłkę.

Oświadczył też, że nie mówi ani słowa po włosku, ale w dziesiątej klasie uczył się hiszpańskiego. Wspaniale, pomyślał Russo. Żaden problem.

Sam nigdy nie trenował zawodowego quarterbacka. Ostatni, jakiego znał, grał w sparringach na Uniwersytecie Delaware. Czy Dockery się dopasuje? Drużyna była podekscytowana, że będzie wśród nich taka gwiazda, ale czy go zaakceptuje? A może jego postawa zatruje atmosferę w szatni? Czy w ogóle da się prowadzić?

Eurostar z Mediolanu wjechał na stację jak zawsze o czasie. Drzwi otworzyły się, wypuszczając pasażerów. Była połowa marca i większość wysiadających miała na sobie grube, ciemne płaszcze. Na razie trzeba było chronić się przed chłodem i czekać na ciepłą pogodę. I nagle pojawił się Dockery, prosto z południowej Florydy, idiotycznie opalony

i ubrany, jakby wybierał się na drinka do klubu na plaży - kremowa, lniana sportowa marynarka, cytrynowożółta koszula z tropikalnymi motywami, białe spodnie do kostek i rdzawoczerwone mokasyny z krokodylej skóry włożone na gołe stopy. Szamotał się z dwoma idealnie do siebie pasującymi i potwornie wielkimi walizkami na kółkach, ale walka była z góry przegrana, bo przez plecy miał przewieszoną ogromną torbę z zestawem kijów golfowych.

Quarterback przybył.

Sam obserwował jego zmagania i od razu zorientował się, że Dockery nigdy jeszcze nie jechał pociągiem. W końcu podszedł i zagadnął:

- Rick? Jestem Sam Russo.

Przyjezdny uśmiechnął się, szarpnięciem ustawił pionowo walizki i z trudem przesunął nieco wyżej kije golfowe.

- Cześć, trenerze - powiedział.

- Witam w Parmie. Pomogę ci.

Sam złapał jedną walizkę i zaczęli holować bagaż przez stację.

- Dzięki. Dość tu chłodno.

- Zimniej niż na Florydzie. Jak minął lot?

- W porządku.

- Dużo grasz w golfa, prawda?

- Jasne. Kiedy zrobi się ciepło?

- Mniej więcej za miesiąc.

- Macie tu pola golfowe?

- Nie. Nigdy żadnego nie widziałem.

Wyszli na zewnątrz i zatrzymali się koło małej, pudełkowatej hondy Sama.

- To twój? - Rick rozejrzał się i zobaczył, że wszystkie samochody wokół nich są bardzo małe.

- Wrzuć bagaż na tylne siedzenie - powiedział Sam. Otworzył bagażnik i jakoś udało mu się upchnąć w nim walizkę. Miejsca na drugą już nie było. Wcisnął ją na tylne siedzenie, tam gdzie kije golfowe.

- Dobrze, że nie zabrałem więcej rzeczy - mruknął Rick. Wsiadli do samochodu. Kolana mającego metr osiemdziesiąt pięć Ricka uderzyły

w schowek na rękawiczki. Fotela nie dało się cofnąć, bo blokowały go kije golfowe.

- Trochę małe te samochody, co? - spytał.

- Benzyna kosztuje tutaj dolar dwadzieścia za litr.

- A ile za galon?

- Tu się nie liczy w galonach. Używają litrów. - Sam wrzucił bieg i wyjechali z dworca.

- To ile ich wchodzi na galon? - nie ustępował Rick.

- Litr to mniej więcej kwarta.

Rick rozmyślał nad tym, patrząc obojętnie na budynki wzdłuż Strada Garibaldi.

- A ile kwarta ma galon?

- Gdzie chodziłeś do college'u?

- A ty?

- Do Bucknell.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Grają tam w futbol?

- Trochę. Raczej mała skala. W niczym nie przypomina Big Ten.

Galon ma cztery kwarty, czyli jeden galon kosztuje tu około pięciu doliców.

- Te budynki są naprawdę stare - zmienił temat Rick.

- Nie bez powodu nazywają to starym krajem. Jaki miałeś główny przedmiot w college'u?

- Wuef. Cheerleaderki.

- Uczyleś się historii?

- Nienawidzę historii. A co?

- Parma ma dwa tysiące lat i ciekawą historię.

- Parma. - Rick westchnął i zdołał wcisnąć się kilka centymetrów głębiej w fotel, zupełnie jakby sama nazwa miasta oznaczała przyznanie się do klęski. Grzebał chwilę w kieszeni marynarki, wyciągnął komórkę, ale jej nie otworzył. - Co, u diabła, robię we Włoszech, w jakiejś Parmie? - Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

Sam pomyślał, że lepiej nie odpowiadać i zabawić się w przewodnika.

- Jesteśmy w śródmieściu, najstarszej dzielnicy. Pierwszy raz we Włoszech?

- Tak. Co to takiego?
- Nazywa się Palazzo della Pilota. Budowę rozpoczęto czterysta lat temu, ale nigdy nie ukończono. Potem w 1944 roku alianci go zbombardowali całkowicie.

- Bombardowaliśmy Parmę?
- Bombardowaliśmy wszystko, nawet Rzym, ale zostawiliśmy w spokoju Watykan. Może pamiętasz, że Włosi mieli przywódcę, który nazywał się Mussolini i sprzymierzył się z Hitlerem. Nie najlepszy pomysł, a Włosi nigdy nie czuli zapału do wojny. O wiele lepiej wychodzą im jedzenie, wino, samochody sportowe, moda i miłość.

- Może mi się tu spodoba.
- Na pewno. I kochają operę. Z prawej jest słynny Teatro Regio. Byłeś kiedyś w operze?

- No jasne, w Iowa wychowywaliśmy się na muzyce poważnej. Większość dzieciństwa spędziłem w operze. Żartujesz? Po co miałbym chodzić do opery?

- A tu jest *duomo*.
- Co takiego?
- *Duomo*, katedra. Z tego wzięło się nasze słowo *dome* - kopuła, jak w Superdome, Carrier Dome¹⁸.

Rick nie odpowiedział. Milczał przez jakiś czas, jakby wspomnienie kopuł, stadionów i rozgrywanych tam meczów sprawiło mu przykrość. Byli już w centrum Parmy. Wszędzie widać było pełno kręcących się pieszych i samochody stojące zderzak przy zderzaku.

Sam znowu zaczął objaśniać:

- Większość włoskich miast zbudowano wokół centralnego placu, który nazywa się *piazza*. Teraz jesteśmy na Piazza Garibaldi: mnóstwo sklepów oraz kawiarni, no i pieszych. Włosi lubią spędzać czas, siedząc w ogródkach kawiarnianych, popijając espresso i czytając. Nie najgorszy zwyczaj.

- Nie lubię kawy.
- Pora polubić.
- A co Włosi myślą o Amerykanach?

- Lubią nas, chociaż nie zastanawiają się nad tym. Pewnie gdyby trochę pomyśleli, nie spodobałby się im nasz ustrój, ale w gruncie rzeczy niewiele ich to obchodzi. Ale mają fioła na punkcie naszej kultury.

- Nawet futbolu?

- W pewnym sensie. Niedaleko jest wspaniały mały bar. Chcesz się czegoś napić?

- Nie, jeszcze za wcześnie.

- Nie mówię o alkoholu. Tutaj bar to jak pub albo kawiarnia, miejsce spotkań.

- Spasuję.

- W każdym razie wszystko dzieje się w centrum. Twoje mieszkanie jest zaledwie kilka ulic dalej.

- Nie mogę się doczekać. Mogę zatelefonować?

- *Prego.*

- Co?

- *Prego.* To znaczy „proszę bardzo”.

Rick stuknął w klawisze, a Sam przeciskał się przez wieczorny korek. Kiedy Rick spojrział w okno, Sam włączył radio i w samochodzie rozległa się cicho muzyka operowa. Ktoś, z kim Rick chciał rozmawiać, był nieosiągalny. Quarterback nie nagrał żadnej poczty głosowej. Zatrzasnął telefon i wcisnął go do kieszeni.

Pewnie dzwonił do agenta, pomyślał Sam. A może do przyjaciółki.

- Masz dziewczynę? - zapytał.

- Nie. Mnóstwo fanek NFL, ale są głupie jak but. A ty?

- Jestem żonaty od jedenastu lat. I bezdzietny. Przejechali mostem Ponte Verdi.

- To rzeka Parma. Dzieli miasto na dwie części.

- Urocza.

- Przed nami leży Parco Ducale, największy park w mieście. Piękny. Włosi są dobrzy w parkach, architekturze krajobrazu i tym podobnych rzeczach.

- Ładny.

- Cieszę się, że ci się podoba. Można tu pospacerować, przyjść z dziewczyną, poczytać książkę, poleżeć na słońcu.

- Nie spędzałem wiele czasu w parkach.

A to ci niespodzianka.

Krażyli jakiś czas, znów przejechali przez rzekę i wkrótce przejechali się już wąskimi, jednokierunkowymi uliczkami.

- Pokazałem ci większą część śródmieścia Parmy - oznajmił Sam.

- Bardzo miłe.

Kilka przecznic na południe od parku wjechali w krętą uliczkę Via Linati.

- To tutaj - powiedział Sam, wskazując długi szereg czteropiętrowych budynków, każdy w innym kolorze. - W tym drugim, złotawym, na trzecim piętrze jest twoje mieszkanie. To miła część miasta. Signor Bruncardo, właściciel drużyny, ma tu również kilka domów. Dlatego dostałeś mieszkanie w śródmieściu. Tutaj jest drożej.

- Miejscowi chłopcy naprawdę grają za darmo? - spytał Rick, wracając do sprawy, która utknęła mu w pamięci po ostatniej rozmowie.

- Amerykanie, ty i dwaj inni, dostają pensję. Ale ty największą. Włosi grają dla sportu. I za pizzę po meczu. - Sam milczał przez chwilę i dodał: - Polubisz tych chłopaków. - Po raz pierwszy spróbował dodać otuchy Rickowi. Gdyby quarterback był niezadowolony, pojawiłoby się mnóstwo problemów.

Jakimś cudem wcisnął hondę w o połowę za małe miejsce. Potem wyładowali walizy i kije golfowe. Windy nie było, ale klatka schodowa okazała się szersza niż zazwyczaj. Mieszkanie było umeblowane - sypialnia, salon, mała kuchnia. Ponieważ nowy rozgrywający był z NFL, signor Bruncardo szarpnął się na odmalowanie ścian, nowe chodniki, zasłony i meble do salonu. Wnętrze ozdabiały nawet jaskrawe współczesne reprodukcje.

- Nieźle - pochwalił Rick i Samowi ulżyło. Znał włoskie realia: mieszkania najczęściej były małe, stare i drogie. Gdyby rozgrywający poczuł się rozczarowany, signor Bruncardo również byłby zawiedziony. I sprawy by się skomplikowały.

- Na wolnym rynku czynsz wyniósłby dwa tysiące euro na miesiąc - wyjaśnił, starając się wywrzeć na Ricku wrażenie.

Rick ostrożnie położył kije golfowe na sofie.

- Miło tu - oznajmił. Nie pamiętał nawet, w ilu wynajętych lokalach mieszkał w czasie ubiegłych sześciu lat. Przyzwyczajony do częstych i pośpiesznych przenosin stał się obojętny na wielkość, wystrój i wyposażenie wnętrza.

- Może przebierzesz się i potem spotkamy się na dole?

Rick spojrział na swoje białe spodnie, spod których wystawały brązowe kostki. Chciał zaprotestować: „Przecież mi w tym dobrze”, ale w końcu zrozumiał aluzję.

- Oczywiście, daj mi pięć minut.

- Dwie przecznice dalej w prawo jest kawiarnia - powiedział Sam. - Wezmę sobie kawę i będę czekał przy stoliku na zewnątrz.

- Jasne, trenerze.

Sam zamówił kawę i rozłożył gazetę. Było wilgotno i słońce schowało się za budynkami. We Włoszech Amerykanie z reguły przeżywali krótkotrwały szok kulturowy. Język, samochody, wąskie ulice, małe mieszkania, gęsta zabudowa miast. To przytłaczało, zwłaszcza ludzi ze średnich i niższych klas, którzy niewiele podróżowali. W czasie pięciu lat trenowania drużyny z Parmy Sam zetknął się z tylko jednym amerykańskim graczem, który był we Włoszech, zanim znalazł się w drużynie.

Zwykle do tego kraju przekonywały ich dwa skarby narodowe - jedzenie i kobiety. Trener Russo nie zajmował się kobietami, ale znał magiczną moc włoskiej kuchni. Pan Dockery nie ma jeszcze pojęcia, że czeka go czterogodzinny obiad.

Rick pojawił się po dziesięciu minutach, z komórką w rękę. Wyglądał o wiele lepiej. Granatowa marynarka klubowa, wypłowiałe džinsy, ciemne skarpetki i buty.

- Kawy? - spytał Sam.

- Poproszę tylko colę.

Sam porozmawiał z kelnerem.

- Mówisz po ichniemu? - zapytał Rick, chowając telefon do kieszeni.

- Mieszkam tu od pięciu lat. Moja żona jest Włoszką. Już ci to wyjaśniałem.

- Czy inni jankesi znają włoski?

- Kilka słów, zwłaszcza potrawy w menu.
- To jak mam wywoływać zagrywki?
- Robimy to po angielsku. Czasem Włosi rozumieją, a czasem nie.
- Zupełnie jak w college'u - stwierdził Rick i obaj się roześmiali.

Wypił duszkiem colę i dodał: - Nie zwracam sobie głowy nauką języków. Za dużo kłopotu. Kiedy grałem w Kanadzie, było tam dużo Francuzów. Wcale nas to nie spowalniało. Poza tym wszyscy mówią po angielsku.

- Tutaj na pewno nie wszyscy.
- Ale wszyscy rozumieją American Express i dolary.
- Być może. Ale nauczenie się języka nie jest złym pomysłem. Łatwiej wtedy żyć i kumple z drużyny będą cię uwielbiać.
- Powiedziałeś: uwielbiać? Nie uwielbiałem kumpla z drużyny od czasu, kiedy byłem w college'u.

- Tu jest tak samo jak w college'u. Wielkie bractwo facetów, którzy lubią wkładać strój do gry, przez kilka godzin wdawać się w draki, a potem pić piwo. Jeżeli cię polubią, a jestem tego pewien, dadzą się dla ciebie pokroić.

- A czy wiesz coś, no rozumiesz, o moim ostatnim meczu?
- Nie pytałem, ale jestem pewien, że niektórzy tak. Uwielbiają futbol i oglądają mnóstwo meczów. Ale nie martw się, Rick. Są zachwyceni, że tu przyjechałeś. Nigdy nie wygrali włoskiego Super Bowl i są przekonani, że w tym roku im się uda.

Obok przeszły trzy signoriny i całkowicie przyciągnęły ich uwagę. Kiedy zniknęły z pola widzenia, Rick wpatrzył się w ulicę, jakby nagle zagubił się w innym świecie. Sam poczuł, że go lubi i że jest mu go żal. Facet zniósł lawinę publicznych szyderstw, jakiej nigdy dotąd nie słyszano w zawodowym futbolu, a teraz znalazł się w Parmie, samotny i zdezorientowany. Jak zbieg. Teraz jego miejsce było w Parmie, przynajmniej na razie.

- Chcesz zobaczyć stadion? - zapytał.
- Jasne, trenerze.

Po drodze Sam wskazał mu boczną ulicę.

- Tam jest salon z męską odzieżą. Wspaniałe ubrania. Powinieneś tam zajrzeć.

- Przywiozłem ze sobą dużo ubrań.
- A jednak powinienes tam zajrzeć. Włosi zwracają uwagę na ubranie i będą cię uważnie obserwować, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Tutaj nigdy nie jesteś za dobrze ubrany.
- Język, ciuchy, coś jeszcze, trenerze?
- Mała rada. Spróbuj się tu dobrze bawić. To cudowne, stare miasto, a ty będziesz tu tak krótko.
- Jasne, trenerze.

5

STADIO LANFRANCHI znajduje się w północno-zachodniej części Parmy, w granicach miasta, ale z dala od starych budowli i wąskich uliczek śródmieścia. To boisko do rugby, którym dzielą się dwie zawodowe drużyny, jest udostępniane Panterom do gry w futbol. Po obu stronach ma zadaszone trybuny, łoże prasową i dobrze utrzymaną, mimo intensywnego użytkowania, naturalną murawę.

W piłkę nożną gra się na o wiele większym Stadio Tardini, który znajduje się w odległości około półtora kilometra w południowo-wschodniej części miasta. Tu właśnie zbierają się ogromne tłumy, aby świętować powód istnienia współczesnych Włoch. Ale miejscowi kibice mają niewiele powodów do radości. Nisko notowana drużyna z Parmy ledwo utrzymuje się w prestiżowej lidze A włoskiej piłki nożnej. Klub wciąż ma jednak wiernych kibiców - około trzydziestu tysięcy oddanych fanów, którzy cierpią razem z nim rok po roku, mecz za meczem.

To jakieś dwadzieścia dziewięć tysięcy więcej niż pojawia się na meczach Panter na Stadio Lanfranchi. Stadion mieści trzy tysiące widzów, ale rzadko kiedy wszystkie miejsca są wyprzedane. Prawdę mówiąc, nie sprzedaje się ani jednego. Wstęp jest wolny.

Rick Dockery szedł niespiesznie w rzucanym przez trybuny długim cieniu przez środek boiska. Wcisnął dłonie w kieszenie dżinsów i kroczył niczym człowiek z innego świata. Niekiedy zatrzymywał się i sprawdzał trawę, wciskając w nią mocno podeszwę buta. Od tamtego

dnia w Cleveland nie był na boisku, ani futbolowym, ani do cholernego rugby czy czegokolwiek innego.

Sam siedział w piątym rzędzie od dołu na trybunie dla gospodarzy, przyglądał się swojemu rozgrywającemu i zastanawiał, co też mu chodzi po głowie.

A Rick myślał o obozie szkoleniowym, na którym był pewnego lata, nie tak dawno temu - krótkiej, ale brutalnej męczarni dla jednej z zawodowych drużyn. Nie pamiętał już której. Obóz odbywał się w małym college'u z boiskiem przypominającym to, które obecnie oglądał. Szkoła z trzeciej dywizji, małe college z obowiązkowymi sielskimi akademikami, stołówką i ciasnymi szatniami, dokładnie taka, jaką niektóre drużyny NFL wybierają, aby szkolenie było możliwie jak najbardziej surowe i bezwzględne.

Myślał też o liceum w Davenport South, gdzie występował w każdym meczu przed mnóstwem ludzi - i u siebie, i na wyjeździe. W tych latach przegrał w finałach stanowych juniorów przed jedenastoma tysiącami widzów.

Jak na teksańskie warunki nie było to wiele, ale jak na wymagania licealnej drużyny futbolowej z Iowa to cholernie duży tłum.

Ale teraz Davenport South było bardzo daleko, podobnie jak wiele innych rzeczy, które kiedyś wydawały się ważne. Zatrzymał się w polu punktowym i przyjrzał dość dziwnej bramce. Dwa wkopane w ziemię wysokie słupy pomalowane na niebiesko i żółto, owinięte zielonymi ochraniaczami z reklamą Heinekena. Rugby.

Wszedł po stopniach na trybunę i usiadł koło trenera.

- I co sądzisz? - zapytał Russo.
- Fajne boisko, ale brakuje mu kilku jardów.
- Dziesięciu. Między słupami jest sto dziesięć jardów, a potrzeba jeszcze dwudziestu na oba pola punktowe. Dlatego gramy na tym, co zostało, na dziewięćdziesięciu jardach. Większość tutejszych boisk służy do rugby, musi nam to wystarczyć.
- No i dobrze - mruknął Rick i się uśmiechnął.
- Trochę inaczej niż na stadionie Brownsów w Cleveland.
- Dzięki Bogu. Nigdy nie lubiłem Cleveland, miasta, kibiców, drużyny i nie cierpiałem stadionu. Jest tuż nad jeziorem Erie, więcej zimne wiatry, ziemia jest twarda jak beton.

- A jaki był twój ulubiony przystanek?

Rick się roześmiał.

- Przystanek. Trafne określenie. Zatrzymywałem się tu i tam, ale nigdzie nie zagrzałem miejsca. Chyba Dallas. Wolę cieplejszy klimat.

Słońce niemal zaszło i robiło się coraz zimniej. Rick wsunął dłonie do kieszeni obcisłych džinsów.

- Opowiedz mi coś o futbolu we Włoszech - poprosił. - Jak to się zaczęło?

- Pierwsze drużyny pojawiły się jakieś dwadzieścia lat temu i bardzo szybko weszły nowe, zwłaszcza tu na północy. Super Bowl w 1990 roku miał dwudziestotysięczną widownię, w ubiegłym roku o wiele mniejszą. Z jakichś powodów zainteresowanie spadło, teraz znowu rośnie. W Dywizji A jest dziewięć drużyn, mniej więcej dwadzieścia pięć w Dywizji B i futbol flagowy¹⁹ dla dzieciaków.

Umilkł, Rick przełożył ręce do kieszeni marynarki. Dwa miesiące na Florydzie dały mu mocną opaleniznę, ale na delikatnej skórze opaleniźna zaczynała już blednąć.

- Ilu kibiców ogląda Pantery?

- To zależy. Skoro nie sprzedajemy biletów, to nikt ich właściwie nie liczy. Może tysiąc. Kiedy przyjeżdża Bergamo, stadion jest pełny.

- Bergamo?

- Lwy z Bergamo, wieczni mistrzowie.

Ricka rozbawiła ta nazwa.

- Lwy i Pantery. Czy wszystkie drużyny nazywają się tak jak NFL?

- Nie. W Bolonii mamy Wojowników, w Rzymie Gladiatorów, w Neapolu Bandytów, w Mediolanie Nosorożce, w Lazio są Marines, w Anconie Delfiny i Giganci w Bolzano.

Rick chichotał.

- Co cię tak bawi?

- Nic. Gdzie ja jestem?

- To normalne. Szok szybko mija. Kiedy włożysz strój i zaczniesz punktować, poczujesz się jak w domu.

„Ja nie punktuję”, chciał powiedzieć Rick, ale ugryzł się w język.

- No to trzeba dokopać Bergamo.

- Tak. Wygrali osiem Super Bowlów i sześćdziesiąt jeden meczów z rzędu.

- Włoski Super Bowl. A ja o nim nie wiedziałem.

- Wielu ludzi nie wie. Na stronach sportowych jesteśmy na końcu, po pływaniu i motocyklach. Ale Super Bowl pokazują w telewizji. Na jednym z mniej znanych kanałów.

Ricka przerażała myśl o tym, iż przyjaciele dowiedzą się, że gra we Włoszech w jakiejś podwórkowej drużynie. Brak prasy i telewizji na meczach to naprawdę przyjemna wiadomość. Nie szukał w Parmie sławy, ale małej chałtury na boku w czasie, kiedy razem z Arniem będą oczekiwali na cud w Stanach. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, gdzie jest.

- Jak często trenujemy?

- Mamy boisko w poniedziałki, środy i piątki od ósmej wieczór.

Chłopaki mają normalne posady.

- Jakie?

- Różne. Jest pilot linii lotniczej, inżynier, kilku kierowców ciężarówek, pracownik agencji nieruchomości, są budowlańcy... Jeden facet ma sklep z serami, inny prowadzi bar, jest dentysta, dwóch czy trzech instruktorów z siłowni. Dwóch kamieniarzy, paru mechaników samochodowych.

Rick zastanawiał się przez chwilę. Myślał wolno, ale szok zaczął ustępować.

- Jaki jest typ ofensywy?

- Stosujemy proste schematy. Power I ²⁰, dużo ruchu przed wprowadzeniem piłki do gry, biegi ze zmianą kierunku ²¹. Nasz ubiegłoroczny rozgrywający nie potrafił rzucać i to ograniczało atak.

- Quarterback nie umiał rzucać?

- Rzucał, ale niezbyt dobrze.

- Mamy biegacza?

- Tak. Sidell Turner. Nieduży, ale twardy, czarnoskóry chłopak z Kolorado. Cztery lata temu grał w Coltach, potem go zwolnili, bo jest za niski.

- Ile ma wzrostu?
- Sto osiemdziesiąt centymetrów. Za niski do NFL, ale idealny dla nas. Przeciwnicy nie mogą go złapać.
- Co, do licha, czarny chłopak z Kolorado robi w Parmie?
- Gra w futbol i czeka na telefon. Tak jak ty.
- Czy mam skrzydłowego?
- Tak, Fabrizia, To jeden z Włochów. Wspaniałe dłonie, wspaniałe stopy, wielkie ego. Uważa się za włoskiego futbolistę wszech czasów. Wysoko się ceni, ale to niezły chłopak.
- Potrafi złapać moje podanie?
- Wątpię. Myślę, że to właśnie będzie wymagało intensywnej pracy. Nie zabij go pierwszego dnia.

Rick wstał.

- Zimno mi. Chodźmy.
- Chcesz zobaczyć pokój drużyny?
- Jasne, czemu nie?

Budynek klubu stał niedaleko północnego pola punktowego. Kiedy szli w jego kierunku, gdzieś w pobliżu przejechał pociąg. Wnętrze długiego, niskiego domu było ozdobione dziesiątkami plakatów reklamujących sponsorów. Większość wspierała rugbistów, Pantery miały niewielki pokój, z szafkami i sprzętem.

- Co o tym myślisz? - spytał Sam.

- To szatnia - odparł Rick. Starał się niczego nie porównywać, ale przez chwilę nie mógł odpędzić wspomnień o ekskluzywnych pomieszczeniach na niektórych nowszych stadionach NFL. Dywany, wyłożone boazerią szafki, w których pomieściłby się mały samochód, skórzane leżanki dla liniowych, prywatne kabinki w łazience z prysznicami większej niż całe to miejsce. No cóż. Wyłumaczył sobie przecież, że przez pięć miesięcy może wytrzymać wszystko.

- To twoja szafka. - Sam wskazał ręką. Rick podszedł do starego metalowego pudła. Szafka była pusta, jeżeli nie liczyć wiszącego na haczyku białego kasku Panter. W rozmowie telefonicznej zażądał numeru 8 i był już wymalowany z tyłu hełmu. Rozmiar siedem i pół. Szafka Sidella Turnera była z prawej, na stojącej z lewej strony widniało nazwisko Treya Colby'ego.

- Kto to taki?

- Colby jest naszym free safety ²². Grał w Ole Miss ²³. Mieszka z Sidellem, to jedyne czarne chłopaki w drużynie. W tym roku mamy tylko trzech Amerykanów. W ubiegłym roku było pięciu, ale znowu zmienili przepisy.

Na stole pośrodku pokoju leżały zgrabnie ułożone stosy koszulek i spodni. Rick obejrzał je starannie.

- Dobra jakość - ocenił.

- Cieszę się, że ci się podobają.

- Wspomniałeś o obiedzie. Nie jestem pewien, jakiego posiłku potrzebuję, ale z przyjemnością coś bym przekąsił.

- Znam dobre miejsce, starą trattorie należącą do dwóch braci. Carlo prowadzi kuchnię i zajmuje się gotowaniem, Nino pracuje w sali i dba, żeby wszyscy byli najedzeni. Nino gra u nas na centrze, ale nie zdziw się, kiedy go zobaczysz. Twój center w liceum był pewnie większy, ale na boisku Nino jest twardzielem. Jego ulubioną rozrywką jest wojowanie z innymi przez dwie godziny w tygodniu. Jest też naszym tłumaczem w ataku. Wywołujesz zagrywki po angielsku, a Nino szybko tłumaczy na włoski. Kiedy pójdziesz na linię ²⁴, módl się, żeby Nino dobrze przetłumaczył to, co powiesz. Większość Włochów zna podstawowe angielskie terminy futbolowe i szybko reaguje na pierwszy okrzyk. Często nie czekają na Nina. Przy niektórych zagrywkach drużyna rozbiega się w różnych kierunkach, a ty nie wiesz, co się dzieje.

- I co wtedy robię?

- Biegniesz jak wszyscy diabli.

- Może być zabawnie.

- Może. Ale moje chłopaki traktują grę serio, zwłaszcza w ogniu walki. Lubią przywalić, przed gwizdkiem i po gwizdku. Klną i biją się, a potem się godzą i wspólnie idą wypić. W czasie obiadu pewnie dołączy do nas Paolo. To też zawodnik. Świetnie mówi po angielsku. Może przyjdzie też paru innych. Bardzo chcą cię poznać. Nino zadba o jedzenie i wino, nie zwracaj sobie głowy menu. Wszystko będzie fantastyczne, możesz mi wierzyć.

6

ZAPARKOWALI NA JEDNEJ Z NIEZLICZONYCH WĄZIUTKICH ULICZEK nie-
daleko uniwersytetu. Zapadł już zmrok, wokół grupki studentów roz-
mawiały hałaśliwie. Rick był przygaszony i na Samie spoczywał cały
ciężar podtrzymywania rozmowy.

- Trattoria to bezpretensjonalny lokal, należący do jednej rodziny,
ze wspianymi miejscowymi daniami i winami, obfitymi porcjami, a
przy tym niezbyt drogi. Słuchasz mnie?

- Tak. - Szli szybko po chodniku. - Masz zamiar dać mi jeść czy
chcesz zagadać mnie na śmierć?

- Próbuję cię zapoznać z włoską kulturą.

- Wystarczy, że dasz mi pizzę.

- Na czym stanąłem?

- Na trattorii.

- A tak. To co innego niż *ristorante*, restauracja, która zazwyczaj
jest bardziej elegancka i droższa. Mamy tu też osterie, dawniej ozna-
czało to jadalnię w gospodzie, ale teraz może to oznaczać niemal
wszystko. I bar, który już zaliczyliśmy. Jest też *enoteca*, zazwyczaj to
sklep z winami, gdzie serwuje się przekąski i małe dania. Chyba to już
wszystko.

- Czyli nikt we Włoszech nie zgłodnieje.

- Żartujesz?

Nad drzwiami wisiała mała wywieszka z napisem „Café Montana”.
Przez witrynę widać było długą salę ze stolikami nakrytymi wykroch-
malonymi i wyprasowanymi białymi obrusami. Stały na nich niebieskie

talerze na lnianych serwetkach i wielkie kielichy do wina.

- Jesteśmy trochę za wcześnie - zauważył Sam. - W lokalu robi się tłoczno koło ósmej. Ale Nino na nas czeka.

- Montana? - zdziwił się Rick.

- Tak, na cześć Joego²⁵. Quarterbacka.

- Niemożliwe.

- Serio. Ci faceci kochają futbol. Carlo grał wiele lat temu, ale załamał sobie kolano. Teraz gotuje. Mówią, że jest rekordzistą we wszystkich możliwych faulach.

Weszli do środka. Cokolwiek Carlo szykował w kuchni, uderzyło to w nich z całą mocą. Zapach czosnku, gęstych sosów i smażonej wieprzowiny wisiał w pomieszczeniu jak dym. Rick był gotów zasiąść do stołu. Na kominku pośrodku sali trzaskał ogień.

Z bocznych drzwi wypadł Nino i zaczął całować Sama. Potężny uścisk, męskie, hałaśliwe cmoknięcie gdzieś w pobliżu prawego policzka, potem lewego. Następnie chwycił oburącz prawą dłoń Ricka i oznajmił:

- Rick, witam w Parmie.

Rick energicznie potrząsnął dłonią, ale miał zamiar cofnąć się, gdyby Nino przystąpił do całowania. Na szczęście mu tego oszczędzono.

- Bardzo się cieszę.

- Gram na centrze - oświadczył z dumą Nino. Mówił z silnym akcentem, ale wyraźnie. - Ale uważaj z rękami. Bo moja żona jest zazdrośna. - Nino i Sam zgięli się wpół, rżąc ze śmiechu, i Rick z zakłopotaniem poszedł w ich ślady.

Nino na pewno nie miał metra osiemdziesięciu wzrostu, był krępy i sprawny, ważył jakieś dziewięćdziesiąt pięć kilogramów. Kiedy śmiał się z własnego dowcipu, Rick otaksował go wzrokiem i pomyślał, że dla niego może to być bardzo długi sezon. Sto siedemdziesiąt pięć centymetrów i gra na centrze²⁶?

Nie był też młody. Miał faliste ciemne włosy, z pierwszymi śladami siwizny na skroniach. Rick ocenił go na jakieś trzydzieści pięć lat. Ale dostrzegł też mocny podbródek i wyraźny błysk w oczach faceta, który lubi drakę.

Będę musiał walczyć o życie, pomyślał Rick.

Z kuchni wyłonił się Carlo w wykrochmalonym białym fartuchu i kucharskiej czapce na głowie. O, ten rzeczywiście mógł grać na centrze. Sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, przynajmniej sto dziesięć kilo wagi. Ale lekko kulał. Powitał Ricka gorąco, objął go na chwilę, ale bez całowania. Mówił po angielsku o wiele gorzej niż Nino i po kilku słowach przeszedł na włoski. Rick nie rozumiał ani słowa.

Sam szybko pospieszył z tłumaczeniem:

- Mówi, że wita w Parmie oraz w ich restauracji. Są ogromnie podnieceni, że prawdziwy bohater amerykańskiego Super Bowl będzie grał dla Panter. I mą nadzieję, że będziesz często jadł i pił w ich małym lokalu.

- Dziękuję - powiedział Rick do Carla, który wciąż ścisnął jego dłoń. Carlo znowu zaczął mówić, a Sam zaczął tłumaczyć:

- Mówi, że właściciel drużyny jest jego przyjacielem i często jada w Café Montana. I że cała Parma jest zachwycona, że wielki Rick Dockery będzie nosił czerń i srebro.

Pauza.

Rick znowu podziękował, uśmiechnął się najserdeczniej jak umiał i powtórzył w myślach słowa „Super Bowl”. Carlo w końcu puścił jego rękę i zaczął krzyżeć w stronę kuchni.

Kiedy Nino prowadził ich do stołu, Rick szepnęła do Sama:

- Super Bowl. O co chodzi?
- Nie wiem. Może niedokładnie przetłumaczyłem.
- Podobno znasz biegle włoski.
- Bo tak jest.
- Cała Parma? Wielki Rick Dockery? Coś ty nagadał tym ludziom?
- Włosi zawsze przesadzają.

Ich stół stał niedaleko kominka. Nino i Carlo odsunęli krzesła i zanim Rick zdążył usiąść, otoczyło ich trzech młodych kelnerów w idealnie białych fartuchach. Jeden trzymał wielki półmisek z jedzeniem, drugi - półtoralitrową butelkę musującego wina, trzeci - koszyk z chlebem i dwie buteleczki, jedną z oliwą z oliwek i drugą z octem winnym. Nino strzelił palcami, coś pokazał, a Carlo warknął na jednego z

kelnerów. Ten odpowiedział tym samym tonem i obaj ruszyli w stronę kuchni, o coś się kłóć.

Rick popatrzył na półmisek. Pośrodku leżał wielki kawał twardego sera słomkowej barwy, otoczony precyzyjnie ułożonymi kręgami czegoś, co wyglądało na wędlinę. Intensywny, mieniający się kolor nie przypominał niczego, co Rick do tej pory widział. Sam i Nino mówili coś po włosku, a kelner szybko otworzył wino i naplnił kieliszki. Potem stanął w pogotowiu z wykrochmaloną serwetką przerzuconą przez rękę.

Nino podał kieliszki, a potem uniósł swój wysoko.

- Za wielkiego Ricka Dockery'ego i Super Bowl, który zdobędą Pantery z Parmy. - Sam i Rick upili łyk, Nino wychylił połowę kieliszka. - To malvasia secco - oznajmił - od producenta z sąsiedztwa. Dziś wieczorem wszystko będzie z Emilii. Oliwa z oliwek, ocet balsamiczny, wino i jedzenie, wszystko jest stąd - powiedział z dumą, bijąc się w pierś ogromną pięścią. - Najlepsze jedzenie na świecie.

Sam pochylił się do Ricka.

- Parma leży w regionie Emilia-Romania.

Rick skinął głową i wypił kolejny łyk. W czasie lotu przerzucił przewodnik i mniej więcej wiedział, gdzie jest. Włochy są podzielone na dwadzieścia regionów i jak się zorientował z pobieżnej lektury, wszystkie twierdziły, że mają najlepsze wino i jedzenie w całym kraju.

- A teraz o jedzeniu.

Nino wypił następny łyk wina, a potem pochylił się i zetknął dłonie czubkami palców. Wyglądał jak profesor, który ma zamiar rozpocząć swój najpopularniejszy wykład. Niedbałym gestem wskazał ser.

- Oczywiście znasz najwspanialszy z serów. *Parmigiano reggiano*. Nazywacie go parmezanem. Król serów, robiony właśnie tutaj. Prawdziwy parmezan pochodzi z naszego miasteczka. Ten wyprodukował mój wuj, cztery kilometry od miejsca, w którym siedzicie. Najlepszy.

Ucałował czubki palców, a potem elegancko ułożył kilka kawałków na półmisku i wrócił do wykładu.

- A to - oznajmił, wskazując pierwszy krąg - jest słynna na całym świecie *prosciutto*. Nazywacie ją szynką parmeńską. Robi się ją tylko tutaj, z mięsa świń karmionych jęczmieniem i owsem oraz mlekiem pozostałym z produkcji *parmigiano*. Nasza *prosciutto* ni gdy nie jest gotowana - powiedział z powagą, przez chwilę kiwając z dezaprobatą palcem. - Solona, dojrzewa na świeżym powietrzu i w atmosferze miłości. Przez osiemnaście miesięcy.

Wziął zręcznie małą kromkę ciemnego chleba, zanurzył ją w oliwie, a następnie położył na niej plasterek *prosciutto i parmigiano*. Kiedy uznał, że osiągnął ideał, podał ją Rickowi ze słowami:

- Mała kanapka.

Rick wziął ją do ust w całości, a potem zamknął oczy i rozkoszował się chwilą.

Dla kogoś, kto wychował się na MacDonalddie, wrażenie było oszałamiające. Smak pieścił wszystkie kubki smakowe, Rick starał się żuć jak najwolniej. Sam przygotowywał dla siebie kanapkę, a Nino nalewał wino.

- Dobre? - spytał Ricka.

- O, tak.

Nino podał quarterbackowi kolejny kąsek i wrócił do objaśnień:

- A tu mamy *culattello* z wieprzowego udźca. Mięso odcięte od kości, tylko najlepsze kawałki, a następnie zamarynowane w soli, białym winie, czosnku, mnóstwie ziół i nacierane ręcznie przez wiele godzin. Potem zostaje włożone do świńskiego pęcherza i dojrzewa przez czternaście miesięcy. Letnie powietrze suszy *culattello*, a wilgotna zima nadaje mu delikatność. - Kiedy mówił, jego ręce nie przestawały się poruszać: pokazywały, podnosiły kieliszek, kroiły ser, starannie mieszały ocet balsamiczny z oliwą z oliwek. - Na *culattello* wybiera się najlepsze świnie - wyjaśnił, znowu marszcząc brwi. - Małe czarne świnie z kilkoma czerwonymi łatami, karmione tylko naturalną paszą. I nigdy nie są zamknięte, o nie. Te świnie biegają swobodnie i jedzą żołądzie i kasztany. - Mówił o tych stworzeniach z takim szacunkiem, że wręcz trudno było uwierzyć, że chodzi o jedzenie.

Rick odkroił kawałek *culattello*, wędliny, o której nigdy dotąd nie słyszał. W końcu Nino przerwał na chwilę i podał mu kolejną małą

kromkę chleba z grubym krążkiem *culatello*, przykrytym plastrzem parmezanu.

- Dobrze? - zapytał, kiedy Rick przelknął swoją porcję i wyciągnął rękę po następną.

Ponownie napełniono kieliszki.

- Oliwa z oliwek pochodzi z gospodarstwa, które znajduje się kilka kilometrów na wschód. A ocet balsamiczny z Modeny, czterdzieści kilometrów na wschód. Tam mieszka Pavarotti. Najlepszy ocet balsamiczny jest z Modeny. Ale tu, w Parmie, mamy lepsze jedzenie.

Ostatni krąg na półmisku ułożono z salami Felino, wytworzonego właściwie na miejscu, dojrzewającego dwanaście miesięcy, niewątpliwie najlepszego salami we Włoszech. Nino podał je Samowi i Rickowi, a następnie podbiegł do drzwi, w których pojawili się inni goście. Kiedy zostali wreszcie sami, Rick wziął nóż i zaczął kroić wielkie kawałki parmezanu. Nałożył sobie pełny talerz wędlin, sera oraz chleba i jadł jak wygłodniały uchodźca.

- Może lepiej przystopuj - ostrzegł go Sam. - To tylko *antipasto*, taka rozgrzewka.

- Niezła rozgrzewka.

- Jesteś w formie?

- Ważę sto kilo, jakieś cztery kilo nadwagi. Spalę to.

- Ale na pewno nie dzisiaj.

Przyłączyło się do nich dwóch postawnych młodych ludzi, Paolo i Giorgio. Nino przedstawił ich quarterbackowi, jednocześnie krzyżąc na nich po włosku. Kiedy uściski i pozdrowienia się skończyły, obaj opadli na krzesła i wbili wzrok w *antipasto*. Sam wyjaśnił, że są linioowymi, którzy w razie potrzeby mogą grać w ataku i obronie. Rick poczuł nieco otuchy w sercu. Obaj mieli jakieś dwadzieścia pięć lat, szerokie klatki piersiowe i najwyraźniej potrafili rzucać przeciwnikami.

Kieliszki zostały napełnione, ser pokrojony, *prosciutto* zaatakowane z zapalem.

- Kiedy przyjechałeś? - zapytał Paolo. Mówił po angielsku z lekkim akcentem.

- Dziś po południu.

- Jesteś podekscytowany?

Rick postarał się, by jego „Jasne!” zabrzmiało przekonująco. W końcu czeka niecierpliwie na następne danie, cieszy go też perspektywa poznania włoskich cheerleaderek.

Sam wyjaśnił, że Paolo ma dyplom z teksańskiego A&M i pracuje w rodzinnej firmie produkującej małe traktory oraz sprzęt rolniczy.

- No to jesteś Aggie ²⁷ - powiedział Rick.

- Tak - potwierdził z dumą Paolo. - Kocham Teksas. Tam poznałem futbol.

Giorgio tylko się uśmiechał. Jadł, przysłuchując się rozmowie. Sam powiedział, że uczy się angielskiego, a potem szepnął, że jego wygląd jest mylący, ponieważ Giorgio nie potrafiłby zablokować nawet drzwi przed staruszką. Fantastycznie.

Powrócił Carlo, dyrygując kelnerami i zmieniając nakrycia. Nino przyniósł kolejną butelkę wina, które produkowano - co za niespodzianka - tuż za rogiem. Tym razem było to czerwone musujące lambrusco i oczywiście Nino znał winiarza. Wyjaśnił, że w Emilii-Romanii wytwarza się wiele świetnego lambrusco, ale to jest najlepsze. I będzie idealnym uzupełnieniem *tortellini in brodo*, które właśnie podaje jego brat. Nino cofnął się o krok i Carlo zaczął szybko recytować po włosku.

Sam po cichu błyskawicznie tłumaczył.

- To *tortellini* w mięsnym bulionie, słynne tutejsze danie. Małe kulki *pasty*, ciasta makaronowego, są faszerowane duszoną wołowiną, *prosciutto* i *parmigiano*. W różnych miastach dają różne nadzienia, ale oczywiście przepis z Parmy jest najlepszy. *Pasta* została wyrobiona dziś po południu osobiście przez Carla. Legenda głosi, że facet, który wymyślił *tortellini*, w ich kształcie odwzorował pępek pięknej nagiej kobiety. We Włoszech jest mnóstwo legend o jedzeniu, winie i miłości. Bulion jest na wołowinie, czosnku, maśle i paru innych rzeczach.

Nos Ricka zawisł kilka centymetrów nad miską, wchłaniając bogaty aromat potrawy.

Carlo uklonił się, a potem powiedział coś, jakby ostrzegając. Sam wyjaśnił:

- Mówi, że porcje są nieduże, ponieważ w drodze jest pierwsze danie.

Po pierwszym *tortellini* Rick prawie się rozplakał. Pływające w bulionie nadziewane kulki ciasta uwiiodły jego zmysły.

- To najlepsza rzecz, jaką w życiu jadłem - jęknął.

Carlo uśmiechnął się i ruszył do kuchni.

Rick popił pierwsze *tortellini* lambrusco i zaatakował pozostałe kulki pływające w głębokiej misie. Małe porcje? Paolo i Giorgio w skupionym milczeniu rozprawiali się ze swoimi *tortellini*. Tylko Sam okazywał nieco opanowania.

Nino usadził jakąś młodą parę przy sąsiednim stoliku, a następnie przybiegł z kolejną butelką, słynnym wytrawnym czerwonym sangiovese z winnicy pod Bolonią. Odwiedzał ją raz w miesiącu, by sprawdzić, jak dojrzewają grona.

- Następne danie jest nieco bardziej solidne - oznajmił. - Dlatego wino musi być mocniejsze. - Wyciągnął zgrabnie korek, powąchał butelkę, przewracając z zachwytem oczami, i zaczął nalewać. - Czekaj nas rozkosz - zapowiedział, napełniając pięć kieliszków, swój nieco obficie niż pozostałe. Kolejny toast na pohybel Lwom z Bergamo i już kosztowali wino.

Rick od zawsze był miłośnikiem piwa. Nagle przejście w świat włoskiego wina było oszałamiające, ale jednocześnie bardzo przyjemnie.

Jeden kelner zbierał miski od *tortellini*, drugi rozstawiał nowe talerze. Carlo wyłonił się z kuchni w asyście dwóch kelnerów i kierował ruchem.

- Moje ulubione - zaczął po angielsku, ale zaraz przeszedł na włoski.

- To faszzerowana rolada z ciasta makaronowego - tłumaczył Sam, a wszyscy wpatrywali się w ustawione przed nimi smakołyki. - Farsz jest z cielęciny, wieprzowiny, kurzych wątróbek, kiełbasy, sera *ricotta* i szpinaku, którymi jest przekładane cienkie ciasto.

Wszyscy poza Rickiem powiedzieli: *grazie*, a Carlo uklonił się jeszcze raz i zniknął. Prawie wszystkie miejsca w trattorii były już zajęte i słychać było gwar rozmów. Rick jadł bez przerwy, z zaciekawieniem obserwował też ludzi wokół siebie. Wyglądali na mieszkańców, którzy

przyjemnie spędzają czas przy tradycyjnym posiłku w pobliskim lokalu. W Stanach do takiej restauracji ludzie waliliby drzwiami i oknami. Tutaj traktowano je jako coś oczywistego.

- Macie dużo turystów? - zapytał.

- Nie tak wielu - odparł Sam. - Wszyscy Amerykanie jadą do Florencji, Wenecji i Rzymu. Trochę przyjeżdża w lecie. Najczęściej Europejczycy.

- Co można obejrzeć w Parmie? - W przewodniku rozdział poświęcony Parmie był bardzo krótki.

- Pantery? - podpowiedział ze śmiechem Paolo.

Sam zawtórował mu, upił łyk wina i zastanawiał się chwilę.

- To urocze niewielkie miasto z około stu pięćdziesięcioma tysiącami mieszkańców. Ma wspaniałe jedzenie i wina, wspaniałych ludzi, którzy ciężko pracują i dobrze żyją. Ale nie budzi wielkiego zainteresowania. I świetnie. Zgadzasz się, Paolo?

- Tak. Nie chcemy, żeby Parma się zmieniła.

Rick przeżuwał kąsek, starając się odnaleźć cielęcinę, ale to było niemożliwe. Wędliny, mięso, ser i szpinak łączyły się w jednym rozkosznym smaku. Z całą pewnością nie był już głodny, ale nie czuł, że jest przejezony. Siedzieli przy stole od półtorej godziny, to bardzo długi obiad jak na jego przyzwyczajenia, ale w Parmie była to dopiero rozgrzewka. Naśladując pozostałych, zaczął jeść wolniej, bardzo wolno. Włosi wokół niego więcej rozmawiali, niż jedli i w trattorii zrobiło się gwaro. Obiad to na pewno wspaniałe jedzenie, ale również wydarzenie towarzyskie.

Nino co kilka minut podchodził i pytał Ricka:

- Dobrze?

Wspaniałe, cudowne, pyszne, niewiarygodne.

W kolejnym daniu Carlo zrezygnował z ciasta. Na talerzach znalazły się niewielkie porcje *cotolette della parmigiana*, kolejnego słynnego dania z Parmy, jednego z ulubionych szefa kuchni.

- Kotlety cielęce po parmeńsku - tłumaczył Sam. - Kotlety cielęce rozbija się małym tłuczkiem, zanurza w jajku, smaży na patelni, a potem zapieka w piekarniku z parmezanem i bulionem, aż do roztopienia się sera. Wuj żony Carla sam hoduje cielęta. Dostarczył świeże mięso dziś po południu.

Carlo opowiadał, Sam tłumaczył, a Nino zajmował się kolejnym winem, wytrawnym czerwonym z rejonu Parmy. Ustawiono nowe, jeszcze większe kieliszki. Nino obracał swój w palcach, powąchał i upił łyk. Znow ekstatycznie przewrócił oczami i ocenił, że jest rewelacyjne. Chyba najlepsze ze wszystkich, a wyprodukował je bardzo bliski przyjaciel Nina.

Sam szepnął.

- Parma słynie zjedzenia, ale nie z wina.

Rick napił się wina, uśmiechnął do kotlecika na talerzu i przyrzekł sobie, że do końca obiadu będzie jadł nawet wolniej niż Włosi. Sam przyglądał mu się bacznie, przekonany, że pierwszy szok kulturowy załagodziło wino i dobre jedzenie.

- Często tak jadacie? - zainteresował się Rick.

- Nie codziennie, ale to nic wyjątkowego - odparł od niechcenia Sam. - Typowe jedzenie w Parmie.

Paolo i Giorgio kroili już kotlety, Rick powoli zajął się swoim. Zabrało im to pół godziny, a kiedy talerze były puste, sprzątnięto je z kurtuazją. Nastąpiła długa przerwa, Nino i kelnerzy obsługiwali inne stoliki.

Nie było wybierania deseru, ponieważ Carlo upiekł swój słynny *torta nera*, czarny tort, a Nino zadbał o specjalne wino - musujące białe z prowincji Parma. Wyjaśniał, że wymyślony w Parmie czarny tort to czekoladowe ciasto z migdałami i kawą, a ponieważ Carlo niedawno wyjął go z piekarnika, dodał do niego jedynie nieco lodów waniliowych. Nino miał wolną chwilę, odsunął krzesło i dołączył do kolegów z drużyny i trenera. Tort był ostatnim daniem, chyba że po nim mieliby jeszcze ochotę na sery i ziołowy likier na trawienie.

Nie mieli. W lokalu nadal siedzieli goście, kiedy Sam i Rick zaczęli dziękować gospodarzom i usiłovali się pożegnać. Uściski, poklepywania po plecach, potrząsanie dłońmi, obietnice, że będzie tu wracać, kolejne powitania w Parmie, kolejne podziękowania za niezapomniany obiad - rytuał ciągnął się w nieskończoność.

Paolo i Giorgio postanowili zostać, zjeść trochę sera i dopić wino.

- Nie prowadzę - oświadczył Sam. - Możemy się przejść. Twoje mieszkanie jest niedaleko, a ja złapię taksówkę.

- Przytyłem pięć kilo - poskarżył się Rick, wypinając brzuch i ruszając za trenerem.

- Witamy w Parmie.

DZWONEK PRZY DRZWIACH BRZĘCZAŁ PRZERAŻLIWIE jak tani skuter bez rury wydechowej. Terkotał długimi seriami, a ponieważ Rick słyszał go po raz pierwszy, początkowo nie wiedział, co oznacza ani skąd dobiega. W ogóle czuł się jak we mgle. Po maratonie w Café Montana z powodów i wtedy, i teraz niejasnych zajrzeli z Samem do pubu na kilka piw. Rick słabo przypominał sobie, że wrócił do siebie koło północy, ale od tego momentu nic, czarna dziura.

Leżał na sofie, zbyt krótkiej, aby mężczyzna jego wzrostu mógł wygodnie na niej spać, i słuchając tajemniczego dzwonka, starał się sobie przypomnieć, dlaczego wybrał salon zamiast sypialni. Nie przychodził mu do głowy żaden powód.

- Spokojnie! - krzyknął w stronę drzwi, gdy dobiegło go stukanie. - Idę!

Był na bosaka, ale miał na sobie dzinsy i podkoszulek. Długo przyglądał się opalonym stopom, czując, jak kręci mu się w głowie. Kolejny warkot dzwonka.

- Już, chwila! - burknął znowu. Niepewnym krokiem podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie.

Powitało go uprzejme *Buongiorno* niskiego, krępego mężczyzny z ogromnymi szarymi wąsami, w wygniecionym brązowym trenczu. Za nim stał policjant w eleganckim mundurze. Skinął głową, ale nic nie powiedział.

- Dzień dobry - odparł Rick z całym szacunkiem, na jaki mógł się zdobyć.

- Signor Dockery?

- Tak.

- Jestem z policji. - Z głębin trencza, wyjął legitymację, pomachał nią Rickowi pod nosem, a następnie schował ją niedbałym gestem, mówiącym: „Nie zadawaj pytań”. Równie dobrze mógł to być bilet z parkometru albo kwit z pralni.

- Romo, policja parmeńska - bąknął przez wąsy, które nawet nie drgnęły.

Rick spojrział na Roma, potem na gliniarza w mundurze i znowu na Roma.

- Okej - zdołał wykrztusić.

- Mamy skargi. Musi pan z nami pójść.

Rick skrzywił się i próbował coś powiedzieć, ale ciężka fala mdłości podeszła mu do gardła. Miał ochotę rzucić się do łazienki. Fala minęła. Dłonie miał spocone, kolana mu się uginały.

- Skargi? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak. - Romo kiwnął poważnie głową. Sprawiał wrażenie, że właśnie podjął decyzję i uznał, że Rick jest winny czegoś o wiele gorszego niż jakieś skargi. - Proszę z nami.

- Dokąd?

- Proszę z nami. Już.

Skargi? Ubiegłej nocy pub był właściwie pusty i razem z Samem nie rozmawiali z nikim poza barmanem. Gawędzili przy piwie o futbolu. Przyjemna rozmowa, bez przeklinania czy bójek z innymi gośćmi. Szli przez stare miasto do domu całkowicie bez przygód. Może góra jedzenia i morze wina sprawiło, że chrapał zbyt głośno, ale to przecież nie zbrodnia, prawda?

- Kto się skarżył? - spytał Rick.

- Sędzia wyjaśni. Musimy iść. Proszę włożyć buty.

- Aresztujecie mnie?

- Nie, może później. Idziemy. Sędzia czeka. - Dla lepszego efektu Romo odwrócił się i bardzo poważnie powiedział coś szybko po włosku do młodego gliniarza, który jeszcze bardziej zmarszczył brwi i pokręcił głową, jakby nie wyobrażał sobie gorszej sytuacji.

Najwyraźniej nie mieli zamiaru odejść bez signora Dockery'ego. Najbliższej leżały brązowe mokasy, które znalazł w kuchni. Kiedy je

wkładał i szukał marynarki, powtarzał sobie, że to jakieś nieporozumienie. Szybko umył zęby i próbował wypłukać z gardła posmak czosnku i zwietrzałego wina. Wystarczyło jedno spojrzenie w niewielkie lustro. Z całą pewnością wyglądał na winnego. Zaczerwienione, podpuchnięte oczy, trzydniowy zarost, rozczochrane włosy. Bezskutecznie usiłował je przygładzić, potem złapał portfel, pieniądze, klucze do mieszkania i komórkę. Może powinien zadzwonić do Sama.

Romo i jego pomocnik czekali cierpliwie na korytarzu. Obaj palili, żaden nie trzymał kajdanek. Wydawało się także, że właściwie nie mają ochoty łapać przestępców. Romo naoglądał się zbyt wielu seriali kryminalnych i każdy jego ruch był wystudiowany i znudzony. Skinął głową w stronę korytarza i powiedział:

- Pójdę z tyłu. - Wrzucił papierosa do popielniczki i wcisnął ręce głęboko w kieszenie trenca. Gliniarz w mundurze ruszył przodem, Romo osłaniał tyły. Pokonali trzy piętra i wyszli na chodnik. Była prawie dziewiąta jasnego wiosennego dnia.

Przy dobrze utrzymanym fiacie z kompletem kogutów na dachu i pomarańczowym słowem *Polizia* na drzwiach stał jeszcze jeden glinka. Zaciągał się papierosem i lustrował dwie kobiety, które właśnie go minęły. Spojrzał na Ricka z pełnym lekceważeniem i ponownie się zaciągnął.

- Przejdziemy się - oznajmił Romo. - To niedaleko. Chyba potrzebuje pan trochę świeżego powietrza.

To prawda, pomyślał Rick. Postanowił współpracować, zaliczyć parę plusów u tych gości i pomóc im ustalić prawdę, jakakolwiek by była. Romo wskazał kierunek głową i ruszył obok Ricka za mundurowym.

- Mogę zadzwonić? - zapytał Rick.

- Oczywiście. Do adwokata?

- Nie.

Telefon Sama łączył od razu z pocztą głosową. Rick pomyślał o Arniem, ale uznał, że niewiele by to dało. Tym bardziej że coraz trudniej było go złapać.

Szli po Strada Farini, obok sklepików z otwartymi drzwiami i oknami, ogródków kawiarnianych, w których ludzie siedzieli niemal bez

ruchu, zajęci gazetami i maleńkimi espresso. Rickowi przejaśniało się w głowie, żołądek się uspokajał. Mała mocna kawa bardzo by mu pomogła.

Romo zapalił następnego papierosa, wydmuchnął obłoczek dymu i zapytał:

- Podoba się panu Parma?

- Nie sędzę.

- Nie?

- Nie. Jestem tu od wczoraj i jestem aresztowany za coś, czego nie zrobiłem. Trudno polubić takie miasto.

- To nie aresztowanie - odparł Romo. Szedł ciężko, kołysząc się z boku na bok, jakby oba kolana zaraz miały się pod nim ugiąć. Przy co trzecim albo czwartym kroku jego bark trzącał prawe ramię Ricka.

- W takim razie jak to nazwać? - zainteresował się Rick.

- Mamy inny system. Bez aresztowania.

To z całą pewnością wszystko wyjaśnia. Rick ugryzł się w język i nie odpowiedział. Dyskusja nic mu nie da. Nie zrobił nic złego, prawda wkrótce wyjdzie na jaw. W końcu to nie jest jakaś dyktatura w Trzecim Świecie, gdzie zamykają przypadkowych ludzi, by miesiącami ich torturować. To Włochy, część Europy, serce zachodniej cywilizacji. Opera, Watykan, renesans, da Vinci, Armani, Lamborghini. O tym wszystkim przeczytał w swoim przewodniku.

Bywało gorzej. Jak dotąd aresztowano go tylko raz. Było to wiosną pierwszego roku na uczelni, kiedy razem z pijaną bandą postanowił dostać się na zorganizowane poza kampusem przyjęcie bractwa. Wybuchła bójka, natychmiast pojawiła się policja. Policjanci obezwładnili kilku chuliganów, skuli, trochę potarmosili i w końcu wrzucili do radiowozu, gdzie na dokładkę parę razy szturchnęli ich pałkami. W areszcie spali na zimnej betonowej podłodze w celi dla pijaków. Czterech z nich było członkami drużyny futbolowej Hawkeye²⁸ i kilka gazet napisało o ich kłopotach w sensacyjnym tonie.

Poza przeżyтым upokorzeniem Rick został zawieszony na trzydzieści dni, zapłacił czterysta dolarów grzywny, ojciec strasznie go ochrzanił, a trener zapowiedział, że jeszcze jeden, choćby drobny

wybryk będzie go kosztował stypendium ²⁹ i skończy się dla niego albo więzieniem, albo przeniesieniem do junior college ³⁰.

Przez następnych pięć lat Rickowi udało się nie dostać nawet mandatu za przekroczenie prędkości.

Przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili ostro w cichy wybrukowany zaułek. Przy drzwiach bez żadnej tabliczki stał spokojnie funkcjonariusz w innym mundurze. Wymieniono skinienia głową oraz kilka słów i poprowadzono Ricka przez drzwi, a następnie schodami z wyblakłego marmuru na drugie piętro. Tam znalazł się w korytarzu, w którym najwyraźniej mieściły się jakieś urzędy. Drzwi do pokojów były bure, ściany wymagały odmalowania. W smętnym szeregu wisiały portrety dawno zapomnianych urzędników. Romo wybrał twardą, drewnianą ławę i powiedział:

- Proszę siadać.

Rick posłusznie usiadł i jeszcze raz spróbował zadzwonić do Sama. Znowu poczta głosowa.

Jego przewodnik zniknął w jednym z gabinetów. Na drzwiach nie było żadnego nazwiska, żadnej wskazówki, gdzie oskarżony się znalazł ani kto ma go przyjąć. Z całą pewnością nigdzie w pobliżu nie znajdowała się sala sądowa. Brakowało typowej krzątanimy i gwaru zaaferowanych prawników, zaniepokojonych rodzin i gliniarzy przechadzających się tam i z powrotem. W oddali stukąła maszyna do pisania. Dzwoniły telefony i słychać było głosy.

Policjant w mundurze odszedł i zaczął rozmowę z młodą kobietą siedzącą przy biurku kilkanaście metrów dalej, w głębi korytarza. Wkrótce zapomniał o Ricku, który został sam. Równie dobrze mógłby niezauważony zniknąć. Ale po co?

Minęło dziesięć minut i mundurowy w końcu wyszedł bez słowa. Romo również zniknął.

Drzwi otworzyły się i sympatyczna kobieta zaprosiła go:

- Pan Dockery? Tak? Proszę.

- Rick wszedł do środka. Był to ciasny przedpokój z dwoma biurkami i dwoma sekretarkami, które uśmiechały się do Ricka, jakby ukrywały jakąś tajemnicę. Zwłaszcza jedna wydawała mu się atrakcyjna i Rick odruchowo usiłował wymyślić jakąś odzywkę. A co będzie, jeżeli dziewczyna nie mówi po angielsku?

- Chwileczkę - oznajmiła kobieta, która wpuściła go do pokoju.

Rick stał zakłopotany, a obie sekretarki udawały, że wróciły do pracy. Najwyraźniej Romo wyszedł bocznymi drzwiami i pewnie nęka już na ulicy kogoś innego.

Rick odwrócił się i zobaczył duże, podwójne drzwi z ciemnego drewna, a obok nich imponującą tabliczkę z brązu informującą, że urzęduje tu Giuseppe Lazzarino, *Giudice*. Rick podszedł bliżej, jeszcze bliżej, wskazał palcem słowo *Giudice* i zapytał:

- Co to znaczy?

- Sędzia.

Oba skrzydła drzwi otworzyły się nagle i twarzą w twarz z Rickiem stanął sędzia.

- Reek Dockery! - zawołał, wyciągając prawą dłoń, a lewą chwytając go za ramię. Zupełnie jakby nie widzieli się od lat. Bo też istotnie nie widzieli się nigdy.

- Jestem Giuseppe Lazzarino, Pantera. Fullback ³¹. - Wywijał ręką Ricka, ścisnął go i błyskał dużymi białymi zębami.

- Miło mi poznać - odparł Rick, usiłując się cofnąć.

- Witaj w Parmie, przyjacielu - mówił dalej Lazzarino. - Wejdz, proszę. - Teraz nie tylko potrząsał ręką Ricka, ale w dodatku ciągnął za nią. Gdy znaleźli się w wielkim gabinecie, puścił Ricka, zamknął drzwi i znowu powiedział: - Witaj.

- Dzięki. - Rick czuł się nieco oszołomiony. - Jest pan sędzią?

- Mów mi Franco - polecił Lazzarino, wskazując skórzaną sofę w kącie. Było oczywiste, że Franco jest zbyt młody jak na doświadczonego sędziego, a za stary na skutecznego fullbacka. Wielką, okrągłą głowę miał ogoloną na gładko. Jedynym widocznym na niej śladem owłosienia było dziwaczne, wąskie pasemko na szczęcie. Miał mniej więcej trzydzieści pięć lat, podobnie jak Nino, ale mierzył ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, był solidnie zbudowany i w dobrej formie. Franco opadł na fotel, przysunął go bliżej Ricka siedzącego na sofie i wyjaśnił: - Tak, jestem sędzią, ale ważniejsze że jestem fullbackiem. Franco to ksywka. Franco jest moim bohaterem.

Rick rozejrzał się wokół i zrozumiał. Franco był wszędzie. Naklejona na tekturę i wycięta naturalnej wielkości sylwetka Franca Harris'a biegnącego z piłką podczas meczu rozgrywanego w błocie.

Zdjęcie Franca i innych steelersów unoszących tryumfalnie nad głowami trofeum Vince'a Lombardiego ³². W ramach za szkłem biała koszulka z numerem 32, najwidoczniej podpisana osobiście przez wielkiego gracza. Mała figurka Franca Harrisa z przesadnie dużą głową na ogromnym biurku sędziego. I w widocznym miejscu, pośrodku ściany, dwie wielkie kolorowe fotografie. Jedna Franca Harrisa w pełnym meczowym rynsztunku Steleersów, ale bez kasku, druga samego sędziego w stroju Panter, z numerem 32 na koszulce, bez kasku i bardzo starającego się naśladować swojego bohatera.

- Kocham Franca Harrisa, największego włoskiego futbolistę - oświadczył Franco. Oczy miał wilgotne, głos ochrypli. - Tylko popatrz. - Triumfalnie wskazał gabinet, który wydawał się kapliczką gracza.

- Franco był Włochem? - zapytał powoli Rick. Chociaż nigdy nie był fanem Steelersów i miał za mało lat, aby pamiętać dni chwały dynastii z Pittsburgha, sporo wiedział o futbolu. Doskonale przypominał sobie, że Franco Harris był czarny, grał w Penn State, a potem w latach siedemdziesiątych doprowadził Steelersów do zdobycia kilku Super Bowl. Dominował nad innymi, był pro bowlerem ³³, a później znalazł się w galerii sław. Każdy kibic futbolu znał Franca Harrisa.

- Jego matka była Włoszką. A ojciec amerykańskim żołnierzem. Lubisz Steelersów? Ja ich kocham.

- Właściwie...

- Dlaczego nie grałeś dla Steelersów?

- Jeszcze do mnie nie zadzwonili.

Franco usiadł na krawędzi fotela, podniecony obecnością nowego rozgrywającego.

- Napijmy się kawy - zaproponował, zrywając się z miejsca i zanim Rick zdążył coś powiedzieć, był już przy drzwiach i wykrzykiwał polecenia do jednej z dziewczyn. Był elegancki: świetny czarny garnitur, włoskie mokasyne z długimi nosami, duży rozmiar.

- Naprawdę chcemy mieć w Parmie Super Bowl - oznajmił, chwytając coś z biurka. - Popatrz. - Skierował pilota w stronę stojącego w kącie telewizora z płaskim ekranem i nagle pojawiło się więcej ujęć Franca - jak przebija się przez linie, taranując obrońców, przeskakuje

nad walczącymi w parterze graczami, nurkując po przyłożeniu, odpycha wyprostowaną ręką zawodnika Cleveland Browns (tak!) i zdobywa kolejny touchdown ³⁴. Odbiera hand-off ³⁵ od Bradshawa, a następnie powala dwóch potężnych liniowych. Były to najlepsze zagrania Franca, długie, mordercze biegi, na które przyjemnie było patrzeć. Przy każdej wspaniałej akcji sędzieja podrygiwał, kołysał się i wymachiwał pięściami.

Ile razy to oglądał? - pomyślał Rick.

Ostatnim zagranieniem było słynne Niepokalane Przyjęcie ³⁶. Franco złapał przypadkowo odbite przez obrońcę podanie i przebył triumfalnie pole punktowe Oakland Raiders w rozegranym w 1972 roku meczu play-off. Akcja wywołała więcej dyskusji, analiz, omówień i bójek niż jakakolwiek inna w historii NFL, a sędzieja znał chyba na pamięć każdy kadr.

Przyszła sekretarka z kawą i Rickowi udało się powiedzieć:

- *Grazie.*

Potem znowu oglądali wideo. Część druga była ciekawa, ale trochę przygnębiająca. Sędzia dodał swoje najlepsze zagrania - parę niemrawych biegów, pomiędzy liniowymi a wspomagającymi i wokół, jeszcze słabszych od niego. Uśmiechał się promiennie do Ricka, kiedy oglądali Pantery w akcji. Rick po raz pierwszy poznał swoją przyszłość.

- Podoba ci się? - zapytał Franco.

- Fajne - odparł Rick. To słowo wydawało się właściwą odpowiedzią na wiele pytań w Parmie.

Ostatnim zagranieniem była zasłona ³⁷, w której sędzia odebrał podanie od wyczerpanego rozgrywającego. Przycisnął piłkę do brzucha, pochylił się jak żołnierz piechoty i zaczął szukać pierwszego obrońcy do uderzenia. Kilku odbiło się od niego i Franco dzięki kopniakowi miał już przed sobą wolną drogę do pola punktowego. Dwóch cornerbacków ³⁸ podjęło beznadziejną próbę wbicia się kaskami w jego nogi, ale opełdził się od nich, jak od much. Sędzia Franco szybował przy linii bocznej, wyginając się dumnie w swojej najlepszej imitacji gry Franca Harriisa.

- To nagranie w zwolnionym tempie? - spytał Rick, siląc się na dowcip.

Sędzia otworzył usta ze zdziwienia. Był dotknięty.

- Tylko żartowałem - rzucił szybko Rick. - To żart.

Franco usiłował zmusić się do śmiechu. Kiedy na filmie przeciął linię pola punktowego, uderzył piłką w murawę, a ekran zrobił się czarny.

- Od siedmiu lat gram jako fullback - powiedział sędzia, ponownie przysiadając na krawędzi fotela. - I nigdy nie wygraliśmy z Bergamo. W tym roku, z naszym wspaniałym quarterbackiem wygramy Super Bowl. Prawda?

- Oczywiście. A gdzie uczyłeś się futbolu?

- Od kilku przyjaciół.

Wypili po łyku kawy i zapadła niezręczna cisza.

- Którym sędzią jesteś? - zapytał w końcu Rick.

Franco potarł podbródek i myślał długo, jakby nigdy dotąd nie zastanawiał się, co właściwie robi.

- Mam mnóstwo zajęć - odparł wreszcie z uśmiechem. Zadzwoił telefon na biurku i sędzia, chociaż go nie odebrał, spojrzął na zegarek.

- Jesteśmy tacy szczęśliwi, że mamy cię w Parmie, przyjacielu. Mój quarterbacku.

- Dzięki.

- Spotkamy się dziś wieczorem na treningu.

- Oczywiście.

Sędzia wstał. Wzywały go obowiązki. Rick nie spodziewał się, że zapłaci grzywnę albo zostanie ukarany w inny sposób, ale przecież „skargi”, o których mówił Romo, chyba musiały być jakoś załatwione?

Najwyraźniej nie. Franco wyprowadził Ricka z gabinetu wśród obowiązkowych uścisków, potrząśnięcia dłonią i obietnic wszelkiej pomocy. Chwilę potem Rick był już na korytarzu, zszedł po schodach i jako wolny człowiek znalazł się z powrotem na ulicy.

8

W PUSTEJ KAFEJCE Sam przeglądał pękaty playbook ³⁹ Panter, na który składało się tysiące symboli, setki zagrań ofensywnych i tuziny schematów obronnych. Książka była pokaźna, ale nawet w przybliżeniu nie tak gruba, jak playbooksi drużyn college'ów i całe tomisko używane w NFL. W porównaniu z nimi przypominała zaledwie notatnik. Według Włochów zbyt gruby. W czasie nudnych i długich sesji przy tablicy często ktoś mamrotał, że teraz wiadomo, dlaczego niemal na całym świecie piłka nożna jest tak popularna. Łatwo się jej nauczyć, grać w nią i ją rozumieć.

A Sam i tak miał zawsze ochotę powiedzieć, że to tylko podstawy.

Rick przyszedł dokładnie o wpół do dwunastej, kawiarnia wciąż była pusta. Tylko dwóch Amerykanów mogło wymyślić lunch o tak dziwnej porze. I to lunch złożony wyłącznie z sałatek i wody.

Rick wziął prysznic, ogolił się i w o wiele mniejszym stopniu wyglądał na kryminalistę. Z ożywieniem opowiedział o spotkaniu z detektywem Romo, jego „niearesztowaniu” i spotkaniu z sędzią Frankiem. Sam ubawił się setnie i zapewnił Ricka, że żaden Amerykanin nie został w tak szczególny sposób powitany przez sędziego. On również widział wideo. Tak, Franco w naturze ruszał się równie powoli jak na filmie, ale był groźnym blokującym, który mógłby przebiec przez mur z cegieł albo przynajmniej próbować to zrobić.

Sam wyjaśnił, że według jego ograniczonej wiedzy włoscy sędziowie różnią się od swoich amerykańskich kolegów. Franco miał szerokie

uprawnienia, mógł wszczynać dochodzenia i postępowania sądowe, a także przewodniczył rozprawom. Po trzydziestosekundowym podsumowaniu włoskiego systemu prawnego wyczerpał swoje informacje w tej kwestii, wrócili więc do futbolu.

Grzebali w sałacie, szturchali widelcami pomidory, ale żaden nie miał szczególnego apetytu. Po godzinie wyszli, żeby załatwić parę spraw. Pierwszą z nich było otwarcie rachunku. Sam wybrał bank głównie ze względu na to, że jeden z zastępców dyrektora mówił po angielsku wystarczająco biegle, by rozwiązać problem. Zmusił Ricka, żeby sam załatwił sprawę, i pomagał mu jedynie, gdy rozmowa utykała w martwym punkcie. Trwało to godzinę. Rick był sfrustrowany i nie na żarty spłoszony. Nie zawsze będzie z nim Sam, by tłumaczyć.

Po krótkim zwiedzaniu okolic domu Ricka i centrum Parmy znaleźli niewielki sklepik z owocami i warzywami wystawionymi na chodniku. Sam tłumaczył, że Włosi wolą kupować każdego dnia świeżą żywność i unikają gromadzenia żywności puszkowanej czy w proszku.

- Tutaj pomysł Kroegera nie chwycił - powiedział. - Cały plan dnia gospodyń kręci się wokół zakupów spożywczych.

Rick posłusznie włókł się za nim zupełnie niezainteresowany gotowaniem. Po co zawracać sobie tym głowę? Jest tyle miejsc, gdzie można coś zjeść. Sklepy z winem i serami też go nie ciekawiły, w każdym razie do chwili, gdy dostrzegł bardzo atrakcyjną młodą dziewczynę sprzedającą czerwone wina. Sam pokazał mu dwa sklepy z męską odzieżą i znowu dał do zrozumienia, że powinien zrezygnować z janekskich ciuchów i dostosować się do miejscowej mody. Znaleźli też pralnię, bar ze wspaniałym cappuccino, księgarnię, w której wszystkie książki były po włosku, i pizzerię z menu w czterech językach.

W końcu przyszła pora na samochód. Gdzieś w małym imperium signora Bruncarda znalazł się używany, ale czysty i lśniący fiat punto, który przez następnych pięć miesięcy miał należeć do rozgrywającego. Rick obszedł go dookoła, dokładnie obejrzał, nie mówiąc ani słowa, ale nie mógł odpędzić myśli, że w SUV-ie, który prowadził jeszcze trzy dni temu, zmieściłyby się cztery takie autka.

Wcisnął się na fotel kierowcy i obejrzał deskę rozdzielczą.

- Może być - powiedział wreszcie do Sama, który stał nieopodal na chodniku.

Dotknął dźwigni zmiany biegów i uświadomił sobie, że poruszyła mu się pod dłonią. Niewiele, ale jednak. Potem jego stopa natknęła się na coś, co nie było pedałem hamulca. Sprzęgło?

- To ręczna skrzynia biegów? - zapytał.

- Tu wszystkie samochody mają taką. To chyba nie jest problem?

- Oczywiście, że nie.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jego lewa stopa wciskała sprzęgło. Przyjaciel w liceum miał mazdę z dźwignią zmiany biegów i Rick ćwiczył na niej kilka razy. To było jakieś dziesięć lat temu. Wysiadł, zatrzasnął drzwi i miał ochotę zapytać: „Macie coś z automatem?” Ale nie zapytał. Nie mógł im pokazać, że przejmuje się czymś tak prostym, jak samochód ze sprzęgłem.

- Albo to, albo skuter - oświadczył Sam.

Rick ledwo się powstrzymał, żeby nie powiedzieć: dajcie mi skuter.

Sam zostawił go przy fiacie, którym Rick bał się jeździć. Umówili się za kilka godzin w szatni. Powinien jak najszybciej otrzymać playbook. Włosi mogli nie umieć wszystkich zagrywek, ale quarterback był do tego zobowiązany.

Rick obszedł naokoło cały kwartał, wspominając wszystkie playbooki, z którymi męczył się w czasie swojej koczowniczej kariery. Arnie dzwonił z nową umową. Rick wyruszał do nowej drużyny strasznie podekscytowany. Szybkie „cześć” w biurze, krótkie zwiedzanie stadionu, szatni, i tak dalej. A potem cały entuzjazm zniknął w chwili, kiedy pojawiał się jakiś asystent trenera z potężnym playbookiem i rzucał gojeniu. I zawsze takie samo polecenie: „Do jutra naucz się tego na pamięć”.

- Oczywiście, trenerze. Tysiąc zagrywek. Nie ma sprawy.

Ile playbooków? Ilu asystentów trenera? Ile drużyn? Ile przystanków na drodze, która zaprowadziła go do małego miasta w północnych Włoszech? Wypił piwo w kawiarnianym ogródku, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że to nie jest jego miejsce.

Powłócząc nogami, przeszedł przez sklep z winem przerażony, że sprzedawca może go zapytać, czy potrzebuje czegoś konkretnego. Ładnej dziewczyny sprzedającej czerwone wino już nie było.

A potem wrócił i patrzył na fiata z pięcioma biegami, sprzęgłem i całym dobrodziejstwem ręcznej skrzyni biegów. Nie podobał mu się nawet widziany po raz pierwszy kolor ciemnej miedzi. Wóz stał przy ruchliwej jednokierunkowej ulicy w rzędzie zaparkowanych jeden za drugim podobnych samochodów, których zderzaki dzieliło niecałe trzydzieści centymetrów. Każda próba wypełnienia stąd na jezdnię będzie wymagała manewrowania do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu, przynajmniej z pół tuzina razy. Trzeba po mistrzowsku operować sprzęgłem, dźwignią zmiany biegów i pedałem gazu.

Nawet z automatyczną skrzynią biegów byłoby to wyzwanie. Czemu ci ludzie parkują tak blisko siebie? Kluczyki miał w kieszeni.

Może później. Wrócił do mieszkania i się zdrzemnął.

RICK SZYBKO PRZEBRAŁ SIĘ w treningowy strój Panter - czarną koszulkę, srebrne spodenki, białe skarpety. Każdy zawodnik sam kupował sobie buty. Rick przywiózł trzy pary nike'ów, które Brownsi tak chętnie rozdawali członkom drużyny. Większość graczy NFL miała kontrakt na buty. Rickowi nigdy go nie zaproponowano.

Był sam w szatni i kartkował playbook, kiedy do środka wpadł szeroko uśmiechnięty Sly Turner w jaskrawopomarańczowej bluzie denverskich Broncosów. Przedstawili się sobie, grzecznie podali ręce i w końcu Rick zapytał:

- Nosisz to z jakiegoś powodu?
- Kocham moich Broncosów - odparł z uśmiechem Sly - Wychowałem się niedaleko Denver, chodziłem do uniwersytetu stanu Kolorado.
- Fajnie. Słyszałem, że jestem popularny w Denver.
- Kochamy, cię, człowieku.
- Zawsze potrzebowałem miłości. Będziemy kumplami, Sly?
- Jasne, tylko podawaj mi piłkę dwadzieścia razy w ciągu meczu.
- Załatwione. - Rick wyjął but z szafki, wolno włożył go na prawą stopę i zaczął sznurować. - Zostałeś wybrany w naborze?

- W siódmej rundzie przez Coltsów, cztery lata temu. Byłem ostatnim graczem, którego ucieli 40. Rok w Kanadzie, dwa lata w hali. - Uśmiech zniknął i Sly zaczął się przebierać. Miał chyba mniej niż sto siedemdziesiąt centymetrów, ale za to był zbudowany z samych mięśni.

- Od ubiegłego roku jesteś tutaj, prawda?

- Tak. Nie jest źle. Nawet zabawnie, jeżeli masz poczucie humoru. Chłopcy w drużynie są świetni. Gdyby nie oni, nigdy bym nie wrócił.

- Czemu tu jesteś?

- Z tego samego powodu, co ty. Jestem za młody, żeby zrezygnować z marzenia. A poza tym mam żonę i dzieciaka i potrzebuję forsy.

- Forsy?

- Smutne, no nie? Zawodowy futbolista, który zarabia dziesięć tysięcy zielonych za pięć miesięcy pracy. Ale jak mówię, nie dojrzałem do tego, żeby zrezygnować.

W końcu zdjął pomarańczową bluzę i włożył koszulkę Panter.

- Zróbmy rozgrzewkę - zaproponował Rick i razem wyszli z szatni na boisko. - Mam trochę sztywną rękę - powiedział, wykonując słaby rzut.

- Masz szczęście, że nie zostałeś inwalidą - stwierdził Sly.

- Dzięki.

- To był numer. Siedziałem u brata, darliśmy się, oglądając mecz w telewizji, wydawało się, że już po wszystkim, ale Maroon został kontuzjowany. Jedenaście minut przed końcem wszystko wydawało się beznadziejne i nagle...

Rick na chwilę wstrzymał rzut.

- Sly, słowo daję, wolałbym nie przerabiać tego jeszcze raz. Dobra?

- Jasne. Przepraszam.

- Twoja rodzina jest tutaj? - spytał Rick, szybko zmieniając temat.

- Nie, zostali w Denver. Zona jest pielęgniarką, to dobra praca. Powiedziała mi, że daje mi jeszcze rok na futbol, a potem koniec z marzeniami. Masz żonę?

- Nie, nic z tych rzeczy.

- Spodoba ci się tutaj.
- Opowiedz mi o tym. - Rick cofnął się pięć jardów i poprawił celność podań.

- Cóż, to zupełnie inna kultura. Kobiety są piękne, ale o wiele bardziej powściągliwe. To szowinistyczne społeczeństwo. Mężczyźni nie żenią się przed trzydziestką. Mieszkają razem z matkami, które wokół nich skaczą, a kiedy się już ożenią, oczekują od żon tego samego. Kobiety niechętnie wychodzą za mąż. Muszą pracować i dlatego mają mniej dzieci. Przyrost naturalny gwałtownie spada.

- Zasadniczo nie chodziło mi o małżeństwo i przyrost naturalny, Sly. Bardziej interesuje mnie nocne życie, rozumiesz?

- No tak, jest mnóstwo dziewczyn, i to ładnych, ale są problemy z językiem.

- A cheerleaderki?

- Co cheerleaderki?

- No, czy są fajne, łatwe, dostępne?

- Nie wiem. Nie mamy żadnych.

Rick wstrzymał piłkę, zamarł i spojrzał ostro na tailbacka ⁴¹.

- Nie macie cheerleaderek?

- Nie.

- Ale mój agent.... - Urwał, zanim zdążył zrobić z siebie głupka. Agent obiecał mu coś, czego po prostu nie było. Ciekawe, czego jeszcze się dowie.

Sly śmiał się głośno i zaraźliwie.

- Zrobił cię w konia, palancie. Przyjechałeś tu dla cheerleaderek? - nabijał się.

Rick rzucił bombę, którą Sly złapał bez trudu czubkami palców, śmiejąc się bez przerwy.

- Jakbym słyszał mojego agenta. Tylko połowa z tego, co mówi, to prawda.

Rick w końcu sam zaczął się z siebie śmiać. Znowu cofnął się pięć jardów.

- Jak się tu gra? - zapytał.

- Absolutnie cudownie, bo nie mogą mnie złapać. W ubiegłym roku w czasie jednego meczu robiłem przeciętnie dwieście jardów.

Będziesz się świetnie bawił, jeżeli zdołasz zapamiętać, że trzeba rzucać do naszych graczy, a nie do przeciwników.

- Kiepski dowcip. - Rick posłał kolejną bombę. Sły znów z łatwością ją złapał i odrzucił lekko. Niepisana zasada obowiązywała, nigdy nie odrzucać mocno piłki rozgrywającemu.

Z szatni wybiegł kolejny czarny gracz Panter, Trey Colby, wysoki, tykowany chłopak, zbyt chudy jak na futbolistę. Uśmiechał się spokojnie i po chwili zapytał Ricka:

- Wszystko w porządku, stary?
- Całkiem nieźle, dzięki.
- Bo jak cię widziałem ostatni raz, leżałeś na noszach i...
- Jest ok, Trey. Porozmawiajmy o czymś innym.

Sły rozkoszował się tą chwilą.

- Woli o tym nie mówić. Już próbowałem - oznajmił.

Przez godzinę ćwiczyli łapanie piłki i rozmawiali o graczach, których znali w Stanach.

WŁOSI BYLI W ROZRYWKOWYM NASTROJU. Na pierwszy trening przyszli wcześniej i robili dużo hałasu. Sprzeczekali się, kto weźmie którą szafkę, narzekali na kolor ścian, wykrzykiwali mnóstwo obelg w stronę chłopaka od wyposażenia i przysięgali Bergamo zemstę we wszelkich możliwych postaciach. Przebierając się w stroje treningowe, nieustannie obrażali i wyśmiewali jeden drugiego. W szatni było tłoczno i gwaro, atmosfera przypominała akademik.

Rick chłonał to wszystko. Było ich około czterdziestu, od chłopaków wyglądających na nastolatków po kilku leciwych wojowników koło czterdziestki. Paru było solidnie zbudowanych i większość w doskonałej formie. Sły powiedział, że pomiędzy sezonami podnoszą ciężary i przepychają się nawzajem w pokoju do ważenia. Ale kontrast był uderzający i Rick, choć próbował tego nie robić, musiał dokonać pewnych porównań. Po pierwsze, z wyjątkiem Sły i Treya wszyscy byli biali. W każdej drużynie NFL, którą znał, czarnych było przynajmniej siedemdziesiąt procent. Nawet w Iowa, do licha, nawet w Kanadzie, stanowili połowę drużyny. I chociaż w szatni było kilku wielkich chłopaków, nie było takich, którzy ważyliby sto trzydzieści kilo. W Brownsach mieli ośmiu graczy powyżej stu czterdziestu kilogramów, tylko dwóch miało mniej niż dziewięćdziesiąt kilogramów. U Panter zaledwie kilku osiągało osiemdziesiąt kilo.

Trey wspomniał, że są podekscytowani przybyciem nowego quarterbacka, ale mieli opory przed nawiązaniem bliższego kontaktu.

Aby temu zaradzić, sędzia Franco zajął miejsce z prawej strony Ricka, Nino z lewej. Dokonywali długich, nawet rozwlekłych prezentacji, kiedy zawodnicy po kolei witali się z Amerykaninem. Każda z nich zawierała przynajmniej dwie obelgi i często Franco i Nino sprzymierzali się przeciwko rodakom. Ricka obejmowano, ściskano, komplementowano, aż poczuł się prawie zakłopotany. Był zaskoczony ich znajomością angielskiego. Każdy zawodnik Panter w jakimś stopniu władał tym językiem.

Sly i Trey trzymali się blisko niego, pokpiwali sobie, a przy okazji odnawiali znajomości z dawnymi kolegami. Obaj przyrzekli sobie, że to ich ostatni rok we Włoszech. Niewielu Amerykanów wracało na trzeci sezon.

Trener Russo poprosił o ciszę i powitał wszystkich. Mówił po włosku powoli i z namysłem. Zawodnicy leżeli na podłodze, siedzieli na ławkach, krzesłach, nawet w szafkach. Rick mimo woli przypomniał sobie szatnię w liceum Davenport South. Była przynajmniej cztery razy większa od tej, w której się znajdował.

- Wszystko rozumiesz? - szepnęła do Slya.
- Jasne - odpowiedział Sly z uśmiechem.
- No to co on mówi?
- Ze drużyna nie mogła znaleźć pomiędzy sezonami przyzwoitego rozgrywającego i znowu mamy przechłapanie.
- Ciszka! - wrzasnęła na Amerykanów Sam, co rozbawiło Włochów.

Gdybyście tylko wiedzieli, pomyślał Rick. Pewnego razu widział, jak dość znany trener NFL objechał nowicjusza za pogawędki na odprawie drużyny w czasie obozu. Zrugął go tak, że niemal doprowadził go do placzu. Niektóre z najbardziej pamiętnych słownych upuszczeń krwi dokonały się nie w ogniu walki, lecz w pozornie bezpiecznej szatni.

- *Mi dispiace* - powiedział głośno Sly, wywołując jeszcze większy śmiech.

Sam znowu zaczął mówić.

- Co to znaczy? - szepnęła Rick.
- To znaczy przepraszam - syknął przez zaciśnięte zęby Sly. - A teraz się zamknij.

Rick wspomniał wcześniej Samowi, że chciałby powiedzieć drużynie kilka słów. Kiedy Sam skończył powitalne uwagi, przedstawił Ricka i zajął się tłumaczeniem. Rick wstał, skinął głową nowym kolegom i zaczął:

- Naprawdę cieszę się, że tu jestem, i z niecierpliwością oczekuję sezonu.

Sam podniósł rękę: poczekaj, tłumaczenie. Włosi się uśmiechnęli.

- Chciałbym wyjaśnić jedną sprawę. Poczekaj, znowu włoski.

- Grałem w NFL, ale niezbyt dużo i nigdy w Super Bowl.

Sam zmarszczył brwi i przetłumaczył. Później wyjaśnił, że Włosi niezbyt przychylnie patrzą na skromność i niską samoocenę.

- Jako zawodowy gracz właściwie nigdy nie wybiegłem w pierwszym składzie.

Kolejne zmarszczenie brwi, wolniejsze tłumaczenie na włoski. Rick zastanawiał się, czy Sam go nie cenzuruje. Włosi się nie uśmiechali.

Rick zerknął na Nina i mówił dalej:

- Po prostu chciałem to wyjaśnić. Moim celem jest zdobycie mojego pierwszego Super Bowl tutaj, we Włoszech. – Głos Sama przybrał na sile, a kiery skończył, w pomieszczeniu rozległy się gromkie brawa. Rick usiadł i natychmiast znalazł się w niedźwiedzim uścisku Franca, który delikatnie wymanewrował Nina z funkcji ochroniarza.

Sam przedstawił plan treningu i na tym przemówienia się skończyły. Z bojowym okrzykiem wszyscy wypadli z szatni na boisko, gdzie ustawili się w mniej więcej zorganizowanym szyku i rozpoczęli rozciąganie. W tym momencie kontrolę przejął facet o byczym karku, ogolonej głowie i wielkich bicepsach. Alex Olivetto, były gracz, a obecnie asystent trenera, prawdziwy Włoch. Maszerował wzdłuż szeregów zawodników, wykrzykując rozkazy jak rozwścieczony feldmarszałek i nikt nie odważył mu się odszczekiwać.

- To prawdziwy psychol - rzucił Sly, kiedy Alex znalazł się od nich daleko.

Rick stał na końcu szeregu, obok Slya i za Treyem, i robił to, co oni. Alex zaczął od podstaw - podskoki do rozkroku, pompki, przysiady - aż do męczącej serii biegów w miejscu, połączonych z padami i cofaniem się. Po piętnastu minutach Rick dyszał ciężko, starając się zapomnieć o wczorajszym obiedzie. Zerknął w lewo i zobaczył, że Nino jest również solidnie spocony

Po trzydziestu minutach Rick miał wielką ochotę wziąć Sama na bok i wyjaśnić mu kilka spraw. Jest quarterbackiem, a zawodowy quarterback nie podlega takiej samej musztrze i ćwiczeniom z obozu rekrutów jak pozostali gracze. Ale Sam był daleko, na drugim końcu boiska. Nagle Rick zorientował się, że jest obserwowany. W miarę rozgrzewki dostrzegał spojrzenia kolegów sprawdzających, czy prawdziwy, zawodowy quarterback zechce męczyć się razem z nimi. Czy jest prawdziwym członkiem drużyny, czy tylko primadonna na gościnnych występach?

Podkreślił tempo, żeby wyrzucić na nich wrażenie.

Sprinty zazwyczaj odkładano na koniec treningu, ale nie u Aleksa. Po czterdziestu pięciu minutach morderczych ćwiczeń członkowie drużyny zebrali się na linii pola punktowego i w grupach po sześciu przebiegali sprintem czterdzieści jardów w głąb boiska. Tam czekał na nich Alex, bardzo często używając gwizdka, paskudnie rugając każdego, kto przybiegł ostatni. Rick ćwiczył z biegaczami. Sly bez trudu odrywał się od wszystkich, a Franco równie łatwo dreptał na końcu. Rick trzymał się w środku i wspominał wspaniałe dni w Davenport South, kiedy pędził jak szalony i zawdzięczał niemal tyle samo przyłożeń swoim nogom, co ramieniu. W college'u stracił szybkość i przestał być biegającym quarterbackiem. U zawodowców biegi były niemal zakazane - w ten sposób najłatwiej złapać kontuzję.

Włosi rozmawiali ze sobą, zachęcając się nawzajem do rywalizacji, a biegi ciągnęły się w nieskończoność. Po pięciu kolejkach wszyscy ciężko dyszeli, Alex natomiast dopiero się rozgrzewał.

- Potrafisz się zrzygać? - zapytał Sly między haustami powietrza.

- Bo co?

- Bo będzie nas ganiał, dopóki któryś z nas nie puści pawia.
- Nie krępuj się.
- Bardzo bym chciał.

Po dziesięciu czterdziestkach Rick zadawał sobie pytanie, czego właściwie oczekiwał od Parmy. Ściągną podkolanowe palily go jak ogniem, łydki bolały, był zmordowany, ciężko dyszał i ociekał potem, chociaż na dworze było zaledwie ciepło. Będzie musiał pogadać z Samem i postawić parę spraw jasno. To nie jest licealny futbol, a on jest przecież zawodowcem.

Nino rzucił się do linii bocznej, zerwał kask i zrobił co trzeba. Cała drużyna głośno dodawała mu otuchy, a Alex trzykrotnie ostro dmuchnął w gwizdek. Sam zrobił krok do przodu i wydał polecenie. Zajmie się running backami i skrzydłowymi. Nino liniowym ataku. Alex line-backerami ⁴² i liniowymi obrony. Trey dostał zawodników trzeciej linii obrony. Rozbiegli się po boisku.

- To Fabrizio - powiedział Sam, przedstawiając Rickowi dość szczupłego skrzydłowego. - Nasz skrzydłowy, wspaniałe dłonie. - Kiwnęli sobie głowami. Apodyktyczny, nerwowy, dar Boży dla włoskiego futbolu, tak Sam scharakteryzował Fabrizia i zasugerował, by przez pierwszych kilka dni Rick traktował chłopaka ulgowo. W NFL było niemało skrzydłowych, którzy mieli kłopoty z bombami Ricka, zwłaszcza na treningach. W czasie meczów jednak bomby, choć piękne, zbyt często leciały Panu Bogu w okno. Parę z nich złapali kibice siedzący w piątym rzędzie.

Rezerwowym quarterbackiem był dwudziestoletni Włoch. Alberto Jakiśtam. Rick rzucał lekkie podania przy linii bocznej do jednej z grup, Alberto do drugiej. Według Sama Alberto wołał biegać z piłką, ponieważ miał dość słabe ramię. I rzeczywiście. Rick zauważył to już po kilku podaniach. Alberto rzucał tak, jakby pchał kulą, a jego podania fruwały jak zranione ptaki.

- W ubiegłym roku też był rezerwowym? - zapytał Rick, kiedy Sam znalazł się nieco bliżej.

- Tak, ale nie grał zbyt wiele.

Fabrizio był urodzonym sportowcem. Poruszał się szybko, a jego dłonie były bardzo sprawne. Starał się zachowywać z nonszalancją, zupełnie jakby wszystko, co rzucał mu Rick, było łatwizną.

Lekceważąco złapał kilka podań, demonstrując przesadną pewność siebie. Tym samym popełnił grzech, który w NFL kosztowałby go bardzo wiele. Przy nienadzwyczajnym quick-oucie ⁴³ złapał piłkę jedną ręką tylko po to, by się popisać. Podanie było celne i nie musiał tego robić. Rick wściekł się, ale Sam go uspokoił.

- Odupuś sobie - uspokoił go. - Nie potrafi się inaczej zachowywać.

Ramię Ricka wciąż było nieco obolałe i chociaż nie zależało mu, by komuś tu zaimponować, miał ogromną ochotę rzucić bombę prosto w pierś Fabrizia i zobaczyć, jak ten pada skoszony. Wyluzuj, powiedział sobie, to po prostu dzieciak, który się bawi.

Potem Sam zwymyślał Fabrizia za niechlujne bieganie ścieżek i chłopak nadał się jak dziecko. Jeszcze kilka dłuższych podań, po czym Sam zebrał obronę, żeby omówić podstawowe akcje. Nino kucnął nad piłką, a Rick, aby uniknąć powybijania palców, zaproponował, żeby przeciwicyli wolno kilka snapów ⁴⁴. Nino przyznał że to doskonały pomysł, ale kiedy dłonie Ricka dotknęły jego tyłka, drgnął. Nie był to zdecydowany ruch, nic, co dałoby sędziemu powód do rzucenia flagi ⁴⁵ za falstart ⁴⁶ lub spalony ⁴⁷, ale wyraźny skurecz pośladków, jak u ucznia, który za chwilę ma otrzymać solidnego klapsa grubą drewnianą linią. Być może to nerwowa reakcja na nowego quarterbacka, pomyślał Rick. Przy następnym snapie Nino ustawił się nad piłką. Rick pochylił się nieco do przodu, wsunął ręce tuż pod jego siedzenie, dokładnie tak, jak robił to od gimnazjum, i znów przy dotknięciu pośladki Nina odruchowo się zacisnęły.

Snapy były wolne, delikatne i Rick od razu się zorientował, że potrzeba wiele czasu, żeby poprawić technikę Nina. Tak powolne wprowadzenie piłki do gry zmarnowałoby chwilę, gdy running backowie rzucają się w swoje dziury ⁴⁸, a skrzydłowi ruszają w głąb pola.

Przy trzecim snapie palce Ricka dotknęły czulego miejsca Nina niezwykle delikatnie i najwyraźniej ten subtelny kontakt był o wiele gorszy niż uderzenie otwartymi dłońmi. Oba pośladki wyprężyły się boleśnie. Rick zerknął na Sama i powiedział szybko:

- Możesz mu kazać rozluźnić dupę?

Sam odwrócił się, by ukryć uśmiech.

- Jakiś problem? - spytał Nino.
- Mniejsza z tym - powiedział Rick.

Sam dmuchnął w gwizdek, wywołał zagrywkę najpierw po angielsku, potem po włosku. To był prosty bieg w prawo przy skrajnym liniowym. Sły odebrał handoff⁴⁹ a Franco przebiegał się przez dziurę jak buldożer.

- Kadencja? - zapytał Rick, kiedy liniowi ustawili się na miejscach.
- Down, set, hut⁵⁰ - odparł Sam. - Po angielsku.

Nino, który najwyraźniej nieoficjalnie zajmował stanowisko trenera linii ataku, sprawdził pozostałych zawodników linii, a potem przykucnął nad piłką i przygotował poślądki. Rick dotknął ich, i wrzasnął:

- Down! - Drgnęły i Rick pospiesznie dodał: - Set, hut.

Franco zawarczał jak niedźwiedź, rzucił się do przodu z pozycji trzypunktowej⁵¹, a następnie gwałtownie skręcił w prawo. Linia ruszyła do przodu, ciała wyprostowały się gwałtownie, rozległ się groźny pomruk, jakby na boisku znajdowały się znieawidzone Lwy z Bergamo. Rick czekał całą wieczność, aż dostanie piłkę od swojego centra. Był już pół kroku z tyłu, kiedy w końcu ją złapał, odwrócił się i rzucił do Sły, który biegł tuż za plecami Franca.

Sam gwizdnął, krzyknął coś po włosku, a potem po angielsku:

- Zróbcie to jeszcze raz! -A potem jeszcze raz i znowu.

Po dziesięciu snapach włączył się Alberto, by pokierować linią ataku, a Rick napił się wody. Usiadł na kasku i wkrótce powędrował myślami do innych drużyn, na inne boiska. Treningowa harówka wszędzie jest taka sama, przyznał. Od Iowa przez Kanadę do Parmy, na wszystkich przystankach, w każdym języku, najgorszą częścią gry była otepiająca praca nad kondycją fizyczną i powtarzanie kolejnych zagrywek.

Było późno, kiedy Alex znowu przejął władzę, i przy akompaniamencie krótkich ostrych gwizdków znów rozpoczęły się czterdziestojardowe biegi. Żarty i przycinki się skończyły. Nikt się nie śmiał ani nie krzyczał. Biegali wolniej po każdym gwizdku, ale nie na tyle wolno,

by wkurzyć Aleksa. Po każdym sprincie wracali do linii pola punktowego, odpoczywali i startowali znowu.

Rick obiecał sobie przeprowadzić następnego dnia poważną rozmowę z trenerem. Prawdziwi quarterbackowie nie biegają, powtarzał sobie zdegustowany.

PANTERY MIAŁY CUDOWNY POTRENINGOWY RYTUAŁ - kolację z pizzą i piwem w Polipo, małej restauracji przy Via La Spezia na skraju miasta. O dwudziestej trzeciej trzydzieści większość zawodników już się zjawiła, świeżo spod pryszniców. Niecierpliwie oczekiwali rozpoczęcia sezonu. Gianni, właściciel, posadził ich w kącie z tyłu sali, żeby zbytnio nie przeszkadzali. Zebrali się przy dwóch długich stołach i mówili wszyscy naraz. Kilka minut po zajęciu miejsc dwóch kelnerów przyniosło dzbany z piwem i kufle, zaraz potem pojawili się kolejni, niosąc największe pizze, jakie Rick widział. Siedział u końca stołu, między Samem a Slyem. Nino wstał, żeby wznieść toast. Najpierw mówił szybko po włosku i wszyscy patrzyli na Ricka, a potem nieco wolniej po angielsku.

- Witamy w naszym małym mieście, panie Reek, mamy nadzieję, że znajdzie pan tu dom i zdobędzie dla nas Super Bowl. - Rozległa się salwa okrzyków, opróżnili kufle.

Sam wyjaśnił, że signor Bruncardo płaci rachunek za tych hałaśliwych klientów i podejmuje drużynę po treningu przynajmniej raz w tygodniu. Pizza i *pasta*, najlepsze spaghetti w mieście, wszystko bez zamieszania i ceremonii, które Nino z takim upodobaniem urządzał w Café Montana. Jedzenie było tanie, ale smaczne. Sędzia Franco wstał z ponownie napełnionym kuflem i rozpoczął napuszone przemówienie na jakiś temat.

- Jeszcze raz to samo - mruknął Sam po angielsku. - Toast za wspianiały sezon, za braterstwo, żeby nie było kontuzji i tak dalej. I oczywiście za naszego wspianiałego nowego quarterbacka. - Nie ulegało wątpliwości, że Franco nie pozwoli się zakasować przez Nina. Wypili, znowu zaczęli wiwatować.

- Walczą, by zwrócić na siebie uwagę. Są stałymi kapitanami - zauważył Sam.

- Wybrała ich drużyna?

- Myślę, że tak, chociaż ani razu nie widziałem wyborów, a jestem tu już szósty sezon. W końcu to ich drużyna. Podtrzymują w chłopakach motywację pomiędzy sezonami. Werbują nowych miejscowych graczy, namawiają do sportu. Zwłaszcza byłych piłkarzy, którzy stracili kondycję. Od czasu do czasu udaje im się nawet nawrócić jakiegoś rugbistę. Wrzeszczą i krzyczą przed meczem, a niektóre ich opieprzania w czasie przerw są po prostu piękne. W ogniu walki chciałbyś ich mieć w swoim okopie.

Piwo płynęło, pizza znikiała. Nino poprosił o ciszę i przedstawił dwóch nowych członków drużyny. Karl był Duńczykiem, profesorem matematyki, który razem z żoną Włoszką zamieszkał w Parmie i wykladał na uniwersytecie. Nie był pewien, na jakiej pozycji może grać, ale bardzo chciał sobie jakąś wybrać. Pietro miał twarz dziecka, ale był krępy i niski jak hydrant przeciwpożarowy. Urodzony linebacker. Rick zauważył w czasie treningu, jaki jest szybki.

Franco zaintonował jakąś żalną pieśń, której nawet Sam nie rozumiał, a potem wszyscy wybuchnęli śmiechem i złapali dzbany z piwem. W sali przebiegały fale głośnych rozmów po włosku. Po kilku piwach Rick z zadowoleniem siedział i chłonał atmosferę wokół.

Jak statysta w obcojęzycznym filmie.

Tuż PRZED PÓLNOCĄ Rick włączył laptop i wysłał Arniemu e-mail:

„W Parmie, przyjechałem wczoraj późno, dziś pierwszy trening - jedzenie i wino warte wycieczki - nie ma cheerleaderek, Arnie, a obiecałeś mi piękne cheerleaderki - nie ma też agentów, zniechędziłbyś to miejsce - nigdzie nie ma pól golfowych - czy są jakieś wiadomości od Tiffany i jej prawników - pamiętam, że Jason Cosgrove mówił o niej pod prysznicem, ze szczegółami, a zarobił w ubiegłym roku sześć milionów - napuść na niego prawników - ja nie jestem tatusiem. Tutaj nawet małe dzieci mówią po włosku - czemu jestem w Parmie? Mogło być gorzej, mógłbym być w Cleveland.

Pa, R.D.”

Kiedy Rick spał, Arnie odpisał:

„Rick: Dziękuję za wiadomość, cieszę się, że tam jesteś i dobrze się bawisz. Traktuj to jako przygodę. Tu niewiele się dzieje. Żadnych wieści od prawników. Zasugeruję, że Cosgrove był dawcą spermy. Ona jest teraz w siódmym miesiącu. Wiem, że nie znosisz futbolu halowego, ale dzwonił dzisiaj GM ⁵² - i powiedział, że może ci załatwić pięćdziesiąt patyków na następny sezon. Powiedziałem nie. Co o tym myślisz?”

OBUDZIĆ O TAK KOSZMARNEJ GODZINIE mógł tylko budzik nastawiony na cały regulator. Ciągły, przenikliwy sygnał przebił ciemność i w końcu dotarł do celu. Rick, który rzadko używał budzika i miał przyjemny zwyczaj budzenia się dopiero wtedy, gdy jego ciało było zmęczone snaniem, miotał się pod kocem, aż w końcu wymacał wyłącznik. Pod wpływem chwilowego szoku pomyślał o detektywie Romo i z przerażeniem wyobraził sobie kolejne „niearesztowanie”. Potem jednak otrząsnął się ze snu i zwariowanych pomysłów. Kiedy tętno zaczęło stopniowo zwalniać i Rick oparł się na poduszkach, przypomniał sobie, dlaczego w ogóle nastawił budzik. Miał plan, a ciemność była jego najważniejszym elementem.

Ponieważ dotąd jego międzysezonowy trening nie zawierał niczego oprócz golfa, miał wrażenie, że nogi zaraz rozpadną się na kawałki, a mięśnie brzucha bolały go tak, jakby ktoś wiele razy przywalił mu w tę część ciała. Przeklinał Aleksa, Sama i firmę, jeżeli Pantery można było tak nazwać. Przeklinał futbol i Arniego, i poczynając od ostatniej, każdą drużynę, która go wylała. Przywołując najpaskudniejsze myśli na temat gry, starał się ostrożnie rozciągnąć mięśnie, ale były zbyt obolałe.

Na szczęście w Polipo dał sobie spokój z piwem albo przynajmniej ograniczył je do rozsądnych granic. Przejaśniało mu się w głowie bez żadnych oznak kaca.

Gdyby się pospieszył i zakończył misję zgodnie z planem, mógłby za jakąś godzinę znaleźć się znowu pod kocem. Zrezygnował z prysznicza

- ciśnienie było zaskakująco niskie, a gorąca woda ledwo letnia - i z ponurą determinacją, zmuszając się do każdego ruchu, po niecałych dziesięciu minutach był już na ulicy. Marsz stopniowo rozluźniał stawy i pobudzał krążenie krwi. Po przejściu dwóch przecznic ruszał się energicznie i czuł o wiele lepiej.

Fiat znajdował się w odległości pięciu minut marszu. Rick stanął na krawężniku i gapił się na samochód. Wąska ulica była zastawiona po obu stronach małymi wozami, zaparkowanymi zderzak przy zderzaku, z jednym tylko wolnym pasem dla ruchu na północ, do centrum Parmy. Ulica była ciemna, cicha, nic nią nie jechało. Za fiatem stał zielonkawy smart, niewiele większy od gokarta; jego przedni zderzak znajdował się w odległości jakichś dwudziestu pięciu centymetrów od fiata oferowanego Rickowi przez signora Bruncarda. Z przodu stał wciśnięty równie ciasno, niewiele większy od smarta, biały citroen. Wyprowadzenie fiata mogło być wyzwaniem nawet dla kierowcy z wieloletnim doświadczeniem z ręczną skrzynią biegów.

Rick szybko zerknął w prawo i w lewo, upewniając się, że na Via Antini nie ma żywego ducha, otworzył samochód i wczuł się do środka, czując igiełki ukłucia bólu przesywające stawy. Poruszył dźwignią zmiany biegów, upewniając się, że jest na luzie, spróbował ułożyć jakoś nogi, sprawdził ręczny hamulec i uruchomił silnik. Światła włączone, wskaźniki w porządku, pełno paliwa, gdzie jest ogrzewanie? Ustawił lusterka, siedzenie, zapiał pasy. Przez pięć minut, kiedy fiat się rozgrzewał, powtarzał sobie procedurę startową. Przez ten czas nie minął go żaden samochód, skuter czy nawet rower.

Kiedy szron zniknął z przedniej szyby, nie miał już żadnego powodu, by zwlekać. Przyspieszający puls irytował go trochę, ale starał się nie zwracać na to uwagi. Siedział w samochodzie ze sprzęgłem, i to nawet nie we własnym. Zwolnił ręczny hamulec, wstrzymując oddech. Nic się nie stało. Via Antini okazała się zupełnie płaska.

Stopa na sprzęgle, początkowo delikatnie musnąć pedał gazu, skrócić kierownicę mocno w prawo - jak na razie wszystko dobrze. Spojrzenie w lusterko, nic nie jedzie, ruszamy. Rick wcisnął sprzęgło i dodał

trochę gazu. Trochę, ale za dużo. Silnik zawarczał, Rick puścił sprzęgło, a fiat skoczył do przodu i walnął w citroena, w chwili gdy Rick wcisnął hamulec. Na tablicy zapaliły się czerwone światelka. Dopiero po kilku sekundach Rick uświadomił sobie, że silnik zgasł. Szybko przekręcił kluczyk, wrzucając wsteczny, nacisnął sprzęgło i zaciągnął ręczny hamulec. Klął pod nosem, zerkając przez ramię na ulicę. Nikt nie szedł. Nikt się nie przyglądał. Jazda do tyłu była równie brutalna jak do przodu. Kiedy stuknął smarta, znowu wdepnął hamulec i silnik zgasł. Teraz klął już na głos, nawet nie próbując nad sobą panować. Westchnął głęboko, postanowił nie sprawdzać uszkodzeń. Uznał, że na pewno nie ma żadnych. Tylko lekkie puknięcie. Facet zasłużył na to za parkowanie na styk. Dłonie Ricka poruszały się szybko - kierownica, zapłon, dźwignia, hamulec ręczny. Po co używa hamulca? Jego stopy tańczyły pod kierownicą, stepując szaleńczo od sprzęgła do hamulca i gazu. Znowu ruszył z rykiem do przodu, zatrzymując się zaraz po lekkim draśnięciu citroena, ale tym razem silnik nie zgasł. Postęp. Fiat do połowy wysunął się na ulicę, na której wciąż nie było żadnego ruchu. Szybko na wsteczny, trochę za szybko, i jeszcze raz samochód szarpnęła gwałtownie, aż kierowcy odskoczyła głowa i poczuł obolałe mięśnie. Tym razem uderzył smarta o wiele mocniej niż poprzednio i silnik fiata zdechł. Klął na cały głos, a potem znowu rozejrzał się, wypatrując widzów.

Była tu od niedawna, nie zauważył, jak szła po chodniku, ale robiła wrażenie, że stoi tak od wielu godzin, otulona w długi wełniany płaszcz z głową owiniętą żółtym szalem. Stara kobieta ze starym psem na smyczy na porannym spacerze osłupiała na widok tańczącego jak kulka od flippera fiata w kolorze miedzi prowadzonego przez idiotę.

Ich spojrzenia się spotkały. Grymas na pomarszczonej twarzy odzwierciedlał jej myśli. Szaleństwo Ricka było oczywiste. Na chwilę przestał kląć. Słabowicie wyglądający terier też się gapił z równie zdumioną miną jak jego właścicielka.

Żaden ze staranowanych samochodów nie należy do niej, oczywiście że nie. Szła pieszo i jeżeli zechce wezwać policję, zanim to zrobi, on będzie już daleko. Przynajmniej taką miał nadzieję. Chciał rzucić

coś w rodzaju: „No i na co się pani gapi?”, ale przecież kobieta niczego nie zrozumie, a na dodatek zorientuje się, że jest Amerykaninem. Nagły przyływ patriotyzmu zamknął mu usta.

Przód samochodu wystawał na ulicę i Rick nie miał czasu na pojedynkę spojrzeń. Arogancko odwrócił głowę, by zająć się własnymi sprawami. Zmienił biegi i znowu zapuścił silnik, zmuszając się do operowania pedałem gazu i sprzęgłem w idealnie skoordynowany sposób, tak by fiat wreszcie odjechał, pozostawiając widownię na chodniku. Wcisnął mocno gaz, silnik znowu zawył. Powoli zwalniał sprzęgło, jednocześnie mocno skręcając kierownicę, i o włos chybił citroena. Nareszcie wolny, potoczył się po Via Antini, wciąż na pierwszym biegu i z ryczącym silnikiem. Popęnił błąd, rzucając jeszcze triumfalne spojrzenie na kobietę i jej psa. Zobaczył brązowe zęby - śmiała się. Pies szczekał, napinając smycz - też się nieźle ubawił.

Rick zapamiętał ulice trasy ewakuacyjnej. Niezły wyczyn, wiele z nich było wąskich, jednokierunkowych i krętych. Jechał na południe, zmieniając biegi tylko wtedy, kiedy to było konieczne, i wkrótce dotarł na Viale Berenini, dużą ulicę, po której jechało już kilka samochodów oraz furgonetek dostawczych. Zatrzymał się na czerwonym świetle, wrzucił jedynkę i modlił się, by nikt nie stanął za nim. Doczekał zielonego i ruszył w podskokach, ale tym razem silnik nie zgasł. Bravo! Jeszcze żył.

Przejechał przez rzekę Parma po Ponte Italia, szybki rzut oka pozwolił mu dostrzec w dole spokojną gładź wody. Poza śródmieściem ruch był jeszcze mniejszy. Jego cel to Viale Vittoria, szeroka, czteropasmowa aleja okrążająca zachodnią część Parmy. Bardzo równa i niemal pusta w ciemnościach przedświt. Idealna na naukę jazdy we Włoszech.

Przez godzinę, kiedy świt wstawał nad miastem, Rick jeździł tam i z powrotem po cudownie gładkiej drodze. Sprzęgło ślizgało się nieco przy wciśniętym do połowy pedale, ten niewielki problem trochę go absorbował. Po godzinie pilnych ćwiczeń nabrał pewności siebie. On i fiat stali się jednością. Już nie chciało mu się spać, za bardzo podniecała go nowo nabyta umiejętność.

Na szerokim pasie dzielącym pasma ruchu trenował parkowanie w obrębie żółtych linii raz za razem, raz za razem, aż zaczęło go to nudzić. Był już zupełnie pewny siebie, gdy zauważył bar niedaleko Piazza Santa Croce. Czemu nie? Z każdą minutą czuł się coraz bardziej Włochem i potrzebował kofeiny. Zaparkował jeszcze raz, wyłączył silnik i z przyjemnością pomaszzerował dziarskim krokiem. Na ulicach było już sporo ludzi, miasto budziło się do życia.

W barze było tłoczno i gwarno. W pierwszym odruchu miał ochotę szybko wyjść i wrócić do bezpiecznego wnętrza fiata. Nie, podpisał kontrakt na pięć miesięcy i nie może przez cały czas uciekać. Podszedł do baru, poczekał, aż *barista* zwróci na niego uwagę, i powiedział:

- Espresso.

Barista kiwnął głową w stronę narożnika, gdzie pulchna dama siedziała za kasą. Wyraźnie nie był zainteresowany zrobieniem espressa. Rick cofnął się i znowu pomyślał, że może lepiej wyjść. Wszedł dobrze ubrany biznesmen, trzymając w ręku teczkę oraz dwie gazety, i skierował się prosto do kasjerki.

Wymienili *buongiorno*. Rzucił: „Kawa” i podał pięć euro. Wzięła banknot, wydała resztę i podała mu paragon. Biznesmen zaniósł kwitek do lady i położył w miejscu, w którym jeden z barmanów mógł go dobrze zobaczyć. Któryś z nich wziął paragon, również wymienili *buongiorno* i wszystko poszło jak z płatka. Kilka sekund później na ladzie pojawiła się mała filiżanka na spodeczku, a biznesmen, już pogrążony w wiadomościach na pierwszej stronie, dodał cukier, zamieszał i wypił napój jednym długim łykiem.

A więc tak to się robi.

Rick podszedł do kasjerki, wymamrotał w miarę poprawnie *buongiorno*, położył pięć euro, zanim zdążyła odpowiedzieć. Wydała mu resztę i wręczyła magiczny kwitek.

Kiedy stał przy ladzie i popijał kawę, chłonął atmosferę baru. Większość ludzi szła do pracy; miał wrażenie, że dobrze się znają. Niektórzy rozmawiali, inni siedzieli pogrążeni w lekturze gazet. Barmani zwijali się jak w ukropie, nie robiąc ani jednego zbędnego ruchu. Rozmawiali szybko po włosku i błyskawicznie reagowali na żarty klientów. Dalej od lady barowej stały stoliki, do których kelnerzy w białych fartuchach

donosili kawę, butelkowaną wodę i wszelkiego rodzaju ciasta. Rick nagle poczuł głód, zupełnie jakby przed kilkoma godzinami nie pochłonął w Polipo całej ciężarówki węglowodanów. Jego uwagę zwróciła półka ze słodkimi bułeczkami. Rozpaczliwie zapragnął jednej z nich - w polewie czekoladowej i z kremem. Ale jak ją zdobyć? Nie odważyłby się odezwać łamanym włoskim przy tylu ludziach w pobliżu. Może kasjerka w kącie zlitowałaby się nad Amerykaninem, który może tylko wskazywać palcem.

Wyszedł z baru głodny. Ruszył po Viale Vittoria, a potem skręcił w boczną uliczkę. Niczego nie szukał, jedynie podziwiał miasto. Kolejny bar zachęcał do wejścia. Wkroczył pewnie do środka, podszedł do kasjerki, kolejnej tęgiej starszej kobiety i powiedział:

- *Buongiorno*, proszę cappuccino. - Nic ją nie obchodziło, skąd jest, i ta jej obojętność dodała mu odwagi. Wskazał na grube ciastko na półce przy kontuarze: - I jedno to. - Znowu skinęła głową, kiedy podawał jej dziesięć euro, co na pewno wystarczało, by zapłacić za kawę i rogalika. Bar był mniej zatłoczony niż poprzedni i Rick rozkoszował się *cornetto* i kawą.

Lokal nazywał się Bar Bruno. Kimkolwiek był ów Bruno, z całą pewnością uwielbiał piłkę nożną. Ściany były pokryte plakatami drużyn, zdjęciami różnych akcji i planami rozgrywek pochodzącymi nawet sprzed trzydziestu lat. Wisiał też transparent ze zwycięskiego meczu w mistrzostwach świata w 1982 roku. Nad kasjerką Bruno umieścił kolekcję powiększonych, czarno-białych fotografii - Bruno z Chinaglią, Bruno ściskający Baggia.

Rick przypuszczał, że trudno byłoby znaleźć w Parmie bar lub kawiarnię z chociaż jednym zdjęciem Panter. No cóż. To nie Pittsburgh.

Fiat stał w tym samym miejscu, w którym go zostawił. Zastrzyk kofeiny zwiększył pewność siebie Ricka. Idealnie cofnął się na wstecznym, a potem ruszył do przodu płynnie, jakby od lat miał do czynienia ze sprzęgłem.

Wyzwanie, jakim było centrum Parmy, onieśmiało, ale nie miał wyboru. Wcześniej czy później musi wrócić do domu i to razem z samochodem. Początkowo wóz policyjny go nie zaniepokoił.

Jechał za nim w spokojnym tempie. Zatrzymał się na czerwonym świetle i czekał cierpliwie, manipulując w myślach sprzęgłem oraz pedałem gazu. Światło zmieniło się na zielone, sprzęgło pośliznęło się, fiat podskoczył i silnik zgasł. Gorączkowo zmienił biegi, przekręcił kluczyk, zaklął i kątem oka zerknął na policjantów. Czarnobiały radiowóz stał za tylnym zderzakiem, dwóch młodych policjantów przyglądało się, marszcząc brwi.

Co u diabła? Z tyłu jest coś nie tak?

Druga próba była gorsza niż pierwsza, a kiedy fiat znowu szybko wyzionął ducha, policjant nagle przycisnął klakson.

Silnik wreszcie zapalił. Rick wcisnął gaz, prawie nie zwalniając sprzęgła, i fiat ruszył, rycząc przeraźliwie na niskim biegu, ale prawie nie poruszając się do przodu. Policjanci jechali tuż za nim, zapewne rozbawieni bryknięciami i podskokami samochodu. Za następną przecznicą włączyli niebieskie migacze.

Rickowi udało się zjechać w zatokę zaopatrzeniową przed rzędem sklepów. Wyłączył zapłon, mocno zaciągnął ręczny hamulec i odruchowo sięgnął do schowka na rękawiczki. Nie pomyślał dotąd o włoskich przepisach dotyczących rejestracji samochodów czy prawa jazdy, nawet nie zakładał, że Pantery, a konkretnie signor Bruncardo, załatwiły tę sprawę. Nic nie zakładał, o niczym nie myślał, niczym się nie martwił. Był zawodowym sportowcem, gwiazdą w liceum i college'u, dla którego podobne drobiazgi nie miały nigdy znaczenia.

Skrytka była pusta.

Gliniarz stuknął w okno i Rick opuścił korbką okno. Nie było elektrycznego napędu.

Gliniarz coś powiedział i Rick dosłyszał słowo *documenti*. Wyciągnął portfel i wyjął prawo jazdy z Iowa. Iowa? Nie mieszkał tam od sześciu lat, ale też nigdzie nie założył domu. Kiedy policjant zmarszczył brwi, patrząc na plastikowy prostokąt, Rick wcisnął się głębiej w fotel. Przypomniawszy sobie, że przed Bożym Narodzeniem zadzwoniła do niego matka. Właśnie odebrała urzędowe powiadomienie. Jego prawo jazdy straciło ważność.

- *Americano?* - zapytał policjant. Ton głosu był oskarżycielski. Plakietka na piersi informowała, że nazywa się Aski.

- Tak- odparł Rick, chociaż mógłby powiedzieć: *Si*. Nie zrobił tego, ponieważ policjant, słysząc choćby słowo po włosku, mógłby uznać, że cudzoziemiec mówi płynnie w tym języku.

Aski otworzył drzwi i gestem polecił Rickowi wysiąść. Drugi gliniarz, Dini, podszedł, uśmiechając się szyderczo, i obaj wymienili szybko kilka zdań po włosku. Rick pomyślał, że sądząc z wyglądu, mogliby go spałować na miejscu. Mieli niewiele ponad dwadzieścia lat, byli wysocy i zbudowani jak ciężarowcy. Powinni grać w obronie Panter. Starsza para zatrzymała się na chodniku, aby z odległości kilku metrów obserwować przedstawienie.

- Mówi włoski? - spytał Dini.

- Nie, przykro mi.

Obaj przewrócili oczami. Głupek.

Rozdzielili się i rozpoczęli dramatyczne badania miejsca zbrodni. Obejrzeni przednie tablice rejestracyjne, potem tylne. Otworzyli schowek na rękawiczki, ostrożnie, jakby mogła leżeć w nim bomba. Potem bagażnik. Ricka znudziło to, oparł się o lewy przedni błotnik. Policjanci podeszli do siebie, naradzili się, a potem zadzwonili do komendy. W końcu rozpoczęła się nieunikniona papierkowa robota, obaj funkcjonariusze pisali coś gorączkowo.

Ricka bardzo ciekawiło, jaką popełnił zbrodnię. Był pewien, że coś jest nie tak z rejestracją, ale postanowił stanowczo twierdzić, że nie złamał żadnego z przepisów ruchu drogowego. Chciał zadzwonić do Sama, ale zostawił komórkę w domu. Kiedy zobaczył samochód z wózkiem do holowania, niemal się roześmiał.

Gdy fiat zniknął, Ricka posadzono na tylnym siedzeniu radiowozu i samochód ruszył. Żadnych kajdanek, gróźb, wszystko odbywało się w cywilizowany sposób. Kiedy przejeżdżali przez rzekę, przypomniał sobie coś, co miał w portfelu. Wyciągnął wizytówkę, którą wziął z gabinetu Franca, i podał ją siedzącemu z przodu Diniemu.

- Mój przyjaciel - powiedział.

Giuseppe Lazzarino, *Giudice*.

Obaj gliniarze najwyraźniej dobrze znali sędziego Lazzarina. Ich ton, sposób bycia, język ciała się zmieniły. Obaj natychmiast zaczęli mówić przyciszonym głosem, jakby nie chcieli, żeby ich słyszał. Aski

westchnął ciężko, a ramiona Diniego opadły wyraźnie. Po drugiej stronie rzeki zmienili kierunek i Rickowi wydawało się, że przez kilka minut jeżdżą w kółko. Aski wywołał kogoś przez radio, ale nie znalazł tego, kogo szukał. Dini posłużył się komórką, ale też był wyraźnie rozczarowany. Rick siedział wciśnięty w tylne siedzenie, śmiejąc się w duchu i rozkoszując zwiedzaniem Parmy.

Posadzili go na ławce przed gabinetem Franca, w tym samym miejscu, które Romo wybrał mniej więcej dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Dini niechętnie wszedł do środka, Aski znalazł sobie krzesło dość daleko, w głębi korytarza, zupełnie jakby nie miał nic wspólnego z Rickiem. Czekali, a minuty upływały wolno.

Rick był ciekaw, czy można to uznać za prawdziwe aresztowanie, czy za wariant w stylu detektywa Roma. Skąd można to wiedzieć? Jeszcze jedna draka z policją i Pantery, Sam Russo, signor Bruncardo i jego kiepski kontrakt mogą odpłynąć w siną dal. Niemal tęsknił za Cleveland.

Usłyszał podniesione głosy, a potem drzwi otworzyły się gwałtownie i wypadł przez nie jego fullback. Dini włókł się z tyłu, Aski stanął na baczność.

- Reek, tak mi przykro - zagrzmiał Franco, podrywając go z ławki i obejmując w niedźwiedzim uścisku. - Tak mi przykro. To pomyłka, nie? - Sędzia spojrzał wściekle na Diniego, który uważnie oglądał swoje bardzo lśniące buty i wyglądał dość blado. Aski przypominał sarnę w świetle reflektorów.

Rick usiłował coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów. Stojąca w drzwiach śliczna sekretarka Franca obserwowała całą sytuację. Franco rzucił kilka słów w stronę Askiego, potem ostre pytanie do Diniego, który próbował coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił. A potem znowu do Ricka:

- Nie ma sprawy, dobrze?
 - Doskonale - odparł Rick. - Wszystko w porządku.
 - Samochód nie jest twój?
 - Nie. Chyba należy do *signora* Bruncarda.
- Franco otworzył szeroko oczy i zeszywniał:
- Bruncardo?

Słyszając tę wiadomość, Aski i Dini się zgarbili. Wyraźnie bali się odetchnąć. Franco wygłosił do nich ostrą przemowę po włosku i Rick usłyszał przynajmniej dwa razy słowo „Brancardo”.

Nadeszli dwaj dżentelmeni wyglądający na prawników - ciemne garnitury, grube teczki, ważne miny. Na ich użytek, a także dla Ricka i swojego personelu sędzieja Lazzarino nadal opieprzał dwóch młodych gliniarzy z zapalem rozwścieczonego kaprała.

Rickowi zrobiło się ich żal. W końcu traktowali go z większym szacunkiem, niż zwykły przestępca drogowy mógłby oczekiwać. Sędzia skończył ich objeżdżać, Aski i Dini zaraz się zmyli. Franco wyjaśnił, że samochód w tej właśnie chwili jest odzyskiwany i zostanie natychmiast zwrócony Rickowi. Nie ma potrzeby informowania signora Bruncarda. Kolejne przeprosiny. Dwaj prawnicy w końcu weszli do gabinetu sędziego, a sekretarki wróciły do pracy.

Franco przeprosił jeszcze raz i aby udowodnić swój szczerzy żal z powodu sposobu, w jaki Rick został przywitany w Parmie, nalegał, aby następnego wieczoru przyszedł do niego na obiad. Żona - bardzo ładna - dodał, wspaniale gotuje. Nie przyjmuje odmowy.

Rick przyjął zaproszenie, a wtedy Franco wyjaśnił, że ma ważne spotkanie. Spotkają się na obiedzie. Do zobaczenia.

- *Ciao.*

MASAŻYSTA DRUŻYNY był zylastym studentem o dzikim spojrzeniu. Miał na imię Matteo i mówił po angielsku koszmarnie, ale za to bardzo szybko. Wreszcie udało mu się wyjaśnić - chciał wymasować nowego, wspaniałego quarterbacka. Studiował coś, co miało jakiś związek z nową teorią masażu. Rick bardzo potrzebował takiego zabiegu. Położył się na jednym z dwóch stołów zabiegowych i powiedział Matteowi, żeby zaczynał. Po kilku sekundach chłopak walił po jego ścięgnach i Rick miał ochotę wrzeszczeć. Ale nie wolno skarżyć się w trakcie masowania - to zasada, której w całej historii zawodowego futbolu nigdy nie złamano. Bez względu na to, jak boli, wielcy, twardzi futboliści nie narzekają w trakcie zabiegu.

- Jest dobrze? - spytał Matteo.
- Tak, ale zwolnij tempo.

Prośba nie przeżyła próby przekładu, i Rick wcisnął twarz w ręcznik. Znajdowali się w szatni, która była również składem sprzętu, a także biurem trenerów. Nikogo poza nimi nie było. Trening miał się zacząć za cztery godziny. Matteo okładał go zapamiętane, a Rick zdołał odpłynąć myślami. Zmagał się z problemem, w jaki sposób dać trenerowi Russowi do zrozumienia, że wolaliby nie męczyć się już więcej na ćwiczeniach kondycyjnych. Żadnych sprintów, pompek czy przysiadów. Był w dobrej formie, w każdym razie o wiele lepszej niż pozostali gracze. Jeżeli będzie za dużo biegał, może narazić się na kontuzję nogi, naciągnąć mięsień, albo coś w tym rodzaju. Na większości zawodowych

obozów każdy quarterback sam organizował sobie rozciąganie oraz rozgrzewkę i wykonywał własne zestawy ćwiczeń, kiedy wszyscy pozostali się męcząli.

Zastanawiał się też, jak przyjmie to drużyna. Rozkapryszony amerykański quarterback. Za dobry, by ćwiczyć. Za miękki na trochę za pracy. W błocie i pocie Włosi zdawali się rozkwitać, a trening w pełnym ekwipunku⁵³ był już za trzy dni.

Matteo zajął się dołem pleców Ricka i wreszcie zwolnił. Masaż działał. Zesztywniałe, obolałe mięśnie się rozluźniały. Pojawił się Sam i usiadł na drugim stole zabiegowym.

- Myślałem, że jesteś w formie - zaczął uprzejmie.
- Ja też.

Mając widownię, Matteo powrócił do drastycznych metod.

- Obolały, co?
- Trochę. Zazwyczaj nie biegam tyłu sprintów.
- Przyzwyczaj się. Jeżeli odpuścisz, Włosi będą myśleli, że jesteś tylko ładnym chłopcem.

To załatwiało sprawę.

- Ale to nie ja puściłem pawia.
- Nie, ale wyglądałeś, jakby ci niewiele brakowało.
- Dziękuję.
- Właśnie dzwonił Franco. Znowu kłopoty z policją? Wszystko w porządku?

- Dopóki mam Franca, gliny mogą mnie aresztować non stop. - Rick pocił się już z bólu, ale usiłował zachowywać się nonszalancko.

- Załatwimy ci tymczasowe prawo jazdy i papiery na samochód. Mój błąd. Przepraszam.

- Nie szkodzi. Franco ma parę fajnych sekretarek.
- Poczekaj, aż zobaczysz jego żonę. Nas również zaprosił na obiad jutro wieczorem, mnie i Annę.
- Wspaniale.

Matteo przewrócił go na plecy i zaczął szczypać mu uda. Rick niemal krzyknął, ale zdołał zachować kamienną twarz.

- Możemy pogadać o obronie? - zapytał.
- Przeczytałeś playbook?

- Licealny poziom.
- Tak, to tylko bardzo podstawowe rzeczy. Tu nie może być nic zbyt skomplikowanego. Zawodnicy mają niewielkie doświadczenie, a czasu na treningi jest mało.

- Nie narzekam. Po prostu mam kilka pomysłów.
- Słucham.

Matteo cofnął się dumny niczym chirurg i Rick mu podziękował.

- Dobra robota - powiedział, kuśtykając.

Do szatni wpadł w podskokach Sly. Z uszu zwisały mu przewody, czapkę kierowcy ciężarówki miał założoną na bakier i znowu nosił bluzę Broncosów.

- Hej, Sly, może zafundujesz sobie wspaniałą masaż! - krzyknął Rick. - Matteo jest cudowny.

W czasie, kiedy Sly rozbierał się do bokserek i kładł na stole, wymieniali przycinki - na temat Broncosów, Brownsów i tak dalej. Matteo strzelił kostkami palców i wziął się do roboty. Sly skrzywił się, ale nie protestował.

Rick, Sly i Trey Colby byli już na boisku dwie godziny przed treningiem razem z trenerem Russem, ćwicząc zagrywki ofensywne. Sly z ulgą zauważył, że nowy quarterback nie ma zamiaru wszystkiego zmieniać. Rick przekazał kilka sugestii, poprawił kilka ścieżek podaniowych i przedstawił pomysły w sprawie zagrań biegowych. Sly zaś zwracał mu uwagę, że gra biegowa Panter jest bardzo prosta - podać piłkę Sloyowi i zejść z drogi.

Na drugim końcu boiska pojawił się Fabrizio. Był sam i nie chciał towarzystwa. Zaczął skomplikowane ćwiczenia rozciągające - bardziej na pokaz niż po to, by rozluźnić napięte mięśnie.

- Jednak wrócił na drugi trening - powiedział Sly, kiedy obserwowali go przez chwilę.

- O co chodzi? - spytał Rick.
- Jeszcze nie odszedł - odparł Trey.
- Odszedł?

- Tak. Ma taki zwyczaj - przytaknęła Sam. - Bo trening był zły, albo mecz. Cokolwiek.

- Czemu to tolerujesz?
- Jest naszym zdecydowanie najlepszym receiverem - wyjaśnił Sam. - A poza tym gra za darmo.
- Facet ma niezłe ręce - dodał Trey.
- I umie zasuwac - uzupełnił Sly. - Szybciej ode mnie.
- Nie gadaj?
- Naprawdę. Na czterdziestkę jest lepszy o cztery kroki.

Nino też przyszedł wcześniej. Po serii *buongiorno* szybko wykonał rozciąganie i zaczął długi bieg wokół boiska.

- Dlaczego tak mu skacze tyłek? - spytał Rick, kiedy obserwowali wysiłek Nina. Sly roześmiał się o wiele za głośno. Sam i Trey też parsknęli i Sly skorzystał ze sposobności, by przekazać szybko opinię o nadaktywnych pośladkach Nina.

- Nie jest zły na treningach, w szortach, ale kiedy jest w pełnym stroju i ma się z nim kontakt, wszystko mu się napina, zwłaszcza mięśnie na pódupkach. Nino kocha uderzać i czasem prawie zapomina wprowadzić piłkę do gry, ponieważ myśli za bardzo o zaatakowaniu noseguarda ⁵⁴. Wtedy pośladki zaczynają mu dygotać i kiedy ich dotykasz, niemal wyskakuje ze skóry.

- Może powinniśmy grać z formacji shotgun ⁵⁵ - zauważył Rick i roześmiali się jeszcze głośniej.

- Jasne - stwierdził Trey. - Ale Nino nie jest zbyt celny. Będziesz gonił piłkę po całym boisku.

- Próbowaliśmy - dodał Sam. - To katastrofa.

- Musimy przyspieszyć jego snapy - dodał Sly. - Czasem jestem już w dziurze, zanim quarterback dostanie piłkę. Rozgrywający musi mnie gonić, ja czekam na tę cholerną piłkę, a Nino rusza na jakiegoś biednego palanta.

Nino wrócił, przyprowadzając ze sobą Fabrizia. Rick zasugerował, żeby popracowali nad kilkoma schematami z shotgunem. Jego snapy były w porządku, w miarę celne, ale strasznie wolne. Przyszli inni zawodnicy i wkrótce na boisku zaczęły latać piłki. Włosi ćwiczyli puntowanie i podania.

Sam podszedł bliżej do Ricka.

- Półtorej godziny do treningu, a oni nie mogą doczekać się rozpoczęcia. To podnosi na duchu, co?

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem.
- Uwielbiają grać.

FRANCO I JEGO NIEWIELKA RODZINA mieszkali w samym sercu miasta, na najwyższym piętrze *palazzo* przy Piazza della Steccata. Wszystko było tu stare - wydeptane, marmurowe schody, drewniane podłogi, gustownie popękane tynki, portrety dawnych książąt, sklezione sufity z ołowianymi kandelabrami, skórzane sofy i krzesła.

Zona Franco wyglądała niezwykle młodo. Miała na imię Antonella, była piękną ciemnowłosą kobietą, której wygląd prowokował, by spojrzeć na nią jeszcze raz albo wręcz się na nią gapić. Nawet jej angielski z obcym akcentem wywoływał u Ricka pragnienie, by słuchać jej bez przerwy.

Ich syn Ivano miał sześć lat, córka Susanna - trzy. Dzieciom pozwolono być z dorosłymi przez pierwsze pół godziny, a potem odesłano je do łóżek w towarzystwie trzymającej się w pobliżu niani.

Zona Sama, Anna, też była przystojna. Popijając prosecco, Rick całą uwagę poświęcał obu paniom. Po ucieczce z Cleveland miał na Florydzie dziewczynę, ale kiedy nadeszła pora wyjazdu do Parmy, był zadowolony, że może zniknąć bez słowa. Widział w Parmie piękne kobiety, ale wszystkie mówiły w obcym języku. Cheerleaderki nie było i Rick przeklinał Arniego za to kłamstwo. Tęsknił za damskim towarzystwem - choćby tylko przy koktajlu z mówiącymi z silnym akcentem żonami przyjaciół. Ale ich mężowie też tu byli i czasami Rick gubił się w włoskim świecie, kiedy cała czwórka śmiała się z dowcipów Franca. Od czasu do czasu pojawiała się drobna, siwowłosa kobieta w fartuchu, przynosząc tacę z zakąskami - wędliną, parmezanem, oliwkami - a potem znikła w wąskiej kuchni, w której przygotowywany był obiad.

Zaskakujący był stół - umieszczona na niewielkim, obsadzonym kwiatami tarasie z widokiem na śródmieście płyta z czarnego marmuru, spoczywająca na dwóch potężnych urnach. Na stole stało mnóstwo świec, sreber i kwiatów, eleganckiej porcelany, a także litry czerwonego wina. Nocne powietrze było czyste i spokojne, lekki chłód pojawiał się tylko przy słabych podmuchach wiatru. Z ukrytego głośnika dobiegała cicha muzyka operowa.

Ricka posadzono na honorowym miejscu, z którego miał dobry widok na szczyt *duomo*. Franco napełnił kielichy czerwonym winem, a następnie wznosił toast za nowego przyjaciela.

- I Super Bowl dla Parmy - niemal namiętnie dodał na zakończenie.

Gdzie ja jestem? - zadawał sobie pytanie Rick. Zazwyczaj w marcu siedział na Florydzie, wysepiwszy mieszkanie u przyjaciela, grał w golfa, podnosił ciężary, biegał i starał się utrzymać w formie, Arnie tymczasem wisiał na telefonie, desperacko usiłując znaleźć drużynę poszukującą dobrego ramienia. Zawsze była jakaś nadzieja. Następny telefon mógł oznaczać następny kontrakt, a kolejna drużyna - wielki przełom. Każdej wiosny odżywało marzenie, że w końcu znajdzie swoje miejsce - drużynę ze świetną linią ofensywną, błyskotliwym koordynatorem ataku ⁵⁶, utalentowanymi receiverami, ze wszystkim. Jego podania będą celne. Defensywa przeciwnika pójdzie w rozsypkę. Super Bowl. Pro Bowl. Wielkie kontrakty. Sława i chwała. Mnóstwo cheerleaderek.

Przed każdym marcem wszystko wydawało się możliwe.

Pierwszym daniem, czyli *antipasto*, była grubo pokrojona kantalupa przykryta cieniutkimi plasterkami *prosciutto*. Franco, nalewając wina, objaśnił, że jest to bardzo popularne danie w rejonie Emilia-Romania. Rick słyszał o tym już nie pierwszy raz. Ale oczywiście najlepsze *prosciutto* pochodzi z Parmy. Nawet Sam wznosił oczy do góry, spoglądając na Ricka.

Po kilku solidnych kęsach Franco zapytał:

- Rick, lubisz operę?

Szczerza odpowiedź: „Nie, do diabła” obraziłaby wszystkich w promieniu stu kilometrów i Rick odpowiedział wymijająco:

- Nie słuchamy jej za często u nas w kraju.

- Tu jest duża, naprawdę świetna - stwierdził Franco. Antonella uśmiechnęła się do Ricka, skubiąc maleńki kawałek melona.

- Weźmiemy cię kiedyś, dobrze? Jest tu Teatro Regio, najpiękniejsza opera na świecie - zaproponował Franco.

- Parmeńczycy są zwariowani na punkcie opery - dodała Anna. Siedziała koło Ricka, Antonella naprzeciwko niego, a sędzia Franco w szczycie stołu.

- Skąd pochodzisz? - zapytał Annę Rick, chcąc zmienić temat.
- Z Parmy. Mój wuj był wielkim barytonem.
- Teatro Regio jest wspanialszy niż La Scala w Mediolanie. - Franco nie zwracał się do nikogo konkretnego i Sam postanowił zażartować:

- Nie masz racji. La Scala jest największa.

Oczy Franca rozszerzyły się, jakby miał zamiar go uderzyć. Uwaga sprawiła, że zaczął mówić tylko po włosku i przez chwilę wszyscy słuchali go w kłopotliwym milczeniu. W końcu opanował się i zapytał, już po angielsku:

- Kiedy byłeś w La Scali?

- Nigdy - odparł Sam. - Widziałem tylko kilka fotografii.

Franco roześmiał się głośno, a Antonella poszła po następne danie.

- Wezmę cię do opery - obiecał Franco Rickowi, który tylko uśmiechnął się i spróbował pomyśleć o czymś gorszym.

Następnym daniem, *primo piatto*, były *anolini*, małe pierożki faszzerowane parmezanem i wołowiną, i przykryte *porani* - borowikami. Antonella wyjaśniła, że to bardzo znane parmeńskie danie, i zrobiła to w najpiękniej akcentowanym angielskim, jaki Rick kiedykolwiek słyszał. Właściwie nie obchodziło go, jak smakują pierożki. Byle tylko nadal o nich mówiła.

Franco i Sam rozmawiali po angielsku o operze. Anna i Antonella o dzieciach - też po angielsku. W końcu Rick zaproponował:

- Proszę, mówcie po włosku. To brzmi o wiele ładniej. - Tak też zrobili. Rick rozkoszował się jedzeniem, winem i widokiem. Oświetlona kopuła katedry wyglądała majestatycznie, centrum Parmy tętniło życiem pełne samochodów i pieszych.

Po *anolini* przyszło *secundo piatto*, danie główne - faszzerowany pieczony kapłon. Franco już po dobrych kilku kieliszkach wina obrazowo wyjaśnił, że kapłon to młody kogut, którego się kastruje - bzyk! - kiedy ma zaledwie dwa miesiące.

- Dodaje smaku - powiedziała Antonella, z czego Rick odniósł wrażenie, że usunięte części mogły znaleźć się w farszu. Po dwóch ostrożnych łykach uznał, że to bez znaczenia. Z jądrami czy bez kapłon był przepyszny.

Jadł powoli, bardzo rozbawiony Włochami oraz ich zamięłowaniem do rozmów przy stole. Niekiedy przypominali sobie o nim i chcieli dowiedzieć się czegoś o jego życiu, a potem znowu wracali do swojego melodyjnego języka i zapominali o nim. Nawet Sam - z Baltimore i Bucknell - wydawał się z większą łatwością rozmawiać z kobietami po włosku. Po raz pierwszy od przyjazdu Rick przyznał w duchu, że nieźle byłoby nauczyć się kilku słów. Prawdę mówiąc, był to wspaniały pomysł, jeżeli chciał mieć nadzieję na zaliczenie jakichś punktów u dziewczyn.

Po kapłonie były sery i inne wino, potem deser i kawa. Rick elegancko pożegnał się parę minut po północy. Szedł wolno przez noc do swojego domu, gdzie padł na łóżko w ubraniu.

W PIĘKNĄ KWIETNIOWĄ SOBOTĘ w dolinie Padu, idealny wiosenny dzień, Bandyty z Neapolu wyjechali ze swojego miasta o siódmej pociągiem zmierzającym na północ, aby rozegrać mecz otwierający sezon. Przyjechali do Parmy tuż przed czternastą. Kickoff wyznaczono na piętnastą. Pociąg powrotny był o dwudziestej trzeciej czterdzieści i drużyna miała wrócić do Neapolu około siódmej w niedzielę, dwadzieścia cztery godziny po wyjeździe.

W Parmie cała trzydziestka Bandytów dojechała autobusem na Stadio Lanfranchi i wniosła swój ekwipunek do ciasnej szatni, znajdującej się w głębi korytarza, za pomieszczeniem Panter. Neapolitańczycy szybko się przebrali i rozbiegli po boisku, rozciągając się i odprawiając zwykły przedmeczowy rytuał.

DWIE GODZINY PRZED ROZPOCZĘCIEM MECZU wszyscy czterdzieści dwaj zawodnicy Panter siedzieli w swojej szatni. Większość z nich rozsadzała energia ze zdenerwowania i bardzo chcieli komuś przyłożyć. Signor Bruncardo sprawił im niespodziankę nowymi koszulkami - czarnymi z lśniącymi, srebrnymi cyframi i nazwą „Pantery” na piersi.

Nino palił ostatniego papierosa. Franco gawędził ze Slyem i Treyem. Pietro, środkowy linebacker, który z dnia na dzień był coraz lepszy, medytował ze swoim iPodem. Matteo kręcił się między nimi, rozmawiając mięśnie, owijając plastrem kostki, naprawiając ekwipunek.

Typowa przedmeczowa atmosfera, pomyślał Rick. Mniejsza szatnia, mniejsi gracze, mniejsze stawki, ale pewne sprawy związane z meczem pozostają zawsze takie same. Był gotów do gry Sam przemówił do drużyny, przekazał kilka obserwacji i zwolnił ich.

Półtorej godziny przed kickoffem Rick wyszedł na boisko. Trybuny były puste. Sam spodziewał się wielkiego tłumu - „może tysiąc osób”. Pogoda była wspaniała, a poprzedniego dnia „Gazzetta di Parma” zamieściła wielki artykuł o pierwszym meczu Panter, a zwłaszcza ich nowym quarterbacku z NFL. Kolorowe zdjęcie przystojnej oblicza Ricka zajmowało połowę strony. Według Sama to signor Bruncardo pociągnął za parę sznurków i nacisnął gdzie trzeba.

Wyjście na boisko stadionu NFL, albo nawet któregoś Big Ten, zawsze było szargającym nerwy przeżyciem. Przedmeczowa nerwówka była tak wielka, że gracze uciekali z szatni, kiedy tylko im pozwolono. Na zewnątrz otoczeni ogromnym amfiteatrem z rzędami krzeseł, tysiącami kibiców, kamerami, orkiestrami, cheerleaderkami i pozornie niezmiernym tłumem ludzi, którzy z jakiegoś powodu mieli wstęp na boisko, kilka pierwszych chwil poświęcali na przyzwyczajenie się do tego z trudem kontrolowanego chaosu.

Wychodząc na murawę Stadio Lanfranchi, Rick nie mógł się powstrzymać od śmiechu: oto jego obecny przystanek w karierze. Licealista wybiegający na mecz futbolu flagowego czułby się bardziej zdenerwowany od niego.

Po kilku minutach rozciągania i gimnastyki prowadzonych przez Aleksa Olivetta Sam zebrał ofensywę na linii pięciu jardów i zaczął z nią ćwiczyć zagrywki. Razem z Rickiem wybrali dwanaście zagrań, które będą stosowali przez cały mecz. Sześć biegowych i sześć podaniowych. Bandy ci byli znani z kiepskich secondaries ⁵⁷ - nie mieli w tej grupie żadnego Amerykanina - a rok wcześniej quarterback Panter rzucił w sumie na dwieście jardów.

Wśród sześciu zagrywek biegowych w pięciu piłka wędrowała w ręce Slya. Franco dotykał piłki tylko wtedy, gdy Pantery grały dive ⁵⁸ i gdy mecz był już wygrany. Chociaż uwielbiał uderzać, miał również zwyczaj gubić piłkę. We wszystkich sześciu podaniach górą celem numer jeden był Fabrizio.

Po godzinie rozgrzewki obie drużyny wróciły do swoich szatni. Sam zebrał Pantery na mobilizującą do walki przemowę, a trener Olivetto wzmógł zapał zawodników swoim brutalnym atakiem na Neapol.

Rick nie zrozumiał ani słowa, ale Włosi na pewno tak. Byli gotowi do wojny.

KOPACZ BANDYTÓW BYŁ KOLEJNYM PIŁKARZEM Z wielkimi stopami. Jego otwierający wykop wyleciał za pole punktowe. Kiedy Rick biegł przez boisko, by rozpocząć pierwszą serię zagrań ofensywnych, próbował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni zaczynał mecz. To było w Toronto, sto lat temu.

Trybuny gospodarzy były już zatłoczone, kibice wiedzieli, jak robić hałas. Wymachiwali wielkimi, ręcznie malowanymi chorągwiemi i krzyczeli chórem. Ich harmider wzbudził w Panterach żądzę krwi, zwłaszcza Nino wręcz wychodził z siebie.

Zebrali się i Rick powiedział:

- Dwadzieścia sześć smash. - Nino przetłumaczył i skierowali się na linię. W formacji I ⁵⁹, z Frankiem ustawionym cztery jardy za jego plecami na pozycji fullbacka i Slyem cofniętym o siedem jardów, Ricky szybko przyjrzał się ustawieniu defensywy i nie zobaczył niczego, co mogłoby go zaniepokoić. Smash był zagranieciem dołem w prawą stronę, w którym po oddaniu piłki przez quarterbacka głęboko za linią ofensywną tailbacka ⁶⁰ miał dużą swobodę w odczytaniu bloków i wyborze luki.

Bandyci mieli pięciu defensywnych liniowych i dwóch linebackerów, obu mniejszych od Ricka. Pośladki Nino znajdowały się w stanie paniki i Rick już dawno postanowił zacząć szybkim snapem, zwłaszcza przy pierwszej serii zagrań ofensywnych. Powiedział szybko:

- Down. - Chwila przerwy. Ręce pod centrem, mocne klepięcie, ponieważ delikatne muśnięcie mogłoby go sprowokować do zabronionego ruchu. Potem: - Set. - Chwila przerwy. I wreszcie: - Hut.

Przez ułamek sekundy wszystko było w ruchu poza piłką. Linia skoczyła do przodu, warcząc i rycząc, a Rick czekał. Kiedy w końcu dostał

piłkę, zrobił „pompkę”⁶¹, by oszukać safety⁶², potem odwrócił się, by wykonać handoff. Franco kołysał się obok, sycząc na linebackera, którego miał zamiar skasować. Sly odebrał piłkę, zamarkował bieg przed siebie, jednak nagle ściał na zewnątrz i zdobył sześć jardów, zanim wybiegł poza linię boczną.

- Dwadzieścia siedem smash - powiedział Rick. Ta sama zagrywka, ale w lewo. Zdobyli jedenaście jardów, a kibice zareagowali na to gwizdami i trąbieniem. Rick nigdy dotąd nie słyszał, żeby tysiąc kibiców aż tak hałasowało. Sly pobiegł w prawo, potem w lewo, w prawo, w lewo i ofensywa przekroczyła strefę środkową. Zatrzymała się na czterdziestym jardzie Bandytów i przy próbach trzeciej i czwartej. Rick postanowił rzucić do Fabrizia. Sly dyszał ciężko i potrzebował chwili odpoczynku.

- I right flex Z, 64 curl H swing⁶³ - ogłosił na zbiórce Rick. Nino wysyczał tłumaczenie. Curl⁶⁴ do Fabrizia. Jego linemani byli już spoceni i bardzo szczęśliwi. Wprowadzili piłkę w samo serce obrony, przebijając się przez nią bez najmniejszego problemu. Po sześciu zagrywkach Rick niemal się nudził i czekał na okazję, by popisać się siłą swojego ramienia. Bądź co bądź za coś płacili mu tych dwadzieścia kawałków.

Bandyci dobrze odczytali zagrywkę i wszyscy prócz dwóch safetyes ruszyli do szarży. Rick dostrzegł to i chciał zmienić zagranie zdawał sobie jednak sprawę, że zaryzykowałby zepsucie zagrywki. System zmiany akcji był trudny, nawet po angielsku. Cofnął się trzy kroki i posłał bombę w miejsce, gdzie powinien być Fabrizio. Linebacker szarżujący ze ślepej strony⁶⁵ uderzył Ricka mocno w plecy i obaj się przewrócili. Podanie było idealne, ale przy odległości dziesięciu jardów miało za dużą prędkość. Fabrizio wyskoczył, prawie złapał piłkę, ale uderzyła go mocno w pierś. Odbiła się w górę i została bez trudu przechwycona przez safety.

Znowu to samo, myślał Rick, idąc do linii bocznej. Jego pierwsze podanie we Włoszech było idealną kopią ostatniego podania w Cleveland. Tłum ucichł. Bandyci świętowali. Fabrizio kuśtykał do ławki, z trudem łapiąc oddech.

- O wiele za mocno - ocenił Sam, nie pozostawiając cienia wątpliwości, kto jest winien.

Rick zdjął kask i uklęknął przy linii bocznej. Quarterback neapolitańczyków, niski chłopak z Bowling Green ⁶⁶, rozpoczął od pięciu celnych podań, które w niecałe trzy minuty doprowadziły Bandytów do pola punktowego.

Fabrizio pozostał na ławce, dając się i rozcierając pierś, jakby miał popękane żebra. Rezerwowym skrzydłowym był strażak imieniem Claudio, który złapał mniej więcej połowę podań w czasie rozgrzewki przed meczem, a jeszcze mniej na treningu. Druga seria Panter zaczęła się na ich dwudziestym pierwszym jardzie. Dwa handoffy do Slya przyniosły piętnaście jardów. Fajnie było go obserwować z bezpiecznego miejsca za linią ofensywną. Był szybki i wykonywał wspaniałe zwody.

- Kiedy dostanę piłkę? - zapytał Franco podczas huddle, zbiórki przed ustalaniem kolejnej zagrywki. - Druga i cztery, więc czemu nie?

- Weź ją teraz - oświadczył Rick i powiedział: - Trzydzieści dwa dive.

- Trzydzieści dwa dive? - powtórzył z niedowierzaniem Nino.

Franco skłął go po włosku, Nino odpowiedział i kiedy się rozchodzili, połowa ofensywy mrucała coś pod nosem.

Po odebraniu piłki Franco pobiegł wprawo, nie upuścił jej, ale za to popisał się niezwykłą umiejętnością utrzymania się na nogach. Defensywny lineman pchnął go, ale tamten nie dał się wybić z rytmu. Linebacker uderzył go w kolana, ale Franco nadal biegł. Free safety nadbiegł szybko i Franco odepchnął go wyprostowaną rękaw sposób, który zaimponowałby wielkiemu Francowi Harrisowi. Sunął przez środek boiska, roztrącając przeciwników, cornerback szarżował na niego jak byk, aż wreszcie tackle ⁶⁷ dopadł go, podcinając mu kostki. Zdobyte dwadzieścia cztery jardy. Kiedy Franco wrócił dumnie do buddle, powiedział coś do Nina, który oczywiście sobie przypisał całą zasługę, ponieważ wszystko sprowadzało się do blokowania.

Fabrizio podbiegł do zebranych. Było to jedno z jego cudownych, błyskawicznych ozdrowień. Rick postanowił załatwić sprawę natychmiast. Wywołał play-action ⁶⁸, w którym Fabrizio miał pobiec ścieżką post, i zagranie udało się znakomicie. W pierwszej próbie defensywa

rzuciła się na Slya. Strong safety dał się łatwo nabrać, co pozwoliło Fabriziowi bez problemu wybiec za niego. Podanie było długie i miękkie, idealnie celne, a kiedy Fabrizio odebrał je w pełnym biegu na piętnastym jardzie, był zupełnie sam.

Kolejne fajerwerki. Znowu śpiewy. Rick chwycił kubek z wodą i cieszył się wrzawą. Rozkoszował się swoim pierwszym podaniem na przyłożenie od czterech lat. Cudowne uczucie, bez względu na to, gdzie był.

PRZED PRZERWĄ PARMA DORZUCIŁA DWA PRZYŁOŻENIA i prowadziła dwadzieścia osiem do czternastu. W szatni Sam wściekał się na przevinienia - linia ofensywna popełniła cztery falstarty - i na marne krycie strefą, które pozwoliło rywalom na sto osiemdziesiąt jardów podaniami. Alex Olivetto opieprzał linię defensywy, ponieważ nie było presji na rozgrywającym Bandytów - ani razu nikt nie został powalony przed linią wznowienia. Było mnóstwo krzyku i pokazywania palcami, a Rick pragnął tylko tego, żeby wszyscy się odprężyli.

Przegrana z Neapolem zniszczyłaby sezon. Przy ośmiu meczach w planie rozgrywek i z Bergamo zdecydowanym zająć ponownie pierwsze miejsce w tabeli Pantery nie mogły sobie pozwolić na złe dni.

Po dwudziestu minutach demonstracyjnego rozstawiania po kątach Pantery ponownie wybiegły na boisko. Rick czuł się tak, jakby przeżył kolejną przerwę w meczu NFL.

Bandyci wyrównali na cztery minuty przed końcem trzeciej kwarty i na ławce Parmy zapanowało takie napięcie, jakiego Rick nie widział od lat. Powtarzał wszystkim: „Spokojnie, spokojnie” ale nie był pewien, czy go rozumieją. Zawodnicy patrzyli tylko na niego, na ich wielkiego nowego quarterbacka.

Po trzech kwartach dla Sama i Ricka stało się oczywiste, że muszą użyć więcej zagrywek, niż planowali. Defensywa pilnowała Slya przy każdym snapie i podwajała krycie Fabrizia. Bardzo młody trener Neapolu, były asystent w Ball State ⁶⁹, wyraźnie zaskakiwał Sama. Wkrótce jednak ofensywa odnalazła nową broń. Przy trzeciej i cztery Rick cofnął się ⁷⁰, by wykonać podanie, ale zobaczył szarżującego lewego cornerbacka. Nie było nikogo, kto mógłby go zablokować, zamarkował

więc podanie i patrzył, jak corner przefruwa obok niego. Potem upuścił piłkę i przez następne trzy sekundy, przez całą wieczność, gorączkowo usiłował ją podnieść. Kiedy już to zrobił, nie miał innego wyjścia, musiał biec. I pobiegł jak za dawnych czasów w Davenport South. Wywinął się ze sterty ciał, w której działali linebackerzy, i natychmiast znalazł się w strefie secondaries. Tłum eksplodował wrzawą, a Rick Doc-kery rozpoczął wyścig. Wymanewrował cornera, ściał przez środek, zupełnie jak Gale Sayers ⁷¹ na starym filmie, prawdziwy mistrz galopu w pole punktowe. Ostatnią osobą, od której oczekiwał pomocy, był Fabrizio, ale chłopak jakoś się przedostał. Udało mu się zaszachować safety wystarczająco długo, by pozwolić Rickowi przebiec obok, prosto do ziemi obiecanej. Kiedy Rick przekroczył linię pola punktowego, rzucił piłkę sędziemu i nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Właśnie przebiegł siedemdziesiąt dwa jardy, zdobywając najdłuższe przyłożenie w swojej karierze. Nawet w liceum nie zdobył punktów po tak długim biegu.

Na ławce koledzy ściskali go i składali gratulacje, z których niewiele rozumiał. Sły uśmiechnął się szeroko i stwierdził:

- To trwało wieki.

Pięć minut później biegający quarterback uderzył znowu. Chcąc pokazać, co potrafi, wybiegł z kieszeni ⁷² i wydawał się gotów do następnego długiego wypadu. Jeden z defensive backów ⁷³ rzucił się w jego stronę, jednak Rick, raptem o dwie stopy od linii wznowienia, posłał bombę przez środek pola w stronę znajdującego się o trzydzieści jardów od niego Fabrizia, który złapał piłkę i niedotknięty popędził w pole punktowe.

Koniec meczu. Pod koniec czwartej kwarty Trey Colby przechwycił dwa podania i Pantery wygrały czterdzieści osiem do dwudziestu ośmiu.

ZEBRALI SIĘ W POLIPO, by na koszt signora Bruncarda do woli pić piwo i zjadać się pizzą. Noc była długa, ze sprośnymi pieśniami biesiadnymi i świńskimi dowcipami. Amerykanie - Rick, Sły, Trey i Sam - siedzieli razem w jednym końcu długiego stołu i aż do bólu śmiali się z Włochów.

O pierwszej w nocy Rick wysłał e-mail do swoich rodziców:

„Mamo i Tato. Dziś miałem pierwszy mecz, wygramyśmy z Neapolem (Bandyści) trzema przyłożeniami. 18 na 22 ⁷⁴, 310 jardów, 4 przyłożenia, jeden przechwyty. Przebiegłem 98 jardów, jedno przyłożenie. Trochę przypomina mi to stare licealne czasy. Dobrze się bawię. Całuję. Rick”.

I do Arniego.

„Niepokonany w Parmie: pierwszy mecz, 5 przyłożeń, 4 górami, jedno dołem. Prawdziwy ogier. Nie, absolutnie nie będę grał w hali. Rozmawiałeś z Tampa Bay?”

PALAZZO BRUNCARDO był wspaniałą XVIII-wieczną budowlą na Viale Mariotti, nad rzeką, kilka przecznic od *duomo*. Rick doszedł do niego w dziesięć minut. Jego fiat stał na bocznej ulicy, w świetnym miejscu do parkowania, z którego nie miał ochoty rezygnować.

Było późne niedzielne popołudnie, dzień po wielkim zwycięstwie nad Bandytami, i chociaż nie miał żadnych planów na wieczór, z całą pewnością nie chciał też spędzić go w ten sposób. Kiedy spacerował tam i z powrotem po Viale Mariotti, próbując obejrzeć *palazzo* i rozpaczliwie usiłując znaleźć drzwi frontowe, nie wychodząc przy tym na głupka, po raz kolejny zadawał sobie pytanie, jakim cudem dał się wmanewrować w to wszystko.

To Sam i Franco tak nalegali.

W końcu znalazł dzwonek. Pojawił się leciwy kamerdyner i bez uśmiechu, niechętnie pozwolił mu wejść. Był ubrany w czarny frak, szybko zlustrował strój Ricka, wyraźnie go nie pochwalając. Rick natomiast uważał, że wygląda zupełnie dobrze. Ciemnogranatowa marynarka, czarne spodnie, skarpetki, czarne mokasyny, biała koszula i krawat - wszystko kupione w jednym ze sklepów polecanych przez Sama. Czuł się niemal jak Włoch. Ruszył za starym capem przez wielki hol z wysokimi, pokrytymi freskami sufitami i lśniącą marmurową podłogą. Zatrzymali się w długim salonie, dokąd szybkim krokiem weszła signora Bruncardo. Angielski brzmiał w jej wykonaniu zmysłowo. Miała na imię Silvia.

Była atrakcyjna, z mocnym makijażem, po dobrych operacjach plastycznych, bardzo szczupła, a jej chudość podkreślała dodatkowo niezwykle obcisła, lśniąca czarna suknia. Miała około czterdziestu pięciu lat, dwadzieścia lat mniej od męża, Rodolfa Bruncarda, który też wkrótce się pojawił i uściśnił dłoń swojemu quarterbackowi. Rick odniósł wrażenie, że gospodarz krótko trzyma żonę i to nie bez powodu. Jej mina i wygląd mówiły: „Kiedykolwiek, gdziekolwiek”.

Angielskim z silnym akcentem signor Rodolfo oznajmił, że bardzo mu przykro, iż nie spotkał się z Rickiem wcześniej. Interesy zatrzymały go poza miastem, i tak dalej. Jest człowiekiem bardzo zajęтым, z mnóstwem spraw na głowie. Silvia spoglądała wielkimi, brązowymi oczami, w które łatwo się było zapatrzeć. Na szczęście nadszedł Sam z Anną i rozmowa stała się łatwiejsza. Mówiono o wczorajszym zwycięstwie, a co ważniejsze - o artykule na sportowych stronicach niedzielnych gazet. Gwiazda NFL Rick Dockery poprowadził Pantery do miażdżącego zwycięstwa w otwierającym sezon meczu na własnym boisku. Na kolorowym zdjęciu Rick przekraczał linię punktową, wykonując swoje pierwsze biegowe przyłożenie od dziesięciu lat.

Rick mówił wszystko, co trzeba. Kocha Parmę. Mieszkanie i samochód są wspaniałe. Drużyna jest bombowa. Nie może się doczekać zdobycia Super Bowl. Do pokoju weszli Franco z Antonella i wymieniono rytualne uściski powitalne. Podszedł kelner z kieliszkami schłodzonego prosecco. Grupka była nieduża - państwo Bruncardo, Sam i Anna, Franco i Antonella oraz Rick. Po drinkach i przekąskach wyszli piechotą, panie w długich sukniach, na wysokich obcasach i w narzuconych norkach, panowie w ciemnych garniturach. Wszyscy mówili jednocześnie po włosku. Rick wściekał się w milczeniu, przeklinając Sama, Franca i starego Bruncarda za absurdalny pomysł spędzenia wieczoru.

Znalazł książkę po angielsku opisującą rejon Emilia-Romania i chociaż większa jej część poświęcona była jedzeniu i winom, znajdował się w niej również obszerny rozdział o operze. Z trudem przez niego przebrnął.

TEATRO REGIO został zbudowany na początku XIX wieku przez żonę Napoleona, Marię Ludwikę, która wolała żyć w Parmie, ponieważ dzięki temu mogła być daleko od cesarza. Nad widownią, orkiestrą i wielką sceną znajdowało się pięć kondygnacji prywatnych łóż i balkonów. Parmeńczycy uważali ją za najwspanialszy gmach operowy na świecie, a samą operę jako gatunek teatralny znali od urodzenia. Byli bardzo wrażliwymi słuchaczami oraz zaciekłymi krytykami i nagrodzeni tu brawami śpiewak lub śpiewaczka gotowi byli stawić czoło całemu światu. Zły występ czy fałszywa nuta często prowadziła do hałaśliwych przejawów dezaprobaty.

Łoża rodziny Bruncardo znajdowała się po lewej stronie sceny. Cała grupa zmieściła się w niej, a Ricka oszołomiły bogactwo wystroju wnętrza i poważna atmosfera wieczoru. Otaczający ich elegancko ubrany tłum szumiał w nerwowym oczekiwaniu. Ktoś pomachał mu ręką. Był to Karl Korberg, potężny Duńczyk, który uczył na uniwersytecie i próbował grać po lewej stronie linii ofensywnej. W meczu z Bandytami zepsuł co najmniej pięć łatwych bloków. Karl miał na sobie elegancki smoking, a jego włoska żona wyglądała wspaniale. Rick podziwiał z góry panie.

Sam siedział tuż przy nim, chcąc pomóc nowicjuszowi podczas pierwszego przedstawienia.

- Ci ludzie mają świra na punkcie opery - szepnął. - To fanatycy.
- A ty? - zapytał również szeptem Rick.
- To jest miejsce, w którym się bywa. W Parmie opera jest popularniejsza od piłki nożnej.
- No i od Panter?

Sam roześmiał się i skinął głową przechodzącej tuż pod nimi oszalałej brunetce.

- Jak długo to potrwa? - zainteresował się Rick, także się na nią gapiąc.
- Kilka godzin.
- Nie moglibyśmy urwać się w czasie przerwy i pójść na kolację?
- Przykro mi, ale nie. A kolacja będzie wspaniała.

- Nie wątpię.
Signor Bruncardo podał mu program.
- Znalazłem jeden po angielsku - powiedział.
- Dzięki.
- Może chciałbyś zerknąć do niego - zaproponował Sam. - Czasami trudno się połączyć, o co właściwie chodzi.
- Myślałem, że to tylko banda tłuszciochów śpiewających na całe gardło.

- Ile oper widziałeś w Iowa?

Światła przygasły i tłum umilkł stopniowo. Rick i Anna zajęli dwa maleńkie pluszowe krzesła w przedniej części łoży, tuż koło balustrady, skąd idealnie widać było scenę. Tuż za nimi siedzieli pozostali.

Anna wyjęła małą jak długopis latarkę i skierowała ją na program Ricka. Powiedziała cicho:

- *Otello* to słynna opera Giuseppe Verdiego, kompozytora z Busseto.

- Jest tutaj?

- Nie - odpowiedziała z uśmiechem. - Umarł sto lat temu. Kiedy żył, był największym kompozytorem operowym na świecie. Czytałeś Szekspira?

- Jasne.

- To dobrze. - Światła przygasły jeszcze bardziej. Anna przekartkowała program, a potem skierowała światło na czwartą stronę. - Tu jest streszczenie akcji. Przejrzyj je szybko. Śpiewają oczywiście po włosku i możesz mieć kłopoty ze zorientowaniem się, o co chodzi.

Rick wziął latarkę, zerknął na zegarek i zrobił, jak mu kazano. W tym czasie widownia, przedtem dość hałaśliwa, uspokoiła się zupełnie, wszyscy zajęli miejsca. Kiedy w sali zrobiło się ciemno, pojawił się dyrygent, który otrzymał rześiste brawa. Orkiestra zaczęła grać.

Kurtyna podniosła się z wolna przed cichą, znieruchomiałą widownią. Scenografia była bardzo wyszukana. Rzecz działa się na Cyprze. Tłum oczekiwał statku, którym przybywał ich gubernator Otello z wojny, gdzie walczył, odnosząc spore sukcesy. Nagle na scenie pojawił

się Otello, śpiewając coś w rodzaju *Celebrate, Celebrate* i całe miasto zawtórowało mu chórem.

Rick czytał szybko, starając się nie stracić nic z widowiska. Kostiumy były wyrafinowane, nałożona grubą warstwą charakteryzacja wyrazista, głosy rzeczywiście wspaniałe. Usiłował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio oglądał przedstawienie teatralne na żywo. Przed dziesięcioma laty miał dziewczynę w Davenport South, która występowała w akademickim teatrze. Dawno temu.

Młoda żona Otella, Desdemona, pojawiła się w scenie trzeciej. W przedstawieniu nastąpił wyraźny zwrot. Desdemona była olśniewająca - długie czarne włosy, idealne rysy, ciemnobrązowe oczy, które Rick widział wyraźnie z dwudziestu paru metrów. Była drobna i szczupła, ale na szczęście miała obcisły kostium, który pozwalał dostrzec cudowne krągłości.

Zerknął do programu i znalazł jej nazwisko - Gabriella Ballini, sopran.

Nic dziwnego, że Desdemona zwróciła wkrótce uwagę innego mężczyzny, Rodriga, i rozpoczęły się wszelkiego rodzaju intrygi oraz kopanie pod sobą dołków. Pod koniec pierwszego aktu Otello i Desdemona śpiewali duet, pełen dramatyzmu, romantyczny kawalek, który Rickowi i wszystkim w loży Bruncardów wydawał się w porządku, ale innym najwyraźniej coś nie odpowiadało. Na jaskółce, tanich miejscach, dało się słyszeć pomruki dezaprobaty.

Na Ricka gwizdano wiele razy, w wielu miejscach. Łatwo było to ignorować, bez wątpienia dzięki gigantycznym rozmiarom futbolowych stadionów. Parę tysięcy wyjących kibiców to tylko element gry. Ale na ściśle zapełnionej widowni z tysiącem miejsc pięciu czy sześciu hałasujących widzów brzmiało jak setka. Co za okrucieństwo! Rick był wstrząśnięty i kiedy na zakończenie aktu pierwszego kurtyna opadała, przyglądał się Desdemonie, która jakby niczego nie słysząc, stała ze stoickim spokojem, z wysoko uniesioną głową.

- Czemu to robią? - szepnął do Anny, kiedy światła znowu się zapaliły.

- Tutaj ludzie są bardzo krytyczni. Miała kłopoty.

- Kłopoty? Śpiewała wspaniale. - I wspaniale wyglądała. Jak mogli wygwizdać kogoś tak pięknego?

- Uważają, że zgubiła parę nut. To świnie. Chodźmy.
- Wstali i jak prawie wszyscy wyszli na przerwę.
- Podoba ci się? - spytała Anna.
 - O tak - odparł Rick całkiem szczerze. Przedstawienie było takie dopracowane. Nigdy dotąd nie słyszał podobnych głosów. Ale zaskoczyli go ci ludzie na jaskółce.
 - W sprzedaży jest dostępnych tylko około stu miejsc na jaskółce. - Anna wskazała na najwyższy balkon. - Siedzą tam bardzo wymagający melomani. Poważnie traktują operę i równie szybko okazują entuzjazm i niezadowolenie. Desdemona była kontrowersyjnym wyborem i nie podbiła serc publiczności.

Stali przed lożą z kieliszkami prosecco i witali się z ludźmi, których Rick widział pierwszy i ostatni raz w życiu. Pierwszy akt trwał czterdzieści minut, przerwa po nim dwadzieścia. Rick zaczął zastanawiać się, jak późno można jeść obiad.

W drugim akcie Otello zaczął podejrzewać, że jego żona zabawia się z człowiekiem imieniem Kasjo, co wywołało wielki konflikt przedstawiony oczywiście we wspaniałej arii. Żli faceci przekonali Otella, że Desdemona jest niewierna, a narwany Otello przysiągł, że zabije żonę.

Kurtyna, kolejnych dwadzieścia minut przerwy między aktami. Czy to rzeczywiście będzie trwało cztery godziny? - zastanawiał się Rick. Ale z drugiej strony, bardzo chciał jeszcze raz zobaczyć Desdemonę. Jeżeli zaczną znowu gwizdać, możliwe że pobiegnie na jaskółkę i komuś przyłoży.

W akcie trzecim pojawiła się kilka razy, nie wywołując żadnej złej reakcji. Wątki poboczne rozwijały się we wszystkich kierunkach, Otello nadal słuchał wrednych facetów i coraz bardziej był zdecydowany zabić swoją piękną żonę. Po dziewięciu czy dziesięciu scenach akt się skończył i nadeszła pora na kolejną przerwę.

Akt czwarty rozgrywał się w sypialni Desdemony. Została zamordowana przez męża, który szybko uświadomił sobie, że wbrew plotkom była mu wierna. Zrozpaczony, oszalały, ale wciąż zdolny do wspaniałego śpiewu Otello wyciągnął imponujący sztylet i rozpruł sobie brzuch. Upadł na zwłoki żony, pocałował ją trzy razy, a następnie umarł w niezwykle widowiskowy sposób. Rick śledził tok akcji, ale

przede wszystkim nie spuszczał wzroku z Gabrielli Ballini.

Cztery godziny później Rick, tak jak wszyscy, na stojąco oklaskiwał wychodzących przed kurtynę. Pojawienie się Desdemony wywołało nową falę dezaprobaty, co sprowokowało gniewną reakcję widzów z parteru i w prywatnych lożach. Machano pięściami, wykonywano różne gesty, tłum zwrócił się przeciwko malkontentom z tanich miejsc. Ci zaczęli hałasować jeszcze głośniejsze i nieszczęsna Gabriella Ballini musiała kłaniać się z bolesnym uśmiechem, jakby niczego nie słyszała.

Rick podziwiał jej odwagę i urodę.

A on uważał, że to kibice z Filadelfii są paskudni.

Jadalnia w *palazzo* była większa od całego mieszkania Ricka. Na przyjęcie po przedstawieniu przyszło jeszcze pół tuzina znajomych, goście wciąż byli przejęci *Otellem*. Mówili po włosku z podnieceniem, bardzo szybko i wszyscy naraz. Nawet Sam, jedyny Amerykanin poza Rickiem, wydawał się równie przejęty jak pozostali.

Rick usiłował się uśmiechać i zachowywać, jakby był tak samo poruszony jak Włosi. Przyjazny kelner pilnował, by jego kieliszek był ciągle pełny i zanim skończyło się pierwsze danie, Rick był już na rauszu. Wciąż myślał o Gabrielli, pięknej i niedocenionej filigranowej sopranistce.

Musiała być zrozpaczona, załamana, w samobójczym nastroju. Śpiewała tak pięknie i wzruszająco, ale nie przekonała do siebie widzów. Do diabła, on zasługiwał na wszystkie gwizdy, które usłyszał. Ale nie Gabriella.

Miały być jeszcze dwa przedstawienia i sezon się skończy. Rick, niezłe wstawiony, myślał tylko o dziewczynie i w końcu wykombinował coś zupełnie nieprawdopodobnego. W jakiś sposób załatwił sobie bilet i zobaczył kolejne przedstawienie *Otella*.

Po PONIEDZIAŁKOWYM TRENINGU nikt się specjalnie nie przykładał. Leciwały nagrania z meczu, piwo płynęło strumieniem. Sam skomentował film, opieprzając i drąc się na wszystkich, ale nikt nie był w nastroju, by poważnie traktować futbol. Ich następni przeciwnicy, Nosorożce z Mediolanu, dzień wcześniej zostali bez trudu wdeptani w ziemię przez Gladiatorów z Rzymu, drużynę, która rzadko pretendowała do Super Bowl. Wbrew temu, czego oczekiwał trener Russo, wszyscy uznali, że czekają ich łatwy tydzień i łatwe zwycięstwo. Katastrofa wisiała w powietrzu. O dwudziestej pierwszej trzydzięci Sam wysłał ich do domu.

Rick zaparkował auto przed swoim domem, a następnie poszedł przez centrum miasta do trattorii o nazwie Il Tribunale - tuż obok Strada Farini i bardzo blisko gmachu sądu, gdzie gliniarze tak lubili go doprowadzać. Pietro czekał tam razem ze swoją żoną Ivaną, w zaawansowanej ciąży.

Włoscy gracze szybko zaakceptowali amerykańskich kolegów z drużyny Sly powiedział, że dzieje się tak co roku. Czuli się zaszczytzeni, że w ich drużynie grają prawdziwi zawodowcy, i chcieli zadbać, by Parma okazała się dla nich gościnna. Miasto szczyliło się doskonałymi winem oraz jedzeniem i Włosi po kolei zapraszali Amerykanów na obiad. Czasami były to długie uczyty we wspianiałych wnętrzach, jak u Franca, a czasem rodzinne spotkania z udziałem rodziców, ciotek i wujów. Silvio, chłopak ze wsi ze skłonnością do agresji, który grał na pozycji linebackera i w starciu często używał pięści, mieszkał na wsi dziesięć

kilometrów od Parmy. Obiad, który wydał w piątkowy wieczór w odrestaurowanych ruinach starego zamku, trwał cztery godziny i uczestniczyło w nim dwudziestu jeden krewniaków, z których żaden nie mówił ani słowa po angielsku. Rick zakończył go pójściem spać w chłodnej mansardzie. Obudziło go pianie koguta.

Później dowiedział się, że Slya i Treya odwiózł pijany wuj, który miała poważne trudności z trafieniem do Parmy.

Teraz przyszedł kolej na obiad z Pietrem. Wyjaśnił, że czekają z Ivana na nowsze i większe mieszkanie, a ich obecne nie nadaje się do przyjmowania gości. Bardzo przeprosił i zaproponował spotkanie w II Tribunale, swojej ulubionej restauracji. Pracował dla firmy handlującej nawozami i nasionami, a jego szef chciał, by Pietro rozszerzył działalność przedsiębiorstwa na Niemcy i Francję. Dlatego z zapalem uczył się angielskiego i codziennie ćwiczył z Rickiem.

Ivana nie uczyła się angielskiego ani wcześniej, ani teraz i nie zamierzała się uczyć. Była dość pospolita i pulchna, ale to być może ze względu na ciążę. Często się uśmiechała i w razie potrzeby szeptała coś do męża.

Po dziesięciu minutach weszli Sly i Trey, jak zawsze zwracając uwagę innych gości lokalu. Widok czarnych twarzy wciąż był w Parmie czymś niezwykłym. Usiedli przy maleńkim stoliku i słuchali, jak Pietro ćwiczy angielski. Pojawił się gruby trójkąt parmezanu do przegryzienia w czasie ustalania menu, a wkrótce potem półmiski z *antipasti*. Zamówili pieczoną lasagne, ravioli faszerowane kabaczkim z ziołami, *ravioli* w sosie śmietanowym, *fettucini* z grzybami, *fettucini* w sosie z królika i *anolioni*.

Rick wypił kieliszek czerwonego wina, rozejrzał się po niewielkiej sali i jego spojrzenie zatrzymało się na siedzącej w odległości kilku metrów pięknej młodej kobiecie. Była w towarzystwie dobrze ubranego młodego człowieka, ale ich rozmowa nie była przyjemna. Jak większość Włosek była brunetką, chociaż, jak kilkakrotnie wyjaśniał Sly w północnych Włoszech nie brakowało blondynek. Jej ciemne oczy były przepiękne i chociaż pewnie zazwyczaj błyszczały figlarnie, teraz nie było w nich widać szczęścia. Szczupła i drobna, elegancko ubrana i...

- Na co się tak patrzysz? - zapytał Sly.
- Na tamtą dziewczynę - odparł Rick bez zastanowienia.

Wszyscy siedzący przy stoliku odwrócili się, by na nią spojrzeć, ale młoda kobieta nie zwróciła na to uwagi pogrążona w burzliwej rozmowie.

- Już ją widziałem - oznajmił Rick.
- Gdzie? - zainteresował się Trey.
- Wczoraj wieczorem w operze.
- Poszedłeś do opery? - spytał Sly, zawsze gotów mu dociąć.
- Oczywiście, że poszedłem. Ale ciebie tam nie widziałem.
- Byłeś w operze? - upewnił się z podziwem Pietro.
- Jasne. Na *Otellu*. Było wspaniale. Ona grała Desdemonę. Nazywa się Gabriella Ballini.

Ivana zrozumiała wystarczająco dużo, by popatrzeć po raz drugi. Odezwała się do męża, który szybko przetłumaczył:

- Tak, to ona. - Pietro był dumny ze swojego quarterbacka.
- Jest sławna? - zainteresował się Rick.
- Nie bardzo - odparł Pietro. - To sopran, dobry, ale nie doskonały.

- Powtórzył wszystko żonie, która też dorzuciła kilka uwag. Pietro przetłumaczył: - Ivana mówi, że Bollini przeżywa trudny okres.

Pojawiły się sałatki z pomidorami i rozmowa wróciła do futbolu oraz gry w Ameryce. Rick starał się w niej uczestniczyć, ale spoglądał wciąż na Gabrielle. Nie dostrzegł ani obrączki, ani pierścionka zaręczynowego. Wydawało się, że nie cieszy jej towarzystwo mężczyzny, ale zapewne znali się bardzo dobrze, ponieważ rozmowa była poważna. Ani razu się nie dotknęli - atmosfera między nimi była wciąż lodowata.

Kiedy Rick był w połowie gigantycznego talerza *fettucini* z grzybami, zobaczył łzę, która spłynęła po policzku Gabrielli. Mężczyzna nie otarł jej, najwyraźniej nic go to nie obchodziło.

Biedna Gabriella. Rzeczywiście nie układa się jej w życiu. W niedzielę wieczorem została wygwizdana w Teatro Regio, dzisiaj ma paskudną sprzeczkę ze swoim facetem.

Rick nie mógł oderwać od niej wzroku.

UCZYŁ SIĘ. Najlepsze miejsca do parkowania pojawiały się między piątą a siódmą po południu, kiedy pracujący w centrum wracali do domów. Rick często jeździł ulicami wczesnym wieczorem, czekając, by wskoczyć na zwalniające się miejsce. Parkowanie to brutalny sport i był już niemal zdecydowany, by kupić lub pożyczyć skuter.

O dziesiątej wieczorem znalezienie wolnego miejsca koło jego domu było prawie niemożliwe i zdarzało się często, że musiał zostawiać samochód wiele przecznic dalej.

Odholowanie samochodu należało do rzadkości, ale jednak i tak bywało. Sędzia Franco i signor Bruncardo mogliby pociągnąć za odpowiedzialnie sznurki, Rick wołał jednak unikać kłopotów. Po poniedziałkowym treningu musiał zaparkować na północ od śródmieścia, dobre piętnaście minut marszu od domu. W dodatku na kopercie przeznaczony dla pojazdów dostawczych. Po obiedzie w Il Tribunale pospieszył do swojego fiata i zaczął frustrujące poszukiwania miejsca w okolicy swojego lokum.

Prawie o północy przejechał przez Piazza Garibaldi i zaczął wypatrywać luki między dwoma samochodami. Nic. *Pasta* i wino zalegały mu w żołądku. Już wkrótce czekał go długi sen. Krążył po wąskich uliczkach zastawionych po obu stronach małymi samochodami, stojącymi zderzak przy zderzaku. Niedaleko Piazza Santafiora dostrzegł stary pasaż, którego wcześniej nie zauważył. Z jego prawej strony było miejsce, bardzo ciasne, ale a nuż? Zatrzymał się na wysokości samochodu stojącego przed luką i zobaczył paru pieszych idących chodnikiem. Wrzucił wsteczny, zwolnił sprzęgło, skręcając kierownicę mocno w prawo i jakoś zdołał wjechać, uderzył jednak prawym tylnym kołem o krawężnik. Kiepsko, potrzebna była jeszcze jedna próba. Zobaczył zbliżające się światła reflektorów, ale się tym nie przejmował. Włosi, zwłaszcza ci, którzy mieszkali w centrum, byli wyjątkowo cierpliwi. Parkowanie było dla nich codzienną udręką.

Kiedy znowu wyjechał na środek jezdnii, przez chwilę miał ochotę, by pojechać dalej. Luka była bardzo ciasna i wjechanie do niej będzie wymagało trochę czasu i wysiłku. Spróbuje jeszcze raz. Zmieniał biegi, kręcił kierownicą i przez cały czas starał się nie zwracać uwagi na

zbliżające się reflektory. I nagle nie wiadomo jak stopa ześliznęła mu się ze sprzęgła. Samochód podskoczył i zgasł. Kierowca drugiego samochodu wcisnął bardzo głośny klakson, przenikliwie wyjący pod maską lśniącego ciemnoczerwonego bmw. Samochód twardziela. Człowieka, któremu się spieszy. Drania, który nie boi się kryć za zamkniętymi drzwiami i trąbić na kogoś, kto zмага się z przeciwnościami. Rick zamarł i przez ułamek sekundy znowu pomyślał o odjechaniu na inną ulicę. Ale coś nagle w nim pękło. Otworzył szarpnięciem drzwi, pokazał środkowy palec kierowcy bmw i ruszył w jego stronę. Klakson ryczał dalej. Rick podszedł do okna od strony kierowcy, krzycząc coś o wysiadaniu. Klakson wył. Za kierownicą siedział czterdziestoletni dupek w czarnym garniturze, czarnym płaszczu i czarnych skórzanych rękawiczkach. Nawet nie spojrzał na Ricka, tylko wciąż przyciskał klakson, patrząc prosto przed siebie.

- Wysiadaj! - wrzasnął Rick.

Klakson wył. Za bmw ustawiło się już kolejne auto i zbliżało się następne. Nie można było ominąć fiata, a jego kierowca nie miał ochoty jechać dalej. Klakson ryczał.

- Wysiadaj z samochodu! - wrzasnął znowu Rick. Pomyślał o sędzim Franco. Niech go Bóg błogosławi.

Samochód za bmw również zaczął trąbić, Rick pokazał palec również w tym kierunku. Jak to się skończy?

Siedząca za kierownicą drugiego samochodu kobieta opuściła okno i krzyknęła coś nieprzyjemnego. Rick odkrzyknął. Jeszcze więcej klaksonów, krzyków, coraz więcej aut na cichej przed chwilą ulicy.

Rick usłyszał trzaśnięcie drzwi, odwrócił się i zobaczył, jak młoda kobieta uruchamia jego fiata, szybko wrzuca wsteczny i idealnie wjeżdża na wolne miejsce. Za jednym zamachem, bez stuknięć, zadrapań, drugich i trzecich prób. Wydawało się to fizycznie niemożliwe. Fiat zatrzymał się w odległości trzydziestu centymetrów od wozu przed nim i za nim.

Bmw przejechało z warkotem, za nim następne samochody. Kiedy już ich minęły, drzwi fiata otworzyły się i młoda kobieta - czółenka z odsłoniętymi palcami, naprawdę zgrabne nogi - ruszyła w swoją stronę.

Rick patrzył za nią przez chwilę. Serce wciąż biło mu szybciej, puls łomotał, pięści miał zaciśnięte.

- Hej ! - zawołał.

Nawet nie drgnęła, nie zawahała się.

- Hej! Dziękuję!

Szła dalej, znikając w ciemności. Rick patrzył za nią bez ruchu, zahipnotyzowany cudem, który mu się przydarzył. Było coś znajomego w jej postaci, uczesaniu i nagle wszystko sobie skojarzył.

- Gabriella! - zawołał. Co miał do stracenia? Jeżeli to nie ona, przecież się nie zatrzyma?

Ale się zatrzymała.

Podszedł do niej, spotkali się pod latarnią. Nie wiedział, co powiedzieć, zaczął więc mówić coś głupiego, w rodzaju: *Grazie*. Ale to ona zapytała:

- Kim pan jest?

Angielski. Ładny angielski.

- Mam na imię Rick. Jestem Amerykaninem. Dziękuję za to. - Niezgrabnie machnął ręką w kierunku swojego samochodu. Oczy miała wielkie, łagodne i nadal smutne.

- Skąd pan zna moje imię?

- Wczoraj wieczorem widziałem panią na scenie. Była pani cudowna.

Chwila zaskoczenia i uśmiech. Uśmiech, który rozwiązywał wszystko, idealne zęby, dołeczki i błyszczące oczy.

- Dziękuję.

Ale miał wrażenie, że nie uśmiechała się często.

- Po prostu chciałem powiedzieć: dobry wieczór.

- Dobry wieczór.

- Mieszka pani gdzieś tutaj? - zagadnął.

- Niedaleko.

- Ma pani czas na drinka? Kolejny uśmiech.

- Oczywiście.

PUB NALEŻAŁ DO FACETA Z WALII, odwiedzali go Angole, którzy zapuścili się aż do Parmy. Na szczęście był poniedziałek i w lokalu było

spokojnie. Znaleźli stolik niedaleko okna. Rick zamówił piwo, Gabriella campari z lodem, coś, o czym w ogóle nigdy nie słyszał.

- Pięknie mówi pani po angielsku - zauważył. W tym momencie wszystko w niej było piękne.

- Po skończeniu akademii mieszkałam w Londynie sześć lat - wyjaśniła.

Przypuszczał, że ma około dwudziestu pięciu lat, ale być może była raczej pod trzydziestkę.

- Co pani robiła w Londynie?

- Studiowałam w London College of Music, a potem pracowałam w Operze Królewskiej.

- Pochodzi pani z Parmy?

- Nie, z Florencji. A pan, panie...

- Dockery. To irlandzkie nazwisko.

- Jest pan z Parmy?

Oboje roześmiali się, co trochę zmniejszyło napięcie.

- Nie. Dorastałem w Iowa, na środkowym zachodzie. Była pani w Stanach?

- Dwa razy, na tournée. Widziałam większość głównych miast.

- Tak jak ja. To też takie moje małe tournée.

Rick umyślnie wybrał mały, okrągły stolik. Siedzieli blisko siebie, napoje stały przed nimi, kolana prawie się stykały i oboje bardzo starali się sprawiać wrażenie swobodnych.

- Jakiego rodzaju tournée?

- Gram zawodowo w futbol amerykański. Moja kariera nie układała się zbyt dobrze i dlatego w tym sezonie jestem w Parmie i gram w Panterach. - Miał przecucie, że w jej karierze również coś się popsło, czuł się więc swobodnie, będąc z nią zupełnie szczery. Jej oczy zachęcały do szczerości.

- W Panterach?

- Tak, we Włoszech istnieje zawodowa liga futbolowa. Niewielu ludzi o niej wie, drużyny są głównie tutaj, na północy: w Bolonii, Mediolanie, Bergamo, paru innych miastach.

- Nigdy o tym nie słyszałam.

- Futbol amerykański nie jest tu popularny. No, wie pani, to kraj piłki nożnej.

- Tak. - Wydawała się zupełnie niezainteresowana piłką nożną. Upiła z kieliszka łyk czerwonego płynu. - Od dawna pan tu jest?

- Trzy tygodnie. A pani?

- Od grudnia. Sezon kończy się w tym tygodniu, potem wracam do Florencji. - Ze smutkiem spojrzała w bok, jakby wcale nie miała ochoty znaleźć się we Florencji. Rick popijał piwo i spoglądał obojętnie na starą tarczę do strzałek, wiszącą na ścianie.

- Widziałem panią dziś wieczorem podczas obiadu - powiedział. - W II Tribunale. Była pani z kimś.

Szybki, wymuszony uśmiech.

- Tak. To Carletto, mój przyjaciel.

Kolejna chwila ciszy, bo Rick postanowił nie rozwijać tematu. Jeżeli będzie chciała powiedzieć mu o swoim przyjacielu, sama to zrobi.

- On też mieszka we Florencji - wyjaśniła. - Jesteśmy razem od siedmiu lat.

- To długo.

- Tak. A pan ma kogoś?

- Nie. Nigdy nie miałem stałej przyjaciółki. Dużo dziewczyn, ale nic poważnego.

- Dlaczego?

- Trudno powiedzieć. Podoba mi się bycie kawalerem. To naturalne, kiedy się jest zawodowym sportowcem.

- Gdzie się pan uczył prowadzić? - zapytała nagle i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Nigdy nie miałem samochodu ze sprzęgłem - wyjaśnił. - Pani najwidoczniej tak.

- Tutaj inaczej się jeździ i inaczej parkuje.

- Wspaniale pani i parkuje, i śpiewa.

- Dziękuję. - Piękny uśmiech, chwila ciszy, łyk campari. - Jest pan miłośnikiem opery?

Teraz tak, omal nie palnął Rick.

- Wczoraj wieczorem byłem pierwszy raz w operze i podobało mi się, zwłaszcza kiedy pani była na scenie. Jak dla mnie nie dość często.

- Musi pan przyjść znowu.
- Kiedy?
- Występujemy we środę, w niedzielę jest ostatnie przedstawienie w sezonie.
- W sobotę gramy w Mediolanie.
- Mogę zdobyć panu bilet na środę.
- Świetnie.

Pub zamykano o drugiej w nocy. Rick zaproponował, że odprowadzi Gabrielle do domu. Chętnie się zgodziła. Mieszkała w apartamencie wynajętym przez operę. Znajdował się niedaleko rzeki, kilka przecznic od Teatro Regio.

Umówili się na najbliższy dzień i na pożegnanie z uśmiechem skinęli sobie głowami.

SPOTKALI SIĘ NA LUNCHU i przy wielkich porcjach sałatek i *crepes* rozmawiali dwie godziny. Jej rozkład dnia niewiele różnił się od rozkładu Ricka - długi sen, kawa i śniadanie późnym rankiem, godzina lub dwie w sali gimnastycznej, a potem godzina lub dwie pracy. Kiedy nie występowali, obsada miała obowiązek zbierać się i prowadzić próby innego spektaklu. Zupełnie jak w futbolu. Rick odniósł jednak wrażenie, że sopran, który ma kłopoty, zarabia wprawdzie więcej niż quarterback, który ma kłopoty i przenosi się z miejsca na miejsce, ale niewiele więcej.

O Carletcie nie mówili wcale.

Rozmawiali o swoich zawodach. Zaczęła śpiewać jako nastolatka we Florencji, gdzie nadal mieszkała jej matka. Ojciec już nie żył. W wieku siedemnastu lat zdobywała nagrody i była zapraszana na przesłuchania. Jej głos rozwinął się wcześniej, miała wielkie marzenia. W Londynie ciężko pracowała i zdobywała rolę za rolą, ale potem wtrąciła się natura. Ważnym czynnikiem okazały się cechy genetyczne i teraz musiała się pogodzić z tym, że jej głos osiągnął swój punkt szczytowy.

Na Ricka gwizdano i wymyślano mu tyle razy, że przestał się tym przejmować. Ale uważał, że taka reakcja w operze jest szczególnie okrutna. Chciał o to zapytać, ale nie podjął tematu. Zamiast tego zadawał pytania o *Otella*. Skoro miał go obejrzieć jutro wieczorem, chciał

rozumieć wszystko. W czasie lunchu długo zajmowali się analizą opery. Nigdzie im się nie spieszyło.

Po kawie poszli na spacer i znaleźli budkę z *gelato*. Kiedy się w końcu pożegnali, Rick poszedł prosto na siłownię, gdzie przez dwie godziny wyciskał z siebie siódme poty i myślał tylko o Gabrielli.

PONIEWAŻ BOISKO ZAJMOWALI RUGBIŚCI, środowy trening zaczął się o szóstej po południu i był o wiele gorszy niż poniedziałkowy. W zimnym, drobnym deszczu zawodnicy Panter przez trzydzieści minut męczyli się, wykonując bez zaangażowania ćwiczenia gimnastyczne i sprinty, a kiedy skończyli, byli zbyt mokrzy, by zająć się czymś innym. Drużyna szybko wróciła do szatni, gdzie Alex przygotował projekcję wideo, a trener Russo próbował przekonać wszystkich, by traktowali poważnie Nosorożce z Milanu, beniaminka, który w ubiegłym roku grał w lidze A. Chociażby z tego powodu Pantery nie traktowały ich jako pełnowartościowego przeciwnika. Kiedy Sam puszczał film, słychać było żarty, lekceważące dowcipy i śmiech. W końcu przełączył na mecz z Neapolem. Zaczął od sekwencji bloków, zepsutych przez linię ofensywną, i już po chwili Nino kłócił się z Frankiem. Paolo, teksański Aggie i lewy tackle, poczuł się urażony czymś, co powiedział linebacker Silvio i nastrój zrobił się paskudny. Zaczęli przerzucać się złośliwymi uwagami, które stawały się coraz bardziej osobiste. Ton sprzeczek się zaostrzał. Alex przeszedł na włoski i krytykował zjadliwie niemal każdego w czarnej koszulce.

Rick siedział na podłodze swojej szafki, obserwował z rozbawieniem awanturę i doskonale zdawał sobie sprawę, do czego Sam zmierza. Dążył do draki, wewnętrznych sporów, emocji. Często paskudny trening albo wredne wideo okazywały się skuteczne, a teraz zawodnikom brakowało polotu i byli zbyt pewni siebie.

Po zapaleniu światła Sam kazał wszystkim iść do domu. Kiedy brali prysznic i przebierali się, właściwie nie rozmawiali ze sobą. Rick wyknął się ze stadionu i pospiesznie wrócił do mieszkania. Przebrał się w swoje najlepsze włoskie ciuchy i dokładnie o ósmej wieczorem siedział w piątym rzędzie w Teatro Regio. Teraz znał *Otella* na wyrywki. Gabriella wyjaśniła mu każdy szczegół.

Wytrzymał pierwszy akt, w którym Desdemona pojawiła się w trzeciej scenie, aby czołgać się u stóp swojego męża - zwariowanego Otella. Rick obserwował ją uważnie, ona zaś, kiedy Otello zawodził o czymś, z doskonałym wyczuciem czasu spojrzała na piąty rząd, by upewnić się, czy Rick tam jest. A potem, kiedy pierwszy akt zbliżał się do końca, zaśpiewała duet z Otellem.

Rick odczekał sekundę, może dwie i zaczął bić brawo. Zaskoczył tym tęgą signore z jego prawej strony, która po chwili poszła za jego przykładem. Jej mąż przyłączył się do niej i na widowni rozległy się lekkie brawa. Ci, którzy mieli zamiar buczeć, zostali uprzedzeni i nagle cała widownia uznała, że Desdemona zasługuje na więcej, niż otrzymywała dotąd. Ośmielony i nieprzejmujący się niczym Rick zawołał głośno „Brawo!” Dżentelmen dwa rzędy za nim, niewątpliwie również olśniony urodą Desdemony, zrobił to samo. Kilka innych przyjaznych osób przyłączyło się do nich i kiedy opadała kurtyna, Gabriella stała pośrodku sceny z zamkniętymi oczami, ale z wyraźnym uśmiechem.

O pierwszej w nocy znowu znaleźli się w walijskim pubie, pili drinki i rozmawiali o operze i futbolu. Ostatnie przedstawienie *Otella* miało się odbyć w następną niedzielę, kiedy Pantery będą w Mediolanie załatwiać porachunki z Nosorożcami. Gabriella chciała zobaczyć mecz i Rick przekonał ją, żeby została w Parmie o tydzień dłużej.

W PIĄTEK w NOCY wkrótce po ostatnim treningu trzej Amerykanie i Paolo, teksański Aggie, wsiedli o dwudziestą drugą pięć do pociągu do Mediolanu. Reszta Panter była w Polipo na cotygodniowej pizzy.

Obok nich zatrzymał się wózek z napojami i Rick kupił cztery piwa - pierwszą z wielu kolejek. Sły powiedział, że mało pije, bo jego żona nie

pochwała alkoholu, ale teraz żona była daleko, w Denver. Im później w noc, tym bardziej stawała się odległa. Trey oświadczył, że woli burbon, ale z całą pewnością piwo też się nada. Paolo sprawiał wrażenie gotowego wypić beczkę.

Godzinę później zobaczyli szeroko rozrzucone światła Mediolanu. Paolo twierdził, że zna go dobrze. Wiejski chłopak był wyraźnie podkscytowany perspektywą weekendu w wielkim mieście.

Pociąg zatrzymał się na olbrzymim Milano Centrale, największym dworcu kolejowym w Europie, który przed miesiącem całkowicie przytłoczył przesiadającego się tam Ricka. Weisnęli się do taksówki i pojechali do hotelu. Paolo zajął się szczegółami. Postanowili wziąć przyzwoity, ale niezbyt drogi hotel, w dzielnicy miasta znanej z nocnego życia. Żadnych kulturalnych wycieczek po starym Mediolanie. Żadnego interesowania się historią czy sztuką. Zwłaszcza Sly dosyć się już naglądał katedr, baptysteriów i brukowanych ulic. Zatrzymali się w hotelu Johnny w północno-zachodniej części miasta. Była to *albergo* prowadzona przez rodzinę - z małymi pokojami i równie mało urokliwa. Dwuosobowe pokoje - Sly i Trey w jednym, Rick i Paolo w drugim. Wąskie łóżka stały blisko siebie i Rick, rozpakowując się, rozmyślał, co będzie, jeśli obu lokatorom pokoju poszczęści się z dziewczynami.

Jedzenie miało pierwszeństwo, przynajmniej dla Paola, bo Amerykanie mogliby zadowolić się kanapką zjedzoną po drodze. Powiedział, że wybrał lokal o nazwie Quattro Mori, ponieważ podają w nim ryby, a on musi trochę odpocząć od ciągłych *pasta* i mięsa, którymi karmił go w Parmie. Zjedli świeżo złowionego szczupaka z jeziora Garda i smażonego okonia z jeziora Como, ale najlepszy był pieczony lin, faszerywany bułką tartą, parmezanem i natką pietruszki. Oczywiście Paolo wolałby jeść powoli, popijając winem, a potem zamówić deser i kawę. Amerykanie byli jednak gotowi na spotkanie z barami.

Najpierw był lokal nazywany pubem disco, autentyczny, irlandzki pub, w którym długo trwa happy hour, a potem wszyscy zaczynają tańczyć od ściany do ściany. Przyszli około drugiej w nocy, lokal trząsł się już od jazgotu brytyjskiej punkowej kapeli.

Wypełniały go setki młodych mężczyzn i kobiet podskakujących dziko w rytm muzyki. Wypili kilka piw i usiłowali poderwać jakieś dziewczyny. Bariera językowa okazała się poważnym problemem. Następny był trochę droższy klub z opłatą za wstęp w wysokości dziesięciu euro, ale Paolo znał kogoś, kto znał kogoś innego, i weszli za darmo. Znaleźli stolik na górze i przyglądali się parkietowi oraz orkiestrze pod nimi. Pojawiły się butelka duńskiej wódki, cztery szklanki z lodem i zabawa zmieniła charakter. Rick wyciągnął kartę kredytową i zapłacił za drinki. U Slya i Treya było krucho z forszą, u Paola także, chociaż starał się tego nie okazywać. Rick, quarterback zarabiający dwadzieścia kawalków za sezon, z przyjemnością zagrał nadzianego faceta. Paolo zniknął i wrócił z trzema, bardzo atrakcyjnymi włoskimi dziewczynami, które chciały chociaż powiedzieć „cześć” Amerykanom. Jedna z nich mówiła łamaną angielszczyzną, ale po paru minutach trudnych prób pogawędki zaczęły rozmawiać po włosku z Paolem i Amerykanie zostali łagodnie zepchnięci na margines.

- Jak podrywasz dziewczyny, skoro nie mówią po angielsku? - zapytał Slya Rick.

- Moja żona zna angielski.

Trey poprowadził jedną z dziewczyn na parkiet.

- Europejskie dziewczyny - stwierdził Sly - zawsze wybierają czarnych facetów.

- To musi być straszne.

Po godzinie Włoszki poszły sobie. Wódka się skończyła.

Zabawa zaczęła się na dobre trochę po czwartej nad ranem, kiedy trafili do zatłoczonej bawarskiej piwiarni z kapelą reggae na scenie. Tu dominował angielski - mnóstwo amerykańskich studentów i dwudziestoparolatek. Kiedy Rick wracał z czterema kufkami piwa, otoczyła go grupka kobiet - sądząc po przeciągłej wymowie samogłosek, były z Południa.

- Z Dallas - powiedziała któraś. Pracowniczkę biur podróży, miały na oko około trzydziestu pięciu lat i zapewne były mężatkami, chociaż na ich palcach nie widać było obrączek. Rick postawił kufki na ich stoliku i zaproponował, żeby się napiły. Do diabła z kolegami z

drużyny. Nie był im nic winien. Chwilę później tańczył z Beverley, rudielcem z niewielką nadwagą i cudowną skórą, a kiedy Beverley tańczyła, robiła to w pełnym kontakcie. Parkiet był zatłoczony, ciała objęły się o siebie i aby trzymać się blisko, Beverley obydwoma rękami obejmowała mocno Ricka. Przytulała się, ocierała, obmacywała, a między piosenkami zasugerowała, żeby znaleźli sobie jakiś kącik, gdzie mogliby być zupełnie sami, daleko od konkurentek. Przysała się jak kleszcz, i to wygłodniały.

Reszta Panter gdzieś zniknęła.

Rick zaprowadził Beverley z powrotem do stolika, gdzie jej koleżanki napastowały rozmaitych facetów. Zatańczył z Lisą z Houston, której mąż uciekł z prawniczką, partnerką z firmy. Była nudna i w końcu uznał, że woli Beverley.

Paolo pojawił się, aby sprawdzić, co się dzieje z jego quarterbackiem i w swoim dziwnie wymawianym angielskim oszołomił damy zadziwiającą serią łgarstw. On i Rick byli rzekomo słynnymi rugbistami z Rzymu, podróżującymi po świecie z drużyną, zarabiającymi miliony i żyjącymi w wielkim stylu. Rick rzadko kłamał, aby poderwać kobiety. Nie było to potrzebne. Ale zabawnie było obserwować Włocha w akcji.

Sly i Trey zniknęli, wyjaśnił Paolo. On sam został z dwiema blondynkami, które mówiły po angielsku, ale z dziwnym akcentem. Pewnie Irlandki.

Po trzecim, a może czwartym tańcu Beverley w końcu przekonała go do wyjścia, ale przez boczne drzwi, by nie spotkać się z przyjaciółkami. Nie mając pojęcia, gdzie są, przeszli kilka przecznic, by w końcu złapać taksówkę. Zanim dojechali do hotelu Regency, przez dziesięć minut obściskiwali się na tylnym siedzeniu. Jej pokój był na piątym piętrze. Kiedy Rick zasunął zasłony, zobaczył pierwsze przebłyśki świtu.

WCZESNYM POPOŁUDNIEM zdołał otworzyć jedno oko i zobaczył stopy z czerwonymi paznokciami. Zorientował się, że Beverley nadal śpi. Zamknął oko i odpłynął. Kiedy obudził się po raz drugi, głowa bolała go bardziej niż poprzednio. Beverley była pod prysznicem i przez chwilę zastanawiał się, czy nie uciec.

Mimo, że kończenie sprawy i niezgrabne pożegnania odbywały się szybko, i tak tego nie cierpiał. Zawsze. Czy tani seks rzeczywiście wart był kłamstw na odchodnym? „Hej, byłaś wspaniała, muszę już lecieć”. „Jasne, zadzwonię do ciebie”.

Ile razy otwierał oczy, usiłował przypomnieć sobie imię dziewczyny, gdzie ją poderwał, szczegóły tego, co zaszło, a przede wszystkim, jaka to doniosła okazja zaprowadziła ich do łóżka?

Prysznic szumiał. Jego ubrania leżały przy drzwiach.

Nagle poczuł się starszy, może niekoniecznie bardziej dojrzały, ale z całą pewnością zmęczony rolą kawalera o złotym ramieniu, skaczącego z łóżka do łóżka. Wszystkie kobiety były sprawą jednorazową, od fajnych cheerleaderek w college'u poczynając, na tej nieznajomej w obcym mieście kończąc.

Zabawa w futbolowego podrywacza dobiegła końca. Skończyła się w Cleveland, razem z jego ostatnim prawdziwym meczem.

Pomyślał o Gabrielle i natychmiast usiłował przestać ją wspominać. To dziwne, ale czuł się winny, leżąc tak pod prześcieradłem i słuchając, jak woda spływa po ciele kobiety, której nawet nie zapytał o nazwisko.

Szybko się ubrał i czekał. Woda przestała płynąć, Bev wyszła z łazienki w hotelowym szlafroku.

- Obudziłeś się - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Wreszcie - odparł, wstając i bardzo chcąc mieć to już za sobą. Miał nadzieję, że nie będzie przeciągać sprawy, namawiać go na drinka, obiad czy kolejną noc. - Muszę iść.

- Cześć - rzuciła, a potem nagle wróciła do łazienki i zamknęła drzwi. Usłyszał przekręcany zamek.

Cudownie. W korytarzu uznał, że rzeczywiście była mężatką i pewnie czuła się o wiele bardziej winna niż on.

Czterej *amigos* przy piwie i pizzy leczyli kaca, porównując swoje przygody. Rick z zaskoczeniem stwierdził, że takie szczeniackie opowieści są głupie.

- Słyszeliście kiedyś o zasadzie czterdziestu ośmiu godzin? - zapytał. I zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, wyjaśnił: - Jest dość powszechna w zawodowym futbolu. Żadnej gorzały na czterdzieści osiem godzin przed kickoffem.

- Kickoff jest za jakieś dwadzieścia godzin - odparł Trey.
- To tyle, jeśli chodzi o zasady - stwierdził Sly, pociągając łyk piwa.
- Uważam, że tej nocy powinniśmy odpuścić - oznajmił Rick.

Pozostali kiwnęli głowami, ale niczego nie obiecali. Znaleźli na wpół pusty pub disco i przez godzinę rzucali strzałkami. Lokal powoli zapełniał się, w jednym kącie rozlokowała się orkiestra. Nagle pub zalała grupa niemieckich studentów, a właściwie studentek, wszystkie gotowe na trudy nieprzespanej nocy. O strzałkach zapomniano, kiedy zaczęły się tańce.

Zapomniano o wielu sprawach.

FUTBOL AMERYKAŃSKI był mniej popularny w Mediolanie niż w Parmie. Ktoś powiedział, że mieszka w nim tu sto tysięcy jankesów i najwyraźniej większość nie cierpi futbolu. Na kickoff przyszło kilkuset kibiców.

Macierzyste boisko Nosoroźców służyło uprzednio do gry w piłkę nożną i miało zaledwie kilka sekcji odkrytych trybun. Drużyna od lat mordowała się w lidze B i awansowała dopiero w tym sezonie. Nie była równorzędnym przeciwnikiem dla potężnych Panter, dlatego trudno było wytłumaczyć fakt, że na przerwę Nosorożce schodziły z dwudziestopunktową przewagą.

Pierwsza połowa była największym koszmarem Sama. Jak się spodziewał, drużyna była bezbarwna, niefrasobliwa i żadne krzyki nie były w stanie jej zmotywować. Po czterech biegach Sly dyszał i sapał na linii bocznej. Franco upuścił pierwszą, a zarazem ostatnią piłkę, jaką otrzymał w tym meczu. Mistrzowski quarterback wydawał się trochę powolny, a jego podania były nie do złapania, dwa zaś tak nieprecyzyjne, że zdołał je schwytać safety Nosoroźców. Rick spieprzył jeden handoff i nie miał siły biegać z piłką. Nogi miał jak z ołowiu.

Kiedy zbiegali na przerwę, Sam szedł za swoim quarterbackiem.

- Masz kaca? - zapytał dość głośno. W każdym razie wystarczająco głośno, by reszta drużyny mogła go usłyszeć. - Jak długo byłeś w

Mediolanie? Cały weekend? Byłeś nawalony cały weekend? Wyglądasz do dupy i grasz do dupy, wiesz o tym!

- Dziękuję, trenerze - odparł Rick, nie przestając biec.

Sam trzymał się obok niego, Włosi ustępowali mu z drogi.

- Masz być ich przywódcą, no nie?

- Dziękuję, trenerze.

- A ty pojawiaasz się z przekrwionymi oczami, kacem i nie potrafisz trafić podaniem w stodołę. Rzygać mi się chce na twój widok!

- Dziękuję, trenerze.

W szatni Alex Olivetto zaczął coś gadać po włosku i to nie było przyjemne. Wielu zawodników Panter spoglądało wściekle na Ricka i Slya, który zaciskał zęby i walczył z nudnościami. Trey nie popełnił poważniejszych błędów w pierwszej połowie, ale nie dokonał również niczego spektakularnego. Paolo jak dotąd starał się przetrwać, kryjąc się wśród ludzkiej masy, na linii wznowienia.

Wspomnienie. Sala szpitalna w Cleveland. Ogląda podsumowanie meczu w ESPN i ma ochotę sięgnąć po woreczek z kroplówką i odkręcić kranik, pozwalając vicodinowi spływać swobodnie do krwiobiegu i zakończyć jego nędzny żywot.

Gdzie są leki, kiedy ich właśnie potrzebuje? I właściwie dlaczego kocha tę grę?

Kiedy Alex się zmęczył, Franco poprosił trenerów, żeby wyszli z szatni. Chętnie to zrobili. Wtedy sędzia przemówił do kolegów z drużyny. Nie podnosząc głosu, błagał o większy wysiłek. Było jeszcze mnóstwo czasu. Nosorożce to słaby zespół.

Mówił po włosku, ale Rick zrozumiał, o co chodzi.

Comeback rozpoczął się w dramatyczny sposób i zakończył się, zanim się naprawdę zaczął. W drugiej zagrywce drugiej połowy Sly przedarł się przez linię i przebiegł sześćdziesiąt pięć jardów, by łatwo wykonać przełożenie. Ale w momencie gdy dotarł do pola punktowego, był już załatwiony na resztę dnia. Z trudem udało mu się wrócić na linię boczną, skulić za ławką i zwymiotować. Rick słyszał to, ale wolał nie patrzeć.

Pojawiła się flaga i po dyskusji zagrywka została powtórzona. Nino złapał za maskę linebackera, a potem wbił mu kolano w pachwinę ⁷⁵. Nino został wyrzucony i chociaż incydent pobudził Pantery, rozwścieczył także Nosorożce. Wymyślania i szyderstwa osiągnęły niebezpieczne natężenie i Rick wybrał niewłaściwy moment, aby samemu pobiec z piłką. Zdobył piętnaście jardów i żeby udowodnić swoją determinację, opuścił kask, zamiast wyjść poza boisko. Został zmasakrowany przez połowę defensywy Nosorożców. Chwiejąc się na nogach, wrócił do grupy i wywołał podanie górą do Fabrizia. Nowy center, czterdziestoletni facet imieniem Sandro, spartaczył snapa, piłka wyleciała niecelnie z linii, ale szczęśliwie Rickowi udało się rzucić na piłkę i ją zakryć. Na dodatek wielki i wściekły tackle wdeptał go w ziemię. Przy trzeciej próbie i czternastu jardach rzucił podanie do Fabrizia. Piłka była o wiele za mocna i trafiła chłopaka w kask. Fabrizio zerwał go natychmiast, a kiedy schodzili z boiska, cisnął nim z wściekłością w Ricka.

Tak więc Fabrizio również zszedł z boiska. Po raz ostatni widziano go, jak biegnie w stronę szatni.

Bez gry dołem i górą ofensywa Ricka nie miała już praktycznie żadnego znaczenia. Franco raz za razem bohatercko wbijał się z piłką w kocioł, tworzony przez liniowych.

Pod koniec czwartej kwarty, przy stanie trzydzieści cztery do zera dla gospodarzy, Rick siedział samotnie na ławce i patrzył, jak defensywa walczy dzielnie, by zachować twarz. Pietro i Silvio, dwaj psychopatyczni linebackerzy, rzucali się jak wściekli i wrzeszczeli do swojej defensywy, by zabiła każdego, kto ma piłkę.

Rick nie mógł sobie przypomnieć, kiedy gorzej czuł się pod koniec meczu. Przy ostatnim posiadaniu został posadzony na ławce. „Odpocznij”, syknął do niego Sam i do zbiórki pobiegł Alberto. Następna seria była złożona z dziesięciu akcji dołem i trwała cztery minuty. Franco przebijał się przez środek, a Andreo, zmiennik Slya, biegał na zewnątrz w lewo i w prawo powoli, ale z ponurą determinacją. Grając już tylko o honor, Pantery na dziesięć sekund przed końcem zdobyły

punkty, ale Franco chwiejnym krokiem przedostał się w pole punktowe. Podwyższenie za jeden punkt zostało zablokowane ⁷⁶.

Droga powrotna była długa i bolesna. Rick dostał osobne miejsce i cierpiał w samotności. Trenerzy siedzieli z przodu, wściekli. Ktoś z komórką dostał wiadomość, że Bergamo pokonało Neapol czterdzieści dwa do siedmiu i to sprawiło, że zły dzień stał się jeszcze gorszy.

NA SZCZĘŚCIE „GAZETTA DI PARMA” NIE WSPOMNIAŁA O MECZU. Sam przeczytał strony sportowe w poniedziałek wczesnym rankiem i tym razem był szczęśliwy, że znalazł się w krainie uwielbienia dla piłki nożnej. Kartkował gazetę w samochodzie zaparkowanym na krawężniku przed hotelem Palace Maria Luigia, czekając na Hanka i Claudelle Wuthersów z Topeki. Ostatnią sobotę spędził, pokazując im najciekawsze miejsca w dolinie Padu, a dziś chcieli cały dzień poświęcić na dalsze zwiedzanie.

Żałował, że nie mógł spędzić z nimi również soboty i darować sobie Mediolanu.

Zadzwo niła komórka.

- Halo.
- Sam, tu Rick.

Sam odczekał chwilę, pomyślał o paru strasznych rzeczach i odezwał się:

- O co chodzi?
- Gdzie jesteś?
- Dziś pracuję jako przewodnik. Bo co?
- Masz chwilkę?
- Nie. Powiedziałem, że teraz pracuję.
- Gdzie jesteś?
- Przed hotelem Palace Maria Luigia.
- Będę za pięć minut.

Kilka chwil później wyłonił się zza rogu. Po szybkim biegu spocił się, jakby intensywnie ćwiczył od godziny. Sam powoli wysiadł z samochodu i oparł się o błotnik.

Rick dobiegł do niego, zatrzymał się na chodniku, kilka razy odechnął głęboko.

- Fajny samochód - stwierdził. Udawał, że podziwia czarnego mercedesa.

Sam miał mu niewiele do powiedzenia:

- Wypożyczony - rzucił krótko.

Kolejny głęboki oddech, krok do przodu.

- Przepraszam za wczorajsze. - Rick spojrział trenerowi prosto w oczy.

- Dla ciebie to może zabawa - warknął Sam. - Ale dla mnie to praca.

- Masz prawo być wkurzony.

- Dziękuję.

- Nic takiego już się nie zdarzy.

- Masz cholerną rację. Jeśli pojawisz się jeszcze raz w złej formie, posadzę twój tyłek na ławce. Wolę przegrać z godnością, grając z Albertem, niż polec z jakąś skacowaną primadonna. Byłeś beznadziejny.

- Dobra. Wyładuj się. Zasłużyłem.

- Wczoraj przegrałeś coś więcej niż mecz. Przegrałeś swoją drużynę.

- Nie byli gotowi do gry.

- Zgoda, ale nie zwalaj na nich winy. Ty jesteś głównym graczem, czy to ci się podoba, czy nie. Liczą na ciebie albo przynajmniej liczyli.

Rick popatrzył na przejeżdżające obok samochody.

- Przepraszam, Sam. To się już nie powtórzy.

- Zobaczymy.

Hank i Claudelle wyszli z hotelu i przywitali się ze swoim przewodnikiem.

- Później - syknął do Ricka Sam i wsiadł do mercedesa.

NIEDZIELA GABRIELLI BYŁA RÓWNIE BEZNADZIEJNA. Zdaniem widzów, które podzielała, w ostatnim przedstawieniu *Otella* była nijaka

i bez polotu. Niechętnie wyjaśniała wszystko Rickowi w czasie lekkiego lunchu i chociaż chciał wiedzieć, czy znowu ją wygwizdali, nie zapytał o to. Była smutna i pochłonięta własnymi myślami, Rick próbował więc poprawić jej nastrój, opisując własną żalną grę w Mediolanie. Lepiej cierpieć we dwoje, w dodatku uważał, że jego występ był o wiele gorszy niż Gabrielli.

Nie podziałało. W połowie lunchu powiedziała mu, że za kilka godzin wyjeżdża do Florencji. Musi wrócić do domu, znaleźć się daleko od Parmy i tej sceny.

- Obiecałaś zostać jeszcze tydzień - przypomniał, starając się, by nie zabrzmiało to błagalnie.

- Nie. Muszę jechać.

- Myślałem, że chcesz zobaczyć mecz.

- Chciałam, ale już nie chcę. Przepraszam, Rick.

Przestał jeść i starał się zachowywać zarazem opiekuńczo i nonszalancko. Ale łatwo go było rozszyfrować.

- Przykro mi - powiedziała, ale jakoś wątpił w jej szczerość.

- Chodzi o Carletta?

- Nie.

- Chyba jednak tak.

- Zawsze w jakimś sensie o niego chodzi. On nie odejdzie. Byliśmy razem zbyt długo.

Otóż to. O wiele za długo. Rzuć tę mendę i zabawmy się trochę. Rick ugryzł się w język i postanowił już nie błagać. Gabriella i Carletto byli ze sobą siedem lat i ich relacje z pewnością są skomplikowane. Wciskając się między nich albo nawet kręcąc gdzieś w pobliżu, może się tylko sparzyć. Odsunął talerz i złożył dłonie. Gabriella miała wilgotne oczy, ale nie płakała.

Była rozbita. Na scenie dotarła do punktu, w którym cała jej kariera znalazła się nad przepaścią. Rick podejrzewał, że od Carletta dostawała więcej wyrzutów niż wsparcia, chociaż skąd właściwie mógł o tym wiedzieć na pewno?

I w ten sposób zakończył się następny z szybkich romansów, jakie do tej pory zdążył sfuszerować. Uścisk na chodniku, niezdarne pocałunek, jedna lub dwie łezki Gabrielli, obietnica, że zadzwoni i na koniec przez sekundę uniesiona w pożegnalnym geście dłoni. Ale kiedy patrzył,

jak znika w głębi ulicy, miał ochotę pobiec za nią i błagać jak idiota. Modlił się o to, żeby stanęła, obejrzała się i zaczęła biec w jego stronę.

Przeszedł kilka przecznic, usiłując otrząsnąć się z odrętwienia, a kiedy nic to nie dało, włożył strój do biegania i pobiegł na Stadio Lanfranchi.

W SZATNI BYŁ TYLKO MASAŻYSTA MATTEO, ale tym razem nie zaproponował mu masażu. Był w miarę uprzejmy, czegoś jednak brakowało w jego zazwyczaj jowialnym sposobie bycia. Matteo chciał studiować w Stanach medycynę sportową i dlatego poświęcał Rickowi wiele - zbyt wiele - uwagi. Dzisiaj był czymś zajęty i wkrótce zniknął.

Rick wyciągnął się na stole zabiegowym, zamknął oczy i zaczął myśleć o dziewczynie. Potem o Samie i o tym, jak wpadł na pomysł, żeby spotkać się z nim przed treningiem i stojąc na tylnych łapkach, starać się naprawić sytuację. Myślał też o Włochach, obawiając się, że potraktują go oziębłe. Ale ich cechą narodową było to, że nie mieli skłonności do duszenia w sobie uczuć, przypuszczał więc, że po kilku spięciach i ostrych słowach znowu będą kumplami.

- Hej, stary - szepnął ktoś, zbliżając się do niego. Sły, w dzinsach i kurtce. Najwyraźniej dokądś się wybierał.

Rick usiadł, opuszczając nogi ze stołu.

- Co się dzieje?

- Widziałeś Sama?

- Nie ma go jeszcze. Gdzie się urywasz?

Sły oparł się o drugi stół, skrzyżował ramiona na piersi, zmarszczył brwi i powiedział cicho:

- Do domu. Rick. Urywam się do domu.

- Odchodzisz z drużyny?

- Nazywaj to, jak chcesz. Wszyscy w jakimś momencie odchodzimy.

- Ale nie możesz zrezygnować po dwóch meczach. Daj spokój!

- Jestem spakowany, pociąg odchodzi za godzinę. Moja urocza żona będzie jutro czekać na mnie na lotnisku w Denver. To koniec. Zmęczyło mnie ściganie marzenia, które nigdy się nie spełni.

- Chyba cię rozumiem, Sly, ale odchodzisz w środku sezonu. Zostawiasz mnie z running backami, z których żaden nie biega czterdziestki poniżej pięciu sekund tak jak ja, a ja przecież nie powinienem biegać.

Sly kiwał głową, rozglądając się na boki. Najwyraźniej zamierzał wśliznąć się do środka, zamienić kilka słów z Samem i dyskretnie wymknąć. Rick miał ochotę go udusić; sama myśl o tym, że będzie musiał dwadzieścia razy w ciągu meczu wykonać handoff do sędziego Franca, była mało kusząca.

- Nie mam wyboru, Rick - powiedział Sly jeszcze ciszej i jeszcze smutniej. - Żona zadzwoniła dziś rano, jest w ciąży, bardzo tym zaskoczona. Ma dosyć. Chce mieć w domu prawdziwego męża. A poza tym, co ja tu właściwie robię? Uganiam się za dziewczynami w Mediolanie, jakbym był jeszcze w college'u?

- Zobowiązałeś się grać ten sezon. Zostawiasz nas bez gry dołem, Sly. To nie fair.

- Nic nie jest fair.

Podjął już decyzję i sprzeczką niczego nie załatwi. Jako Amerykanie w obcym kraju powinni się wspierać. Musieli przetrwać razem i przy tym bawić się, ale nie czyniło ich to bliskimi przyjaciółmi.

- Znajdą kogoś innego - oznajmił Sly, prostując się. - Przez cały czas dobierają graczy.

- W sezonie?

- Jasne. Zobaczysz. Do niedzieli Sam będzie miał tailbacka.

Rick odprężył się nieco.

- Wracasz w lipcu do kraju? - zapytał Sly.

- Jasne.

- Masz zamiar gdzieś próbować?

- Nie wiem.

- Jak będziesz w Denver, zadzwoń do mnie, okej?

- Jasne.

Szybki uścisk i Sly odszedł. Rick przyglądał się, jak pośpiesznie wychodzi przez boczne drzwi, i wiedział, że nigdy więcej już go nie zobaczy. A Sly nigdy więcej nie zobaczy już Ricka, Sama ani żadnego z włoskich członków drużyny. Zniknie i nigdy nie powróci.

Godzinę później Rick przekazał wiadomość Samowi, który miał za sobą bardzo długi dzień z Hankiem i Claudelle. Sam cisnął jakąś gazetą w ścianę i zgodnie z przewidywaniem puścił długą wiąchę. Kiedy się uspokoił, zapytał:

- Znasz jakiegoś running backa?
- Tak, świetnego. Franco.
- Ha, ha, ha. Amerykanina, najlepiej jakiegoś gracza uniwersyteckiej drużyny, który potrafi naprawdę szybko biegać.
- Nie tak od ręki.
- Mógłbyś zadzwonić do swojego agenta?
- Mógłbym, ale jakoś się nie spieszy odbierać moich telefonów. Mam wrażenie, że w ten sposób nieoficjalnie się mnie pozbywa.
- Jesteś na szczycie, nie ma co.
- Miałem przecudowny dzień, Sam.

W PONIEDZIAŁEK o ÓSMEJ WIECZOREM zawodnicy Panter zaczęli schodzić się na stadion. Byli zażenowani przegraną, a wiadomość, że połowa ofensywy właśnie związała, nie poprawiała nastrojów. Rick siedział na stołku przed swoją szafką, odwrócony plecami do wszystkich, z nosem w playbooku. Czuł ich spojrzenia, niechęć i wiedział, że postąpił cholernie źle. Może był to tylko sport amatorski, ale zwycięstwo miało dla nich znaczenie. A zaangażowanie się -jeszcze większe.

Powoli przerzucał kartki, spoglądając obojętnie na symbole. Ktokolwiek je opracował, zakładał, że ofensywa ma tailbacka, który potrafi biegać, i receivera, który umie łapać. Rick mógł podać piłkę, ale jeżeli nie było jej komu odebrać, w statystykach zostanie po prostu odnotowane kolejne nieudane podanie.

Fabrizia nie było. Jego szafka stała pusta.

Sam poprosił o uwagę i powiedział kilka wyważonych zdań. Nie miało sensu wrzeszczeć. Jego gracze czuli się wystarczająco paskudnie. Wczorajszy mecz był już przeszłością, a za sześć dni czekał ich następny. Przekazał wiadomość o Slyu, chociaż plotki już zdążyły się roznieść.

Następnym przeciwnikiem Panter była silna drużyna z Bolonii, która zazwyczaj grała w Super Bowl. Sam opowiedział o Wojownikach; z tego, co mówił wyglądali dość groźnie. Bez trudu wygrali dwa pierwsze mecze dzięki morderczemu atakowi dołem, prowadzonemu przez tailbacka o nazwisku Montrose, który swego czasu grał w Rutgersach ⁷⁷.

Montrose był nowym zawodnikiem w lidze i jego legenda rosła z tygodnia na tydzień. Wczoraj w meczu przeciwko Gładiatorom z Rzymu biegł z piłką dwadzieścia osiem razy, zdobył ponad trzysta jardów i cztery przyłożenia.

Pietro głośno przysiągł, że złamie mu nogę, i zostało to bardzo dobrze przyjęte przez drużynę.

Po dość zdawkowym przemówieniu motywacyjnym drużyna wyszła z szatni i wybiegła na boisko. Dzień po meczu większość zawodników była sztywna i obolała. Alex przeprowadził lekkie rozciąganie i ćwiczenia gimnastyczne, a potem podzielili się na ofensywę i defensywę.

Rick zasugerował, aby w nowej ofensywie przesunąć Treya z free safety na receivera i kierować do niego piłkę trzydzieści razy w ciągu meczu. Trey był szybki, miał wspaniałe dłonie i refleks. W liceum grał na pozycji skrzydłowego. Sam podszedł do pomysłu bez entuzjazmu, głównie dlatego, że przedstawił go Rick, a w tym momencie prawie nie rozmawiał ze swoim quarterbackiem. W połowie treningu poprosił jednak, by zgłaszał się każdy, kto uważa, że może grać jako receiver. Rick i Alberto przez pół godziny rzucali łatwe piłki tuzinowi kandydatów, a potem Sam wezwał Treya i dokonał zmiany. Jego przejście do ofensywy pozostawiło wielką lukę w obronie.

- Jeżeli nie zdołamy ich zatrzymać, to może uda nam się zdobyć więcej punktów - mruknął Sam, drapiąc się po głowie. - Obejrzyjmy film - dodał i dmuchnął w gwizdek.

Film w poniedziałkowy wieczór oznaczał zimne piwo i trochę śmiechu, czyli dokładnie to, czego potrzebowała drużyna. Rozdano butelki ulubionego włoskiego peroni i nastrój znacznie się poprawił. Sam postanowił zrezygnować z oglądania nagrania meczu z Nosorożcami i całą uwagę poświęcił Bolonii. Defensywa Wojowników miała dużą linię i mocnego safety, który grał dwa lata w hali i uderzał naprawdę mocno. Łowca głów.

Właśnie tego potrzebowałem, pomyślał Rick, pociągając solidny łyk piwa. Kolejnego wstrząśnienia mózgu. Montrose sprawiał wrażenie trochę wolnego, rzymscy obrońcy o wiele wolniejszych i Pietro oraz Silvio szybko uznali ich za niegroźnych.

- Rozwalimy ich - oświadczył Pietro po angielsku.

Piwo płynęło do jedenastej. Wtedy Sam wyłączył projektor i zwolnił ich, jak zwykle obiecując ostry trening w środę. Rick i Trey zostali i kiedy wszyscy Włosi wyszli, otworzyli razem z Samem kolejne piwo.

- Pan Bruncardo nie zamierza sprowadzać kolejnego running backa - powiedział Sam.

- Dlaczego? - zdziwił się Trey.

- Nie jestem pewien, ale sądzę, że chodzi o pieniądze. Jest bardzo zmartwiony wczorajszą przegraną. Jeżeli nie możemy walczyć o Super Bowl, po co wyrzucać więcej forsy? I tak nie jest to dla niego maszynka do robienia pieniędzy.

- Więc po co to robi? - spytał Rick.

- Doskonale pytanie. Tu we Włoszech mają parę zabawnych przepisów podatkowych. Za to, że jest właścicielem drużyny sportowej, dostaje duże odpisy. W przeciwnym razie wszystko nie miałoby sensu.

- A co byś powiedział o Fabriziu? - zapytał Rick.

- Zapomnij o nim.

- Mówię poważnie. Trey i Fabrizio mogą stworzyć świetny duet receiverów. Żadnej drużyny w lidze nie stać na dwóch Amerykanów w secondary, dlatego nie mogą ich pokryć. Nie potrzebujemy tailbacka. Franco może przebiec po pięćdziesiąt jardów na mecz i spowodować, że defensywa rywala będzie musiała się skoncentrować na naszej grze dołem. Z Treyem i Fabriziem możemy zdobywać po czterysta jardów podaniami.

- Ten chłopak mnie męczy - oznajmił Sam i więcej nie rozmawiano o Fabriziu.

Dużo później w pubie Rick i Trey wzniesli toast za Slya, przeklinając go jednocześnie. Chociaż żaden nie przyznałby się do tego, obaj bardzo tęsknili za domem i zazdrościli Slyowi, że dał sobie spokój.

WE WTOREK PO POŁUDNIU Rick i Trey razem z sumiennym dublerem Albertem spotkali się z Samem na boisku i przez trzy godziny pracowali

nad precyzyjnymi ścieżkami, tajmingiem, sygnalizacją - przebudowaniem ofensywy. Nino dołączył do nich później. Sam poinformował go, że na pozostałą część sezonu przechodzą na formację shotgun i Nino zapamiętał pracował nad snapami. Po jakimś czasie poprawił je tak bardzo, że Rick nie musiał już gonić piłek po całym boisku.

W środę wieczorem Rick w pełnym rynsztunku ustawił receiverów Treya i Claudia i zaczęli ćwiczyć grę górą. Slanty, hooki, posty, curie - wszystkie ścieżki działały bez zarzutu. Rzucił do Claudia wystarczająco często, aby utrzymać defensywę w ryzach, a przy co dziesiątej zagrywce wbijał piłkę w brzuch Franca, by sprowokować trochę walki na linii. Trzy dni wcześniej ofensywa niemal wyłączona z gry przez słabych mediolańczyków teraz wydawała się zdolna zdobywać punkty, kiedy tylko zechce. Drużyna ocknęła się z drzemki i nabrała wigoru. Nino zaczął obrzucać mięsem defensywę i po chwili przerzucał się wyzwickami z Pietrem. Ktoś komuś przyłożył, wywiązała się krótka bójka i kiedy Sam rozdzielał walczących, był najszcześliwszym facetem w Parmie. Widział to, czego pragnął każdy trener - emocje, ogień, złość!

Kazał im skończyć o dwudziestej drugiej trzydziści. W szatni panował chaos. W powietrzu latały brudne skarpetki, świńskie dowcipy, obelgi i groźby odbicia dziewczyn. Sytuacja wróciła do normy. Pantery były gotowe do walki.

ODEZWAŁA SIĘ KOMÓRKA SAMA. Dzwoniący mężczyzna oświadczył, że jest prawnikiem i ma coś wspólnego ze sportem i marketingiem. Mówił szybko po włosku i przez telefon trudno go było zrozumieć. Sam często dawał sobie radę z tym językiem tylko dzięki czytaniu ruchu warg i gestykulacji.

Wreszcie prawnik przeszedł do rzeczy. Reprezentował Fabrizia i początkowo Sam sądził, że chłopak ma jakieś kłopoty. Nic podobnego. Prawnik był również agentem sportowym i miał wśród swoich klientów wielu piłkarzy i koszykarzy. Chciał wynegocjować kontrakt dla swojego klienta.

Samowi opadła szczęka. Agenci? Tutaj, we Włoszech?

A więc o to chodzi.

- Sukinsyn zszedł z boiska w połowie meczu - rzucił po włosku bez ogródek Sam.

- Był zmartwiony. Przeprasza. Ale nie ulega wątpliwości, że nie zdołacie bez niego wygrać.

Sam ugryzł się w język i policzył do pięciu. Nie daj się wyprowadzić z równowagi, tłumaczył sobie. Kontrakt to pieniądze, coś, czego nigdy nie domagał się żaden z włoskich zawodników Panter. Krążyły plotki, że niektórzy Włosi w Bergamo dostają gażę, ale w całej reszcie ligi nikt o czymś takim nie słyszał.

Udawaj, że cię zgadzasz, pomyślał.

- O jakiego rodzaju kontrakcie pan myśli? - zapytał rzeczowym tonem.

- To wielki gracz, sam pan wie. Być może najlepszy we Włoszech, nie sądzi pan? Oceniam go na dwa tysiące euro miesięcznie.

- Dwa tysiące - powtórzył Sam.

I wtedy nastąpił zwykły chwyt agentów.

- Rozmawiamy z innymi drużynami.

- Świetnie. Rozmawiajcie. My nie jesteśmy zainteresowani.

- Może zgodzi się na mniej, ale niewiele mniej.

- Odpowiedź brzmi: nie, stary. I powiedz chłopakowi, żeby trzymał się z daleka od stadionu. Może tu sobie złamać nogę.

CHARLEY CRAY Z „CLEVELAND POST” dotarł do Parmy w sobotę późnym popołudniem. Jeden z jego wielu czytelników natknął się na stronę internetową Panter i zaintrygowała go wiadomość, że Superbaran z listy Craya ukrywa się we Włoszech.

Temat był za dobry, by go zlekceważyć.

W niedzielę wsiadł pod hotelem do taksówki i próbował wyjaśnić, dokąd chce jechać. Kierowca nie wiedział nic o *football americano* i nie miał pojęcia, dokąd jechać. Wspaniale, pomyślał Cray. Nawet taksiarze nie są w stanie znaleźć stadionu. Materiał z każdą godziną stał się ciekawszy.

Ostatecznie dotarł na Stadio Lanfranchi trzydzieści minut przed kickoffem. Doliczyl się stu czterdziestu pięciu osób na trybunach, czterdziestu zawodników Panter w czarnym i srebrnym, trzydziestu sześciu Wojowników na biało-niebiesko, po jednej czarnej twarzy w

każdej drużynie. W chwili wykopu według jego oceny było około ośmiuset pięćdziesięciu kibiców.

W nocy napisał artykuł i wysłał go pocztą elektroniczną do Cleveland. Było mnóstwo czasu, by ukazał się w poniedziałek rano w specjalnym dodatku sportowym. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak się ubawił. Artykuł brzmiał:

WIELKI SER W PIZZOWEJ LIDZE

(Parma, Włochy) W czasie swojej żalosalnej kariery w NFL Rick Dockery wykonał 11 podań na 241 jardów, grając w sześciu drużynach w ciągu czterech lat. Dzisiaj, grając dla Panter z Parmy we włoskiej wersji NFL, Dockery pobił ten rekord. W pierwszej połowie!

Dwadzieścia jeden udanych podań, 275 jardów, 4 przyłożenia - i co najbardziej nie mieści się w głowie - żadnego przechwyty.

Czy to ten sam quarterback, który w pojedynkę zniweczył szanse na tytuł mistrza AFC? Ten sam nieznaną gracz, zatrudniony przez Brownsów pod koniec ostatniego sezonu z powodów dotąd nieujawnionych i uznany za największego Superbarana w całej historii zawodowego futbolu?

Tak jest, to signor Dockery. I w dolinie Padu w ten uroczy wiosenny dzień był po prostu mistrzem - rzucał piękne spirale, stał dzielnie w kieszeni, czytał „obronę” i wierzcie lub nie, w razie potrzeby sam zdobywał jardy po biegach. Rick Dockery wreszcie odnalazł się w grze. Był mężczyzną grającym z gromadą przerośniętych chłopców.

Przed hałaśliwym tłumem liczącym niecałe tysiąc osób, na boisku do rugby o długości 90 jardów, Pantery z Parmy podejmowały Wojowników z Bolonii. Każda z drużyn byłaby 20-punktowym underdogiem ⁷⁸ ze Slippery Rock ⁷⁹, ale kogo to obchodzi. Zgodnie z włoskimi przepisami w każdej drużynie może grać trzech Amerykanów. Ulubionym receiverem Dockery'ego był dziś Trey Colby, dość szczupły młody człowiek, grający kiedyś w Ole Miss, który przy każdym ustawieniu obrony nie był odpowiednio kryty przez secondaries Bolonii.

Colby biegał jak natchniony. W pierwszych dziesięciu minutach złapał trzy podania na przyłożenie!

Pozostali zawodnicy Panter to niesforni młodzi ludzie, którzy dosyć późno wybrali tę dyscyplinę jako swoje hobby. Żaden z nich nie załapałby się do wyjściowego składu zespołu 5A szkoły średniej w Ohio ⁸⁰.

Są biali, wolni, mali i grają w futbol, bo nie mogą grać w piłkę nożną lub rugby.

(A tak na marginesie: w tej części świata rugby, koszykówka, siatkówka, pływanie, wyścigi motocyklowe i kolarstwo - wszystkie cenione są o wiele wyżej niż *football americano*).

Ale Wojownicy to nie pętaki. Ich quarterback grał w Rhodesach (gdzie? Rhode Lynx- trzecia dywizja z Memphis), a ich tailback pobiegł kiedyś 58 razy z piłką Rutgersów. W ciągu trzech lat. Nazywa się Montrose i dzisiaj zaliczył 200 jardów oraz trzy przyłożenia, w tym to wygrywające, na minutę przed końcem.

Tak jest, nawet tu, w Parmie, Dockery nie może uciec przed demonami z przeszłości. Przy wyniku 27 do 7 do przerwy po raz kolejny zdołał zmienić pewne zwycięstwo w klęskę. Ale uczciwie mówiąc, nie była to całkowicie jego wina. W pierwszej zagrywce drugiej połowy Trey Colby skoczył wysoko do kiepskiego podania (niespodzianka, niespodzianka) i źle wylądował. Został zniesiony z boiska z podejrzeniem złamania lewej nogi. Ofensywa siadła, a pan Montrose zaczął maszerować po całym boisku. Kiedy mecz dobiegał końca, Wojownicy wykonali dramatyczną akcję i wygrali 35 do 34.

Rick Dockery i jego Pantery przegrali dwa ostatnie mecze, a ponieważ pozostało im do rozegrania jeszcze tylko pięć, ich szanse na playoffy są mizerne. W lipcu jest włoski Super Bowl - najwyraźniej Pantery sądziły, że Dockery może ich tam wprowadzić.

Powinni zasięgnąć informacji u kibiców Brownsów. Moglibyśmy im poradzić, żeby wykopali tego palanta i znaleźli jakiegoś prawdziwego quarterbacka, jakiegoś z junior college.

I to szybko, zanim Dockery zaczną rzucać podania do przeciwników.

Wiemy, co ten bombardier naprawdę potrafi. Biedne Pantery z Parmy.

RICK I SAM CZEKALI NA KORYTARZU drugiego piętra szpitala jak ojcowie spodziewający się syna. Była dwudziesta trzecia trzydzieści, a Trey był na sali operacyjnej od dwudziestej, Podanie na trzydziestu jardach na środku boiska, niedaleko ławki Panter. Sam słyszał trzask pękającej kości strzałkowej. Rick nie, ale widział krew i wystający ze skarpety kawałek kości.

Niewiele się odzywali, zabijając czas lekturą prasy. Sam był zdania, że nadal mogą zakwalifikować się do playoffów, jeżeli wygrają pięć pozostałych meczów. Trudne zadanie, ponieważ czekało ich spotkanie z Bolzano. A Bolzano było znowu mocne. Niedawno przegrało z Bergamo tylko dwoma punktami. Ale wygrana wydawała się mało prawdopodobna, skoro posypała im się ofensywa i zostali bez Amerykanina w secondaries.

Przyjemniej było nie myśleć o futbolu i gapić się w czasopisma.

Pielęgniarka zawołała ich i zaprowadziła na trzecie piętro do izolatki, w której na tę noc umieszczono Treya. Lewą nogę miał w potężnym gipsowym pancerzu. Do nosa i ręki podłączone były rurki.

- Będzie spał całą noc - oświadczyła inna pielęgniarka.

Zaczęła wyjaśniać, że według lekarza wszystko poszło doskonale, bez żadnych komplikacji. Zwyczajne otwarte złamanie. Przyniosła koc i poduszkę. Rick ulokował się na winylowym krzeselku obok łóżka. Sam obiecał wrócić w poniedziałek rano, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Zaciągnięto zasłonę i Rick został sam z ostatnim czarnym zawodnikiem Panter, fajnym chłopakiem z wiochy w Missisipi, który teraz zostanie odesłany do matki jak zepsuty towar. Prawa noga Treya była odsłonięta i Rick przyjrzał się jej uważnie. Kostka była bardzo szczupła, o wiele za szczupła, by wytrzymać brutalność gry w SEC⁸¹. W ogóle był za chudy i miał kłopoty ze zwiększaniem masy ciała, chociaż został uznany za zawodnika trzeciego składu całej konferencji, gdy grał swój ostatni sezon w Ole Miss.

Co teraz będzie robił? Co robi teraz Sly? Co mógłby robić każdy z nich, kiedy stanie w obliczu faktu, że to koniec gry?

Pielęgniarka pojawiła się koło pierwszej i wyłączyła światło. Podała Rickowi małą niebieską pastylkę i powiedziała:

- Na sen. - Dwadzieścia minut później Rick spał równie mocno jak Trey.

SAM PRZYNIÓŚŁ KAWĘ I CROISSANTE Znaleźli w holu dwa krzesła i skulili się nad śniadaniem. Trey godzinę wcześniej narobił trochę hałasu, wystarczająco głośnego, by obudzić pielęgniarki.

- Właśnie miałem krótkie spotkanie z panem Bruncardem - oznajmił Sam. - Lubi zaczynać tydzień od dobrania się komuś do tyłka w poniedziałek o siódmej rano.

- A dziś był twój dzień.

- Najwidoczniej. Nie zarabia na Panterach, ale też nie lubi tracić forsy. Ani przegrywać meczów. Jest trochę próżny.

- To rzadkość u właścicieli.

- Miał zły dzień. Jego drugoligowa drużyna piłki nożnej przegrała. Siatkarze przegrali, a ukochane Pantery z prawdziwym quarterbackiem z NFL poległy drugi raz z rzędu. Poza tym przypuszczam, że traci pieniądze na każdej drużynie.

- Może powinien trzymać się nieruchomości czy czym się tam zajmuje.

- Nie udzielałem mu rad. Chce wiedzieć, jak będzie z pozostałą częścią sezonu. I mówi, że nie będzie więcej trwonić pieniędzy.

- To bardzo proste, Sam - stwierdził Rick, stawiając kubek z kawą na podłodze. - Wczoraj w pierwszej połowie bez problemu zaliczyliśmy cztery przyłożenia. Dlaczego? Ponieważ miałem receivera. Dzięki

mojemu ramieniu i dobrej parze dłoni jesteśmy nie do zatrzymania i już więcej nie przegramy. Ręczę, że możemy zdobyć czterdzieści punktów w każdym meczu, do diabła, w każdej połowie.

- Twój receiver leży tu ze złamaną nogą.

- Owszem. Weź Fabrizia. Chłopak jest świetny. Szybszy od Treya i ma lepsze dłonie.

- Chce pieniędzy. Ma agenta.

- Co takiego?!

- To, co słyszałeś. W ubiegłym tygodniu miałem telefon od jakiegoś tutejszego prawnika, który powiedział, że reprezentuje wspaniałego Fabrizia i że chcą kontraktu.

- Futbolowi agenci tutaj, we Włoszech?

- Obawiam się, że tak.

Rick podrapał się po zarośniętym policzku i zamyślił nad tą wiadomością.

- Czy jacyś Włosi dostają pieniądze?

- Podobno niektórzy chłopaki w Bergamo, ale nie jestem pewien.

- Ile chce?

- Dwa tysiące euro miesięcznie.

- A ile weźmie?

- Nie wiem. Nie doszliśmy tak daleko.

- Ponegocjij, Sam. Bez niego leżymy.

- Bruncardo nie ma zamiaru wydawać więcej pieniędzy, Rick. Słuchaj tego, co mówię. Zasugerowałem, żebyśmy ściągnęli innego amerykańskiego gracza, i się wściekł.

- Weź z mojej pensji.

- Nie bądź głupi.

- Mówię poważnie. Przez cztery miesiące będę dawał tysiąc euro miesięcznie, byle dostać Fabrizia.

Sam zmarszczył brwi, wypił łyk kawy i wbił spojrzenie w podłogę.

- W Mediolanie zszedł z boiska.

- Widziałem. W porządku, to smarkacz, wszyscy o tym wiemy. Ale jeżeli nie znajdziemy kogoś, kto potrafi złapać piłkę, ty i ja jeszcze pięć

razy zejdziemy z boiska z podkulonymi ogonami. A poza tym, Sam, grając na kontrakcie, nie będzie mógł tak sobie zejść.

- Nie dałbym za to głowy.

- Zapłać mu, a stawiam forszę, że będzie się zachowywał jak zawodowiec. Spędziłem z nim wiele godzin, możemy być tak dobrze zgrani, że nikt nas nie zatrzyma. Załatw Fabrizia i nie przegramy już ani razu. Na pewno.

Siostra skinęła na nich i szybko poszli zobaczyć się z Treyem. Był wybudzony i kiepsko się czuł. Próbował się uśmiechać i dowcipkować, ale pilnie potrzebował czegoś przeciwbólowego.

W PONIEDZIAŁEK PÓŹNYM POPOŁUDNIEM ZADZWONIŁ ARNIE. Po krótkiej rozmowie na temat plusów futbolu halowego przeszedł do prawdziwego powodu swojego telefonu. Powiedział, że nie cierpi przekazywać złych wiadomości, ale Rick powinien o czymś wiedzieć. Niech zajrzy do „Cleveland Post” online. Poniedziałkowe wydanie, dział sportowy. Dość wredny tekst.

Rick przeczytał, puścił kilka odpowiednich wiązanek, a potem ruszył na długi spacer po śródmieściu Parmy, miasta, które nagle zaczął lubić jak nigdy dotąd.

Ile dołków można mieć w karierze? Minęły trzy miesiące od jego ucieczki z Cleveland, a tam nadal szarpali jego ścierwo.

SPRAWY DRUŻYNY PROWADZIŁ SĘDZIA FRANCO. Pertraktacje odbyły się w kawiarni przy Piazza Garibaldi. Rick i Sam siedzieli niedaleko i umierali z ciekawości. Sędzia i agent Fabrizia zamówili kawę.

Franco znał agenta i raczej go nie lubił. O dwóch tysiącach euro nawet nie ma mowy, wyjaśnił. Tak wiele nie zarabia nawet wielu Amerykanów. A płacenie Włochom może stać się niebezpiecznym precedensem, ponieważ drużyna i tak ledwo wychodzi na swoje. Z dłuższą listą płac równie dobrze mogą zamknąć sklepik.

Franco zaproponował pięćset euro za trzy miesiące - kwiecień, maj i czerwiec. Jeżeli w lipcu drużyna zakwalifikuje się do Super Bowl, Fabrizio dostanie premię w wysokości tysiąca euro.

Agent uśmiechnął się uprzejmie i odrzucił ofertę jako zbyt niską. Fabrizio jest doskonały. Sam i Rick sączyli piwo i nie słyszeli ani słowa.

Włosi targowali się, prowadząc ożywioną konwersację - każdy udawał zaszokowanego stanowiskiem rozmówcy, a potem obaj chichotali zgodnie. Wydawało się, że pertraktacje są prowadzone w uprzejmym, choć pełnym napięcia tonie, aż nagle uścisnęli sobie ręce i Franco strzelił palcami, przywołując kelnera. Niech przyniesie dwa kieliszki szampana.

Fabrizio będzie grał za osiemset euro miesięcznie.

Signor Bruncardo docenił złożoną przez Ricka propozycję pomocy, ale jej nie przyjął. Nie rzucał słów na wiatr i nie mógł zgodzić się na obniżenie pensji gracza.

Do TRENINGU w ŚRODĘ WIECZÓR zawodnicy znali już szczegóły dotyczące powrotu Fabrizia. Aby zapobiec nieprzyjemnej atmosferze, Sam poprosił Nina, Franca i Pietra, żeby spotkali się wcześniej z gwiazdorem receiverem. Większą część rozmowy prowadził Nino, który nie szczędząc szczegółów, obiecał połamać mu kości, jeżeli Fabrizio wykręci kolejny numer i zostawi drużynę na lodzie. Fabrizio z radością zgodził się na wszystko, łącznie z połamaniem kości. Nie będzie żadnych problemów. Był bardzo podekscytowany perspektywą ponownego uczestniczenia w grze i zrobi wszystko dla swoich ukochanych Panter.

Przed treningiem Franco przemówił w szatni do drużyny i potwierdził pogłoski. Fabrizio rzeczywiście będzie dostawał pieniądze. Nie spodobało się to większości Panter, chociaż nikt nie powiedział tego głośno. Kilku przyjęło to obojętnie - skoro chłopak może trochę zarobić, to czemu nie?

Potrzeba czasu, powiedział Rickowi Sam. Zwycięstwo zmienia wszystko. Jeżeli zdobędziemy Super Bowl, będą uwielać Fabrizia.

W szatni podawano sobie po cichu kartki papieru. Rick miał nadzieję, że jad Charleya Craya jakoś nie wydostanie się ze Stanów, ale się pomylił. Nie docenił Internetu. Ktoś zobaczył artykuł, wydrukował i teraz czytali go koledzy z drużyny.

Na prośbę Ricka Sam przedstawił sprawę i poradził drużynie, by zignorować artykuł. To kolejny paskudny numer wrednego pismaka, który chce trafić na czołówki gazet. Ale zawodnicy byli zirytowani.

Kochali futbol, grali dla przyjemności, czemu ktoś się z nich wyśmiewa?

Najbardziej jednak martwili się o swojego quarterbacka. To niesprawiedliwe, że wypędzono go z ligi i z kraju, prześladowanie go nawet w Parmie wydawało się szczególnie podle.

- Przykro nam, Rick- powiedział Pietro, kiedy wychodzili z szatni.

Z DWÓCH RZYMSKICH DRUŻYN Marines z Lazio byli zwykle słabsi. Przegrali pierwsze trzy mecze przeciętnie różnicą dwudziestu punktów, wykazując się przy tym niewielkim zapalem. Pantery były głodne zwycięstwa i pięciogodzinna podróż na południe nie okazała się wcale nieprzyjemna. Była ostatnia kwietniowa niedziela, pochmurna i chłodna, idealna na mecz.

Stadion leżący gdzieś na rozległych przedmieściach Wiecznego Miasta, wiele kilometrów i wieków od Koloseum oraz innych wspaniałych ruin, sprawiał wrażenie używanego wyłącznie do treningów w deszczu. Murawa była rzadka, z łysinami i twardymi bliznami szarej ziemi. Linie jardów zostały usunięte przez kogoś pijanego albo chorego na umyśle. Dwie odkryte krzywe trybuny mogły pomieścić najwyżej dwustu kibiców.

Fabrizio zasłużył na kwietniową wypłatę w pierwszej kwarcie. Drużyna z Lazio nie miała go na taśmie ⁸², nie wiedziała, kim jest, i zanim przegrupowali się w secondaries, złapał trzy długie podania i Pantery prowadziły dwadzieścia jeden do zera. Przy takim prowadzeniu Sam zaczął blitzować ⁸³ w każdej zagrywce i ofensywa Marines się rozsyłała. Ich quarterback, Włoch, czuł presję przed każdym snapem.

Operujący wyłącznie z shotguna, świetnie chroniony Rick rozsyfrowywał krycie, wskazywał Fabriziowi właściwą ścieżkę, sygnalizując ją rękami. Potem wygodnie ustawiał się w kieszeni i czekał, aż chłopak uwolni się spod krycia. Do przerwy Pantery prowadziły trzydzieści osiem do zera i nagle życie stało się cudowne. Śmiali się i wygłupiali w maleńkiej szatni, nie zwracając uwagi na Sama, kiedy próbował na coś narzekać. W czwartej kwarcie ofensywę poprowadził Alberto, a Franco z tupotem galopował po boisku. Każdy z czterdziestu zawodników był po uszy upapwany w błocie.

W autobusie podczas drogi powrotnej znowu rzucali gromy na Lwy z Bergamo. Piwo płynęło, pijackie pieśni stawały się coraz głośniejsze, a potężne Pantery coraz bardziej wierzyły w swój pierwszy Super Bowl.

CHARLEY CRAY SIEDZIAŁ NA TRYBUNIE między wiernymi kibicami Lazio i obserwował drugi mecz *football americano*. Jego relacja z ubiegłego tygodniowego meczu przeciwko Bolonii została tak dobrze przyjęta w Cleveland, że naczelny poprosił, żeby został jeszcze tydzień i przygotował drugą. Ciężki obowiązek, ale ktoś musiał to zrobić. Spędził pięć cudownych dni w Rzymie na koszt gazety i teraz musiał uzasadnić swoje maleńkie wakacje kolejnym zmasakrowaniem ulubionego kozła ofiarnego.

Jego artykuł brzmiał następująco:

JESZCZE WIĘCEJ RZYMSKICH RUIN

(Rzym, Włochy) Dzięki zadziwiająco celnemu ramieniu Ricka Dockery'ego dzięki Pantery z Parmy pozbierały się po dwóch kolejnych przegranych i dzisiaj w następnym ważnym meczu we włoskiej wersji NFL rozdeptały na miązgę Marines z Lazio, którzy jak dotąd nie wygrali jeszcze ani razu.

Grając na czymś, co przypominało zrehabilitowane żwirowisko, w obecności 261 kibiców, którzy nawet nie musieli płacić za bilety, Pantery i Dockery zdobyli prawie 400 jardów podaniami w samej tylko pierwszej połowie. Zręcznie demontując defensywne secondary, które było wolne, zdezorientowane i absolutnie bało się uderzać, pokazywał, co potrafi zrobić dzięki swojemu potężnemu ramieniu i cudownym zagranom utalentowanego receivera, Fabrizia Bonozziego. Przynajmniej dwa razy Bonozzi tak zgrabnie wykonał zmyłkę, że głęboko cofnięty safety zgubił but. Taki jest poziom gry we włoskim NFL.

W trzeciej kwarcie Bonozzi wydawał się wyczerpany zdobyciem tak wielu długich touchdownów. Sześciu, mówiąc konkretnie. A wielki Dockery sprawiał wrażenie, że od tak częstego rzucania boli go ramię.

Kibiców Brownsów zdziwi wiadomość, że w drugim tygodniu z rzędu Dockery'emu nie udało się rzucić piłki w ręce przeciwników. Niezwykłe, prawda? Ale przysięgam, sam to widziałem.

Dzięki tej wygranej Pantery wróciły do polowania na mistrzostwo Włoch. Co nie znaczy, że kogokolwiek we Włoszech to obchodzi.

Kibice Brownsów mogą jedynie dziękować Bogu, że takie ligi istnieją. Pozwalają one palantom takim jak Dockery grać daleko od miejsc, gdzie ma to jakieś znaczenie.

Czemu, ach, czemu Dockery nie odkrył tej ligi rok temu? Niemal płaczę, kiedy rozważam tę bolesną kwestię. *Ciao.*

AUTOBUS WJECHAŁ NA PARKING przy Stadio Lanfranchi w poniedziałek, kilka minut po trzeciej w nocy. Większość zawodników za kilka godzin musiała iść do pracy. Sam obudził wszystkich, a potem dał drużynie wolny tydzień. W następny weekend nie było meczu. Wylądowali się z autobusu, wypakowali swój ekwipunek i poszli do domu. Rick podwiózł Alberta, a potem przejechał przez śródmieście Parmy, nie napotykając żadnego samochodu. Zaparkował fiata na krawężniku trzy przecznice od domu.

Dwanaście godzin później obudziło go brzęczenie komórki. Dzwonił Arnie, jak zawsze obcesowy.

- Déjà vu, chłopie. Widziałeś „Cleveland Post”?
- Nie. Dzięki Bogu nie dostajemy go tutaj.
- Włącz komputer, sprawdź online. Ten gnój był wczoraj w Rzymie.
- Niemożliwe.
- Obawiam się, że tak.
- Kolejny artykuł.
- O tak i tak samo wredny.

Rick przesunął dłonią po głowie, usiłując przypomnieć sobie ludzi na stadionie Lazio. Mała grupka, rozrzucona na starych trybunach. Nie, nie miał czasu wpatrywać się w twarze, a poza tym nie wiedział, jak wygląda Charley Cray.

- Dobra. Przeczytam.

- Przykro mi, Rick. To naprawdę skandal. Gdybym uważał, że to coś pomoże, zadzwoniłbym do gazety i urządził piekło. Ale za dobrze się tym bawią. Lepiej to ignorować.

- Jeżeli znowu pokaże się w Parmie, skręcę mu kark. Sędzia to mój kumpel.

- Brawo! Na razie.

Rick znalazł dietetyczny napój gazowany, szybko wziął zimny prysznic, a potem włączył komputer. Dwadzieścia minut później prze-mykał się wśród samochodów swoim punto, bez wysiłku, płynnie zmieniając biegi jak prawdziwy Włoch. Mieszkanie Treya było nieco na południe od centrum, na drugim piętrze względnie nowoczesnego budynku, zaprojektowanego tak, aby na jak najmniejszej powierzchni upchnąć jak najwięcej ludzi.

Trey leżał na sofie z nogą podpartą poduszkami. Mały pokój przypominał wysypisko śmieci - brudne naczynia, kartony po pizzy, parę puszek po piwie i napojach. W telewizorze leciały stare odcinki *Koła fortuny*, a stereo w sypialni grało stare kawałki Motown.

- Przyniosłem ci kanapki - powiedział Rick, kładąc torbę na zaśmieconym niskim stoliku. Trey machnęła pilotem i telewizor umilkł.

- Dzięki.

- Jak noga?

- Wspaniale - odparł z grymasem Trey. Pielęgniarka przychodziła trzy razy dziennie, by pomóc mu w codziennych potrzebach i przynieść środki przeciwbólowe. Czuł się kiepsko i skarżył na bóle. - Jak nam poszło?

- Łatwy mecz, dokopaliśmy im pięćdziesięcioma punktami.

Rick usadowił się w fotelu, usiłując nie zwracać uwagi na brud.

- Czyli nie byłem wam potrzebny.

- Lazio nie jest zbyt dobre.

Pogodny uśmiech i beztroska Treya zniknęły, zastąpiły je kiepski humor i uzalanie się nad sobą. Otwarte złamanie załatwia młodego sportowca. Kariera zawodowa, bez względu na to, co Trey o niej myślał, dobiegła końca i rozpoczął się następny okres życia. Jak większość młodych sportowców, Trey nie zastanawiał się nad tym, co będzie

później. Kiedy się ma dwadzieścia sześć lat, wydaje się, że świat stoi otworem.

- Pielęgniarka dobrze się tobą opiekuje? - spytał Rick.

- Jest w porządku. W środę zakładają mi nowy gips, a w czwartek wyjeżdżam. Muszę pojechać do domu. Tutaj zwiariuję.

Przez długą chwilę patrzyli na ekran milczącego telewizora. Od kiedy Trey wyszedł ze szpitala, Rick codziennie do niego zaglądał i widział, jak z każdym dniem małe mieszkanko stawało się coraz mniejsze. Może z powodu gromadzących się śmieci czy rzeczy do prania, może zamkniętych na głucho i zasłoniętych okien. A może powodem był Trey, coraz bardziej pograżający się w ponurym nastroju. Rick właściwie ucieszył się z wiadomości, że za trzy dni Trey wyjedzie.

- Nigdy nie odniosłem kontuzji w obronie - oznajmił Trey, wpatrując się w telewizor. - Jestem defensive backiem. Wstawiłeś mnie do ataku i proszę. - Postukał w gips, aby zwiększyć efekt dramatyczny.

- Obwiniasz mnie za swoją kontuzję?

- Nigdy nie byłem poszkodowany w obronie.

- Pieprzysz bzdury. Czy tylko ofensywni gracze odnoszą kontuzje?

- Mówię o sobie.

Rick najeżył się i już gotów był wrzasnąć, ale zrobił wdech, głośno przełknął ślinę, spojrzał na gips i odpuścił. Po kilku minutach odezwał się:

- Może poszedłbyś dziś do Polipo na pizzę?

- Nie.

- To może chciałbyś, żebym ci ją przyniósł?

- Nie.

- Kanapkę, stek, cokolwiek?

- Nie - mówiąc to, Trey uniósł pilota, nacisnął guzik i zobaczyli, jak szczęśliwa gospodyni domowa kupiła samogłoskę.

Rick wstał i bez słowa wyszedł z mieszkania.

Siedział w popołudniowym słońcu w barowym ogródku i pił peroni z zapotniałego kufła. Pykał kubańskim cygarem i przyglądał się przechodzącym obok kobietom. Czuł się bardzo samotny i zastanawiał się, czym u licha będzie się zajmował przez cały tydzień.

Znowu zadzwonił Arnie i tym razem w jego głosie słychać było podniecenie.

- Wrócił Rat - oznajmił triumfalnie. – Saskatchewan⁸⁴ zatrudniło go wczoraj na stanowisku głównego trenera. Byłem pierwszym, do którego zadzwonił. Chce ciebie, Rick, natychmiast.

- Saskatchewan?

- Tak jest. Osiemdziesiąt kawałków.

- Myślałem, że Rat odpuścił już dawno temu.

- Owszem, przeniósł się na farmę w Kentucky, przez kilka lat przetrzącał końskie gówna i się tym znudził. W ubiegłym tygodniu Saskatchewan zwolniło wszystkich i namówili Rata, żeby wrócił z emerytury.

Rat Mullins pracował dla większej niż Rick liczby zawodowych drużyn. Dwadzieścia lat temu stworzył szurnięty atak, w którym w każdej zagrywce grali górą, co zmuszało receiverów do biegania we wszystkich kierunkach. Na jakiś czas stał się sławny, ale po dziesięciu latach popadł w niełaskę, kiedy jego drużyny nie były w stanie wygrywać. Był koordynatorem ofensywy w Toronto, kiedy grał tam Rick, i nawet się trochę zaprzyjaźnili. Jeżeli Rat został głównym trenerem, Rick mógłby zaczynać każdy mecz i rzucać pięćdziesiąt razy.

- Saskatchewan - mruknął Rick, wracając myślami do Reginy i otaczających ją miast. - Jak to daleko od Cleveland?

- Milion kilometrów. Kupię ci atlas. Posłuchaj, mają po pięćdziesiąt tysięcy kibiców na każdym meczu, Rick. To wielki futbol i proponują osiemdziesiąt kawałków. Od ręki.

- Sam nie wiem.

- Nie bądź głupi, chłopie. Zanim tu dotrzesz, wyduszę z nich setkę.

- Daj spokój, Arnie, nie mogę tak odejść.

- Oczywiście, że możesz.

- Nie.

- Tak. Upierasz się bez sensu. To może być twój prawdziwy comeback.

- Mam tu już kontrakt, Arnie.

- Posłuchaj, chłopie. Pomyśl o swojej karierze. Masz dwadzieścia osiem lat i drugiej takiej szansy nie dostaniesz. Rat chce, żebyś stał w kieszeni i swoim wspaniałym ramieniem posyłał bomby nad całą Kanadą. Piękna sprawa.

Rick upił łyk piwa i otarł usta. Armie był nakręcony.

- Spakuj torby, jedź na stację, zaparkuj samochód, zostaw kluczyki na siedzeniu i powiedz *adios*. Co ci zrobią, podadzą cię do sądu?

- To nie fair.

- Pomyśl o sobie, Rick.

- Właśnie myślę.

- Zadzwoń za dwie godziny.

Rick oglądał telewizję, kiedy Arnie zadzwonił znowu.

- Dają dziewięćdziesiąt kawalków i chcą mieć odpowiedź.

- W Saskatchewan nie pada teraz śnieg?

- Jasne, jest cudownie. Pierwszy mecz za sześć tygodni. Potężni Roughridersi. Pamiętasz? W ubiegłym roku grali o Grey Cup ⁸⁵. Dozgoniała firma i są gotowi bulić. Rat staje na głowie, żeby cię tam ściągnąć.

- Daj mi się z tym przespać.

- Za dużo myślisz, chłopie. To nic skomplikowanego.

- Daj mi się z tym przespać.

ALE NIE MÓGL SPAC. Przez całą noc laził po mieszkaniu, oglądał telewizję, próbował czytać, chcąc uwolnić się od paralizującego poczucia winy, które ogarniało go przy każdej myśli o ucieczce. Mógłby bez trudu zrobić to tak, że nigdy więcej nie musiałby spojrzeć w oczy Samowi, Francowi, Ninowi i całej reszcie. Mógłby zwać o świcie i nie oglądać się za siebie. Przynajmniej tak sobie tłumaczył.

O ósmej rano pojechał na stację, zaparkował fiata i wszedł do środka. Godzinę czekał na pociąg.

TRZY GODZINY PÓŹNIEJ BYŁ WE FLORENCJI. Taksówka zawiozła go do hotelu Savoy przy Piazza della Repubblica. Zameldował się w recepcji, zostawił torbę w pokoju i znalazł stolik w ogródku jednej z wielu kawiarni otaczających gwarny plac. Wybrał numer komórki Gabrielli, usłyszał zgłaszającą się po włosku pocztę głosową, ale postanowił nie zostawiać wiadomości.

W czasie lunchu zadzwonił znowu. Sprawiała wrażenie w miarę zadowolonej, choć może trochę zaskoczonej jego telefonem. Najpierw było kilka zająknięć po obu stronach, ale w trakcie rozmowy wyraźnie się rozkręciła. Była w pracy, chociaż nie wyjaśniła, co właściwie robi. zaproponował, żeby spotkali się na drinka w Gilli, popularnej kawiarni naprzeciwko jego hotelu, według przewodnika, lokalu odpowiednim na spędzenie tu późnego popołudnia. Dobrze, powiedziała w końcu, o piątej po południu.

Wędrował po ulicach wokół placu, dał się unosić tłumowi, podziwiał stare gmachy. W *duomo* omal nie rozdeptała go horda japońskich turystów. Wszędzie słyszał angielski i zawsze byli to amerykańscy studenci, a właściwie prawie wyłącznie studentki. Obejrzał sklepy na Ponte Vecchio, wiekowym moście nad rzeką Arno. Jeszcze więcej angielskiego. Jeszcze więcej studentek.

Kiedy zadzwonił Arnie, pił espresso i przeglądał przewodnik w kawiarni przy Piazza della Signoria, niedaleko galerii Uffizi, przed którą tłumy turystów czekały na obejrzenie największej na świecie kolekcji obrazów. Postanowił nie mówić Arniemu, gdzie jest.

- Dobrze spałeś? - zaczął Arnie.
- Jak niemowlę. Słuchaj Arnie, nie da rady. Nie odejdę w środku sezonu. Może w przyszłym roku.
- Nie będzie żadnego przyszłego roku, chłopie. Teraz albo nigdy.
- Zawsze jest następny rok.
- Nie dla ciebie. Nie rozumiesz, że Rat znajdzie sobie innego rozgrywającego?
- Rozumiem to lepiej od ciebie, Arnie.
- Nie bądź głupi, Rick. Zaufaj mi.
- A co z lojalnością?
- Lojalnością? Kiedy jakaś drużyna była lojalna wobec ciebie, chłopie? Wylatywałeś tyle razy...
- Uważaj, Arnie.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Rick, jeżeli tego nie weźmiesz, możesz sobie poszukać innego agenta.

- Spodziewałem się tego.
- Daj spokój. Posłuchaj mnie.

Rick drzemał, kiedy agent zadzwonił ponownie. Odmowa była dla Arniego jedynie chwilową komplikacją.

- Wycisnąłem z nich sto kawałków, rozumiesz? Zaharowuję się na śmierć, Rick, a ty w ogóle nie chcesz współpracować. W ogóle.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Sytuacja jest taka: drużyna funduje ci bilet, żebyś tam poleciał i spotkał się z Ratem. Dziś, jutro, wkrótce, zgoda? Ale naprawdę wkrótce. Zechcesz łaskawie to dla mnie zrobić?

- Sam nie wiem...

- Masz wolny tydzień. Proszę, Rick, wyświadczyć mi tę przysługę. Bóg mi świadkiem, że zasłużyłem na nią.

- Przemyszę to.

Powoli zamknął telefon, chociaż Arnie wciąż mówił.

PARĘ MINUT PRZED PIĄTĄ znalazł stolik przed Gilli, zamówił campari z lodem i starał się nie patrzeć na każdą kobietę przechodzącą przez plac. Owszem, przyznał się w duchu, był zdenerwowany, ale również podekscytowany. Nie widział Gabrielli przez dwa tygodnie, nie rozmawiał z nią przez telefon. Nie pisał e-maili. W ogóle żadnego kontaktu. Ta randka miała określić przyszłość ich relacji, jeżeli w ogóle miały one jakąś przyszłość. Może to być ciepłe spotkanie z jednym drinkiem prowadzącym do następnego albo sztywne, kłopotliwe i ostateczne rzeczywistość.

Do pobliskiego stolika dopadła grupka studentek. Wszystkie mówiły jednocześnie - część rozmawiała przez komórki, inne trajkotały na całego. Amerykanki. Wymowa z Południa. Osiem, w tym sześć blondynek. Głównie džinsy, ale też kilka krótkich spódniczek. Opalone nogi. Żadnego podręcznika czy notebooka. Zestawiły razem dwa stoliki, przyniosły krzesła, poukładały torby, powiesiły kurtki i w całym tym zamieszaniu całej ósemce udawało się gadać bez przerwy.

Rick zastanawiał się, czy nie zmienić miejsca, ale ostatecznie zrezygnował. Były ładniutkie, a sam angielski poprawiał mu nastrój, chociaż spadał na niego lawiną. Gdzieś wewnątrz Gilli jakiś kelner, który wyciągnął tę krótką słomkę, podszedł, by przyjąć ich zamówienie. Brały głównie wino, ale żadna nie poprosiła o nie po włosku.

Jedna z dziewczyn dostrzegła Ricka, potem trzy kolejne zerknęły w jego stronę. Dwie zapaliły papierosy. Jak na razie, żadna nie gadała przez komórki. Było już dziesięć po piątej.

Dziesięć minut później zadzwonił do Gabrielli i wysłuchał sekretarki. Ślicznotki z Południa rozmawiały między innymi o Ricku i o tym, czy jest Włochem, czy Amerykaninem. Może nawet rozumie, co mówią? Zupełnie się tym nie przejmowały.

Zamówił następne campari, co według jednej z brunetek było dowodem na to, że nie jest Amerykaninem. Przestały się nim interesować, kiedy któraś wspomniała o wyprzedzaży butów w Ferragamo.

Minęło wpół do szóstej i Rick zaczął się martwić. Na pewno zadzwoniłaby, gdyby miała się spóźnić, ale nie zrobiłaby tego, gdyby zrezygnowała ze spotkania.

Jedna z brunetek, w minispódniczce, podeszła do jego stolika i szybko usiadła na krześle naprzeciw niego.

- Cześć - rzuciła, uśmiechając się. - Możesz rozstrzygnąć zakład? - Zerknęła na przyjaciółki. Rick także. Obserwowały go z zaciekawieniem. Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dodała: - Czekasz na mężczyznę czy na kobietę? Przy naszym stoliku obstawiamy pół na pół. Przegrane stawiają.

- A jak masz na imię?

- Livvy. A ty?

- Rick. - Przez ułamek sekundy z przerażeniem pomyślał o podaniu nazwiska. To były Amerykanki. A jeżeli skojarzą nazwisko największego Superbarana w historii NFL?

- Dlaczego uważacie, że na kogoś czekam? - zapytał.

- To oczywiste. Zerkasz na zegarek, wybierasz numer, nie odzywasz się, obserwujesz ludzi, znowu sprawdzasz godzinę. Na pewno na kogoś czekasz. To tylko głupi zakład. Wybierz: mężczyzna czy kobieta?

- Jesteś z Teksasu?

- Blisko, z Georgii.

Była naprawdę fajna - łagodne niebieskie oczy, wysokie kości policzkowe, jedwabiste ciemne włosy spadające prawie do ramion. Chciał dalej z nią rozmawiać.

- Turystka?

- Studentka na wymianie. A ty?

Ciekawe pytanie ze skomplikowaną odpowiedzią.

- Jestem tu w interesach - odparł.

Przyjaciółki już się znudziły i znowu zaczęły rozmawiać - tym razem o nowej dyskotecie, gdzie bywali chłopcy z Francji.

- A jak ty sądzisz, na mężczyznę czy na kobietę? - zapytał.

- Może na żonę? - Oparła się łokciami o blat i pochyliła bliżej, wyraźnie dobrze się bawiąc.

- Nigdy nie miałem żony.

- Tak myślałam. Powiedziałabym, że czekasz na kobietę. To już nie jest pora na interesy. Nie wyglądasz na faceta z korporacji. I z całą pewnością nie jesteś gejem.

- To takie oczywiste?

- O tak, zdecydowanie.

Jeżeli przyzna, że czekał na kobietę, wyjdzie na odtrąconą ofiarę losu. Jeżeli powie, że na mężczyznę, wyjdzie na durnia, kiedy (jeżeli w ogóle) pojawi się Gabriella.

- Nie czekam na nikogo.

Uśmiechnęła się. Znała prawdę.

- Wątpię.

- A gdzie amerykańskie studentki bywają we Florencji?

- Mamy swoje miejsca.

- Może później będę się nudził.

- Chciałbyś się przyłączyć?

- Jasne.

- Jest klub, który nazywa się... - Urwała i spojrzała na swoje przyjaciółki, które przeszły właśnie do niecierpiącej zwłoki sprawy następnej kolejki drinków. Livvy instynktownie postanowiła ich nie wtajemniczać.

- Daj mi numer swojej komórki. Zadzwoń później, kiedy ustalimy już plany.

Wymienili numery. Mruknęła: *Ciao*, i wróciła do stolika, gdzie oznajmiła swojej paczce, że nie ma wygranych ani przegranych. Siedzący tam Rick nie czeka na nikogo.

Po czterdziestopięciominutowym oczekiwaniu na Gabrielle zapłacili za campari, puścił oko do Livvy i wmieszał się w tłum. Jeszcze jeden telefon do Gabrielli, ostatnia próba i kiedy usłyszał automatyczne nagranie, zaklął i zatrzasnął telefon.

Godzinę później oglądał telewizję w swoim pokoju, kiedy zadzwonił telefon. To nie był Arnie. Ani Gabriella.

- Dziewczyna nie przyszła? - zapytała wesoło Livvy.
- Nie.
- A więc jesteś sam.
- I to bardzo.
- Co za marnotrawstwo. Mam ochotę na obiad. Chcesz się umówić?
- Oczywiście, że chcę.

Spotkali się w Paoli, niedaleko od jego hotelu. Był to wiekowy lokal, z jedną długą salą o sklepionym suficie pokrytym średniowiecznymi freskami. Wszystkie miejsca były zajęte i Livvy przyznała ze śmiechem, że musiała użyć swoich wpływów, żeby zdobyć stół. Był maleńki, siedzieli blisko siebie.

Popijając wino, wymienili wstępne informacje. Była studentką przedostatniego roku na Uniwersytecie Georgii, kończyła ostatni semestr za granicą, jej przedmiot kierunkowy to historia sztuki, nie studiuje zbyt pilnie i nie tęskni za domem.

Ma tam chłopaka, ale to nic poważnego. Do skreślenia.

Rick przysięgł, że nie ma żony, narzeczonej, żadnego stałego związku. Dziewczyna, która nie przyszła, jest śpiewaczką operową i oczywiście informacja ta od razu w znaczący sposób zmieniła kierunek ich rozmowy. Zamówili sałatki, *pappardelle* z królikiem i butelkę chianti.

Rick wypił solidny łyk wina, zacisnął zęby i od razu wziął byka za rogi, przechodząc do sprawy futbolu. Tego dobrego (college), złego (koczownicza kariera zawodowa) i brzydkiego (jego krótki występ w ostatnim dniu stycznia w drużynie Brownsów).

- Nie tęsknię za futbolem - powiedziała i Rick miał ochotę ją uściśnąć. Wyjaśniła, że od września jest we Florencji. Nie wiedziała, kto wygrał SEC ⁸⁶, zdobył mistrzostwo kraju i prawdę mówiąc, w ogóle jej to nie obchodziło. Nie była też zainteresowana futbolem zawodowym. Była cheerleaderką w liceum i miała dość futbolu do końca życia.

Cheerleaderka we Włoszech. Nareszcie.

Zwięzle opowiedział jej o Parmie, Panterach i włoskiej lidze, potem odbił piłeczkę na jej stronę stołu.

- Mam wrażenie, że we Florencji jest mnóstwo Amerykanów. Przewróciła oczami, jakby miała dosyć Amerykanów.

- Nie mogłam doczekać się studiów za granicą, marzyłam o nich od lat, a teraz mieszkam z trzema dziewczynami z mojej korporacji studenckiej w Georgii, z których żadna nie jest zainteresowana na uczeniem się języka ani poznaniem tutejszej kultury. Tylko zakupy i dyskoteki. Tu są tysiące Amerykanów i wszyscy trzymają się razem jak owce. - Równie dobrze mogłaby być w Atlancie. Często podróżowała sama, żeby zwiedzać i uwolnić się od przyjaciółek.

Jej ojciec był znanym chirurgiem, którego romans doprowadził do ciągnącego się w nieskończoność rozwodu. Atmosfera w domu zrobiła się paskudna i wcale nie cieszy jej myśl o wyjeździe z Florencji, kiedy za trzy tygodnie semestr się skończy.

- Przepraszam - powiedziała, kończąc opowieść o sytuacji rodzinnej.

- Daj spokój.

- Chciałabym spędzić lato, podróżując po Włoszech, nareszcie bez kumpelek, bez kolegów ze studiów, którzy upijają się co wieczór. I znaleźć się bardzo daleko od mojej rodziny.

- Czemu tego nie zrobisz?

- Tatuś płaci rachunki i tatuś mówi: „wracaj do domu”.

Nie planował niczego po zakończeniu sezonu, który mógł potrwać do lipca. Z jakiegoś powodu wspomniał o Kanadzie, może po to, by jej zaimponować. Gdyby tam grał, sezon potrwałby do listopada. Nie wywarło to na niej żadnego wrażenia.

Kelner przyniósł kopiaste talerze *pappardelle* z królikiem w gęstym sosie, który pachniał i wyglądał bosko. Rozmawiali o włoskiej kuchni i winie, o Włochach w ogóle, o miejscach, które już odwiedziła i które znajdowały się jeszcze na jej liście.

Jedli powoli, jak wszyscy w Paoli, a gdy zakończyli posiłek serami i porto, było już po jedenastej.

- Prawdę mówiąc, nie mam ochoty iść do klubu - westchnęła. - Z przyjemnością pokazałabym ci kilka, ale nie jestem w nastroju. Za często imprezujemy.

- A na co masz ochotę?

- *Na gelato.*

Przeszli przez Ponte Vecchio i znaleźli lodziarnię, gdzie oferowano pięćdziesiąt smaków lodów. Potem odprowadził ją do mieszkania i pocałował na dobranoc.

TU JEST DOPIERO PIĄTA RANO - zaczął uprzejmie Rat. - Czemu nie śpię i dzwonię do ciebie o piątej rano? Dlaczego? Odpowiedz mi, durniu.

- Cześć, Rat - odpowiedział Rick, wyobrażając sobie ze szczegółami, jak dusi Arniego za to, że podał Ratowi numer jego telefonu.

- Jesteś durniem, wiesz? Idiotą pierwszej kategorii, ale to wiedzieliśmy już pięć lat temu, prawda? Jak się masz?

- Doskonale, a ty?

- Świetnie, same sukcesy, już kopię tyłki, a sezon jeszcze się nie zaczął. - Rat Mullins mówił piskliwie, w tempie karabinu maszynowego i rzadko czekał na odpowiedź przed rozpoczęciem kolejnego słownego ataku. Rick musiał się uśmiechnąć. Od lat nie słyszał jego głosu. Sprowadzał przyjemne wspomnienia o jednym z niewielu wierzących w niego trenerów. - Będziemy wygrywać, dziecino, będziemy zdobywać po pięćdziesiąt punktów w meczu, niech inne drużyny zdobywają po czterdzieści, nie obchodzi mnie to, bo nigdy nas nie dogonią. Powiedziałem wczoraj szefowi, że musimy mieć nową tablicę wyników, stara nie wyświetla punktacji tak szybko, jak potrzebujemy ja i mój wielki quarterback Jełop Dockery. Jesteś tam, chłopcze?

- Słucham, Rat. Jak zawsze.

- No to umowa stoi. Szef kupił już bilet do Stanów, pierwsza klasa, dupku, nie wykręć mi numeru, wsiadaj do samolotu z Rzymu o ósmej

rano, bez lądowania do Toronto, potem do Reginy, też pierwszą klasą, Air Canada, tak na marginesie, to wspaniała linia. Kiedy wylądujesz, na lotnisku będzie czekał samochód, jutro wieczorem zjemy razem obiad i wymyślimy nowe schematy podań, o jakich nikt dotąd nie słyszał.

- Nie tak szybko, Rat.

- Wiem, wiem. Potrafisz być bardzo wolny. Dobrze pamiętam, ale...

- Rat, nie mogę teraz odejść z mojej drużyny.

- Drużyny? Powiedziałeś: drużyny? Czytałem o twojej drużynie. Facet w Cleveland, jak on się nazywa, Cray, obrabia ci dupę. Tysiąc kibiców na meczu na własnym boisku. Co to takiego, touch football? ⁸⁷

- Podpisałem kontrakt, Rat.

- A ja mam dla ciebie inny O wiele lepszy, w prawdziwej drużynie, w prawdziwej lidze, z prawdziwymi stadionami, na które przychodzą prawdziwi fani. Telewizja. Lans. Kontrakty na buty. Maszerujące orkiestry i cheerleaderki.

- Jestem tu szczęśliwy, Rat.

Zapadła chwila ciszy, podczas której Rat nabrał powietrza w płuca. Rick zobaczył go, jak w czasie przerwy chodzi gorączkowo po szatni, mówi jak szalony, wymachując rękami, nagle zatrzymuje się, by zrobić potężny wdech przed rozpoczęciem kolejnej tyrady.

Mullins zaczął oktawę niżej, udając głęboko zranionego:

- Słuchaj, Rick, nie rób mi tego. Nadstawiam karku. Po tym, co zdarzyło się w Cleveland, cóż...

- Daruj sobie, Rat.

- Dobra, dobra. Przepraszam. Ale przyjedziesz, żeby się chociaż ze mną zobaczyć? Odwiedź mnie i pogadamy w cztery oczy. Chyba możesz zrobić tyle dla swojego starego trenera? Bez zobowiązań. Bilet kupiony, nie musisz oddawać pieniędzy, proszę, Ricky.

Rick zamknął oczy i potarł czoło.

- Dobrze, trenerze. Ale to tylko wizyta. Bez zobowiązań - powiedział niechętnie.

- Nie jesteś taki głupi, jak myślałem. Kocham cię, Rick. Nie pożałujesz.
- Kto wybrał odlot z Rzymu?
- Jesteś we Włoszech, prawda?
- No tak, ale...
- Kiedy ostatni raz sprawdzałem, Rzym leżał we Włoszech. A teraz znajdź to cholerne lotnisko i przyleć się ze mną spotkać.

PRZED STARTEM strzelił sobie dwie szybkie krwawe mary i udało mu się przespać większą część ośmiogodzinnego lotu do Toronto. Lądowanie gdzieś w Ameryce Północnej budziło w nim niepokój, bez względu na to, jak absurdalne były te obawy. Dla zabicia czasu, czekając na rejs do Reginy, zadzwonił do Arniego i zameldował, gdzie jest. Arnie był bardzo dumny. Później wysłał e-maila do matki, nie podając miejsca pobytu. I następnego do Livvy, z krótkimi pozdrowieniami. Sprawdził „Cleveland Post”, aby upewnić się, że Charley Cray zajął się innymi ofiarami. Znalazł też króciutką wiadomość od Gabrielli: „Rick, strasznie mi przykro, ale spotkanie z tobą nie byłoby rozsądne. Wybacz mi, proszę”.

Przez chwilę gapił się w podłogę i postanowił nie odpowiadać. Zadzwonił do Treya, ale nikt nie odbierał telefonu.

Dwa lata w Toronto były dość przyjemne. To bardzo dawne czasy, a on czuł się wtedy o wiele młodszy. Tuż po college'u, z wielkimi marzeniami o długiej karierze przed nimi. Uważał, że jest niezwykły. Rozwijał się, był żółtodziobem z wszelkimi niezbędnymi cechami świetnego gracza. Potrzebował jedynie trochę podszlifowania tu i ówdzie, i wkrótce mógłby zostać starterem w NFL.

W komunikacie powiedziano coś o Reginie. Podeszedł do monitora i zobaczył, że jego rejs ma opóźnienie. Zapytał przy bramce o przyczynę i dowiedział się, że chodzi o warunki pogodowe.

- W Reginie jest zamieć - wyjaśnił urzędnik.

Znalazł barek kawowy i zamówił dietetyczny napój gazowany. W komputerze sprawdził, co w Reginie. Owszem, padał śnieg i to solidnie. Jeden z tytułów brzmiał „Niecodzienna wiosenna śnieżycą”.

Chcąc jakoś zabić czas, przejrzał w sieci dziennik z Reginy – „Leader Post”. Były informacje o futbolu. Rat robił wiele hałasu, wynajął koordynatora defensywy, najwyraźniej kogoś z małym doświadczeniem. Wyciął tailbacka, co wywołało spekulacje, że gra dołem nie będzie mu w ogóle potrzebna. Sprzedaż biletów na cały sezon przekroczyła dwadzieścia pięć tysięcy, nowy rekord. Dziennikarz, facet, który od trzydziestu lat sam się ciągnie za uszy do maszyny do pisania i udaje mu się napisać sześćset słów cztery razy tygodniowo, bez względu na to, jak denny jest świat sportowy w Saskatchewan czy gdzie indziej, zamieścił wybór plotek „zasłyszanych na ulicy”. Jakiś hokeista powiedział, że nie będzie robił operacji przed końcem sezonu. Drugi rozstał się z żoną, która w podejrzany sposób złamała nos.

Ostatni akapit: Rat Mullins potwierdził, że Roughridersi rozmawiają z Marcusem Moonem, agresywnie biegającym i szybkim quarterbackiem. Moon dwa ostatnie sezony był w Packersach i „chciałby grać codziennie”. Rat Mullins nie chciał też potwierdzić ani zaprzeczyć, że drużyna rozmawia z Rickiem Dockerym, którego „widziano po raz ostatni, jak rzucał cudowny przechwyt, grając w Brownsach z Cleveland”.

Zacytowano, że zagadnięty w sprawie plotek o Dockerym Rat burknął: „Bez komentarza”.

A potem, puszczając oko do czytelników, dziennikarz sportowy podrzucił jeszcze jeden kawałek, zbyt smakowity, by go zignorować. Użycie nawiasu pozwoliło mu się nieco zdystansować od własnej plotki:

(Więcej o Dockerym pod adresem: charleycrayclevelandpost.com).

Bez komentarza? Rat się boi czy wstydzi, żeby to komentować? Rick zadał to pytanie na głos, ściągając na siebie kilka spojrzeń. Powoli zamknął laptopa i ruszył przez halę.

KIEDY DWIE GODZINY PÓŹNIEJ wsiadł do samolotu Air Canada, leciał nie do Reginy, ale do Cleveland. Z lotniska pojechał taksówką do śródmieścia. Redakcja „Cleveland Post” mieściła się w nowoczesnym, nijakim budynku przy State Avenue. Dziwnym zbiegiem okoliczności

znajdowała się cztery przecznice na północ od dzielnicy Parma.

Rick zapłacił taksówkarzowi i poprosił go, żeby czekał na niego przecznice dalej, za rogiem. Przez chwilę stał na chodniku, jakby chciał uświadomić sobie, że naprawdę jest znowu w Cleveland, w stanie Ohio. Mógłby zawrzeć pokój z tym miastem, ale ono było zdecydowane nadal go dręczyć.

Jeżeli nawet zawahał się przed tym, co miał zamiar zrobić, później wcale sobie tego nie przypominał.

We frontowym holu stał posąg z brązu, przedstawiający jakąś nierozpoznawalną postać, opatrzony pretensjonalnym cytatem o prawdzie i wolności. Tuż obok niego znajdowało się stanowisko ochrony. Wszyscy goście mieli obowiązek się wpisać. Rick miał na głowie bejsbolową czapkę Cleveland Indians, kupioną w porcie lotniczym za trzydzieści dwa dolary i kiedy ochroniarz zapytał:

- Słucham pana? - Rick odpowiedział szybko:
- Do Charleya Craya.
- Pańskie nazwisko?
- Roy Grady. Gram dla Indiansów.

Ochroniarzowi bardzo się to spodobało i podsunął mu tekturową okładkę, by złożył autograf. Według strony internetowej Indiansów Roy Grady był najmłodszym członkiem zespołu miotaczy, młodziakiem właśnie ściągniętym z AAA ⁸⁸, który jak dotąd miotał w trzech zmianach, z bardzo mieszanymi rezultatami. Cray powinien znać to nazwisko, ale być może nie skojarzy twarzy.

- Drugie piętro - poinformował ochroniarz, uśmiechając się.

Rick poszedł schodami, ponieważ zamierzał nimi wyjść. Sala redakcji informacyjnej był dokładnie taka, jakiej się spodziewał - Rozległa, duża przestrzeń pełna boksów, stanowisk roboczych i piętrzących się wszędzie stert papierów. Wzdłuż ścian znajdowały się niewielkie pokoje biurowe i Rick ruszył obok nich, spoglądając na nazwiska na drzwiach. Serce mu łomotało i poczuł, że trudno mu udawać nonszalancję.

- Roy! - zawołał ktoś z boku i Rick skręcił w jego kierunku. Facet miał około czterdziestu pięciu lat, łysiał i tylko za uszami rosło mu kilka długich pasemek tłustych, siwych włosów, był nieogolony,

z nadwagą, z tanimi okularami do czytania na czubku nosa. Facet z ciałem, które nigdy nie przyniosło mu monogramu ⁸⁹ na ubraniu sportowym, facet, który nigdy nie zdobył cheerleaderki. Rozmemłana pijawka sportowa, palant, który nie potrafił w nic grać, a teraz zarabiał na życie, krytykując tych, co umieją. Stał w drzwiach swojego małego zagraconego pokoiku, patrzył ze zmarszczonymi brwiami na Roya Grady'ego i najwyraźniej coś podejrzewał.

- Pan Cray? - zapytał Rick z odległości półtora metra, podchodząc szybko.

- Tak - odparł z uśmiechem Cray i nagle oniemiał.

Rick wepchnął go z powrotem do gabinetu i zatrzasnął drzwi. Lewą ręką zerwał czapkę z głowy, prawą złapał Craya za gardło.

- To ja, dupku, twój ulubiony Superbaran. - Oczy Craya rozszerzyły się, okulary spadły na podłogę.

Po długim namyśle Rick postanowił, że uderzy tylko raz. Ostry prawy w głowę, Cray będzie widział, jak nadlatuje, żadnych ciosów poniżej pasa, kopniaków w jaja, o nie, nic w tym rodzaju. Twarzą twarz, oko w oko, bez broni. I, miejmy nadzieję, bez połamanych kości i krwi.

To nie był prosty ani hak, po prostu mocny prawy krzyżowy, który zaczął się wiele miesięcy temu i teraz został zadany zza oceanu. Nie było żadnego oporu, ponieważ Cray był za miękki, za bardzo przerażony i za długo krył się za swoją klawiaturą. Cios wyładował idealnie z lewej strony szczęki z miłym chrupnięciem, które Rick z przyjemnością wspominał w późniejszych tygodniach. Dziennikarz runął jak kłoda, przez chwilę Rick miał ochotę kopnąć go w żebra.

Zastanawiał się, co powiedzieć, ale nic nie pasowało. Groźby nie zostałyby potraktowane poważnie. Rick był głupi, pokazując się w Cleveland, z całą pewnością nie zrobi tego jeszcze raz. Gdyby zwymyślał Craya, tylko by go uszczęśliwił, wszystko, co by powiedział, wkrótce znalazłoby się w druku. Zostawił go więc skulonego na podłodze, jęczącego z przerażeniem, na wpół ogłuszonego ciosem. Nawet przez chwilę nie czuł współczucia dla tej mendi.

Wyszedł po cichu z pokoju, skinął głową paru dziennikarzom, zadziwiająco podobnym do Craya, i wyszedł na schody. Zbiegł do sutereny,

a po kilku minutach błądzenia znalazł drzwi do strefy przeladunkowej. Pięć minut po nokaucie siedział znowu w taksówce.

Do Toronto znowu poleciał Air Canada, a kiedy już wylądował na kanadyjskiej ziemi, napięcie minęło. Mniej więcej trzy godziny później leciał do Rzymu.

WCZESNYM NIEDZIELNYM PRZEDPOŁUDNIEM nad Parmą rozpętała się burza. Deszcz padał gwałtownie, chmury sprawiały wrażenie, jakby zawisły nad miastem na tydzień. Grzmoty w końcu obudziły Ricka i pierwszą rzeczą, jaką ujrzały jego opuchnięte oczy, były czerwone paznokcie u stóp. Nie takie czerwone jak u ostatniej podrywki w Mediolanie ani różowe, pomarańczowe czy brązowe niezliczonych i beziemiennych innych podrywek. O nie. To były starannie wypiełgnowane (nie przez właścicielkę) i pomalowane (Chanel Midnight Red) paznokcie eleganckiej, zmysłowej i zupełnie nagiej panny Livvy Galloway z Savannah w stanie Georgia, przybyłej z domu stowarzyszenia Alpha Chi Omega w Atenach, a później zmierzającej do zatłoczonego mieszkania we Florencji. Teraz znajdowała się w nieco mniej zatłoczonym mieszkaniu w Parmie, na trzecim piętrze starego budynku przy cichej uliczce, daleko od męczących współlokatorek i bardzo daleko od skłóconej rodziny.

Rick zamknął oczy i przyciągnął ją do siebie.

Przyjechała w czwartek późnym wieczorem pociągiem z Florencji. Po uroczym obiedzie poszli do niego na długą sesję w łóżku - pierwszą. Rick z całą pewnością czekał na to, Livvy okazała się równie pełna zapału. Początkowo jego plany na piątek sprowadzały się do pozostania przez cały dzień w łóżku i jego okolicach. Livvy miała jednak całkowicie odmienny pomysł. W pociągu przeczytała książkę o Parmie. Teraz nadszedł czas poznania historii miasta.

Uzbrojeni w aparat fotograficzny i jej notatnik rozpoczęli zwiedzanie śródmieścia, pilnie oglądając wnętrza budynków, które Rick miał, prawie ich nie zauważając. Pierwsza w kolejności była katedra - kiedyś Rick zajrzał z ciekawości do środka - gdzie Livvy wpadła w trans i ciągnęła Ricka za sobą z jednego kąta w drugi. Nie był pewien, o czym dziewczyna myśli, ale od czasu do czasu rzucała pomocne zdania w stylu: „To jeden z najwspanialszych przykładów architektury romańskiej w dolinie Padu”.

- Kiedy ją zbudowali? - zapytał.

- Została konsekrowana w 1106 przez papieża Paschalisa II, a w 1117 zniszczyła ją trzęsienie ziemi. Zaczęli ją budować na nowo w 1130 i, co typowe, prace trwały przez mniej więcej trzysta lat. Wspaniała, prawda?

- Rzeczywiście. - Rick bardzo chciał okazać zainteresowanie, ale z doświadczenia wiedział, że zwiedzanie katedry zwykle nie zajmuje mu wiele czasu. Livvy za to znalazła się w zupełnie innym świecie. Włókł się tuż za nią i wspominając ich pierwszą wspólną noc, zerkał od czasu do czasu na jej zgrabny tyłeczek, planując popołudniowy atak.

W nawie głównej zadarła głowę i oświadczyła:

- Kopuła została ozdobiona freskami przez Correggia w latach dwudziestych XVI wieku. Przedstawiają Wniebowzięcie Marii. Oszałamiające.

Wysoko nad nimi, na sklepieniu, starym Correggio jakoś udało się namalować Marię w otoczeniu aniołów. Livvy patrzyła na fresk tak, jakby emocje zmieniły ją w słup soli. Rick- z bółącym karkiem.

Przeszli wolno przez nawę główną, kryptę, zajrzeli do niezliczonych kaplic, oglądali groby świętych. Po godzinie Rick rozpaczliwie tęsknił za słońcem.

Następne było baptysterium, ładny ośmiokątny budynek nieopodal *duomo*. Tam stali długo w bezruchu przed północnym Portalem Dziewicy. Rzeźby nad zwieńczeniem drzwi przedstawiały sceny z życia Matki Boskiej. Livvy zerknęła do notatek, ale najwyraźniej znała wszystkie szczegóły.

- Byłaś w środku? - rzuciła.

Jeżeli powie prawdę, czyli „nie”, Livvy może uznać go za prostaka. Jeżeli skłamie i odpowie „tak”, nie będzie to miało żadnego znaczenia, ponieważ Livvy i tak miała zamiar zwiedzić tę budowlę. Prawdę mówiąc, przechodził tędy setki razy i wiedział, że to baptysterium. Nie był pewien, do czego tak naprawdę służy, ale mimo wszystko udawał mądrogo.

Mówiła cicho, jakby do siebie i pewnie tak właśnie było.

- Cztery pasy architrawów z czerwonego marmuru z Werony. Budowa rozpoczęta w 1196, forma przejściowa między stylem romańskim a gotykiem.

Zrobiła kilka zdjęć z zewnątrz, a potem wciągnęła go do środka, gdzie oglądali następną kopułę.

- Styl bizantyjski, XIII wiek - objaśniała. - Król Dawid, Ucieczka z Egiptu, Dziesięcioro Przykazań. - Kiwał głową, kark bolał go coraz bardziej.

- Jesteś katolikiem, Rick? - spytała.

- Luteraninem. A ty?

- Właściwie nie wiem. Rodzina należy do jakiegoś kościoła protestanckiego. Ale grzebię się w historii chrześcijaństwa i genezie wczesnego Kościoła. Kocham sztukę.

- Tu jest mnóstwo starych kościołów- powiedział. - Wszystkie katolickie.

- Wiem.

I rzeczywiście wiedziała. Przed lunchem zwiedzili renesansowy kościół San Giovanni Evangelista, który znajdował się w religijnym centrum miasta, a także kościół San Francesco del Prato. Według Livvy był to jeden z najbardziej niezwykłych przykładów franciszkańskiej architektury gotyckiej w Emilii”. Dla Ricka jedynym interesującym szczegółem był fakt, że ten piękny kościół był kiedyś więzieniem.

O pierwszej uparł się, że muszą coś zjeść. Znaleźli stolik w Sorelle Picchi na Strada Farini. Kiedy zapoznawał się z menu, Livvy robiła notatki. Przy *andini*, zdaniem Ricka najlepszych w mieście, oraz butelce wina rozmawiali o Włoszech i miejscach, które zwiedziła. W czasie ośmiu miesięcy we Florencji poznała jedenaście z dwudziestu regionów kraju i często podróżowała w weekendy sama, ponieważ jej współlokatorki były zbyt leniwe, obojętne lub skacowane. Zamierzała być w

każdym regionie, ale nie miała już czasu. Za dwa tygodnie są egzaminy, potem jej długie włoskie wakacje się skończą.

Zamiast pójść się zdrzemnąć, ruszyli do kościołów San Pietro Apostolo i San Rocco, a następnie spacerowali po Parco Ducale. Robiła zdjęcia i notatki, chłonęła historię i sztukę, a Rick dzielnie dreptał obok niej, przysypiając w marszu. Wreszcie runął na nagrzaną słońcem trawę i leżał z głową opartą na jej kolanach. Livvy studiowała plan miasta. Kiedy się obudził, udało mu się ją w końcu namówić na powrót do mieszkania i prawdziwą drzemkę.

Po piątkowym wieczornym treningu Livvy stała się gwiazdą klubu. Ich quarterback znalazł uroczą amerykańską dziewczynę, na dodatek była cheerleaderką, i włoscy chłopcy bardzo chcieli jej zaimponować. Śpiewali sprośne piosenki i osuszali dzbany piwa.

Historia szaleńczego wypadu Ricka do Cleveland po to, by przyłożyć Charleyowi Crayowi, stała się już legendą. Przedstawiona przez Sama wersja, którą mimowolnie podtrzymał sam Rick, odmawiając rozmów o tym wydarzeniu, mniej więcej zgadzała się z faktami. Oczywiście nie było w niej mowy o tym, że Rick wyjechał z Parmy, żeby omawiać inny kontrakt, taki, który zmusiłby go do porzucenia Panter w środku sezonu, ale nikt we Włoszech o tym nie wiedział i nie miał się dowiedzieć.

Podły Charley Cray przyjechał do nich, do Włoch, żeby pisać paskudne rzeczy o ich drużynie i quarterbacku. Obraził ich, a Rick go wytropił, najwyraźniej nie licząc się z kosztami, dał mu w mordę i wrócił do Parmy, gdzie był bezpieczny. Bezpieczny jak cholera. Każdy, kto by tu przyjechał, żeby skrzywdzić Ricka na ich własnym podwórku, pożałuje tego.

Fakt, że Rick stał się zbiegiem, wprowadzał element brawury i romantyczności, jakiemu Włosi nie byli w stanie się oprzeć. W kraju, gdzie prawa są lekceważone, a ci, którzy je lekceważą, wysławiani są pod niebiosa, pościg policyjny stawał się głównym tematem rozmów Panter. W zatłoczonej sali opowiadali sobie tę historię, często uzupełniając ją własnymi szczegółami.

W rzeczywistości Ricka nikt nie ścigał. Wydano nakaz aresztowania za wykroczenie - pospolitą napaść - i według jego nowego prawnika w

Cleveland nikt go nie chciał gonić z kajdankami. Władze wiedziały, gdzie jest, i jeżeli kiedykolwiek zjawi się w Cleveland, trafi do sądu.

Ale zdaniem Panter Rick uciekał i ich obowiązkiem było go chronić - na boisku i poza nim.

SOBOTA OKAZAŁA SIĘ RÓWNIIE BOGATA POZNAWCZO JAK PIĄTEK. Livvy oprowadziła go po Teatro Regio, a on był bardzo dumny, że już go przedtem widział, potem zabrała do Muzeum Diecezjalnego, kościoła San Marcellino i kaplicy San Tommaso Apostolo. Na lunch zjedli pizzę na terenie Palazzo della Pilotta.

- Nie wejść już do żadnego kościoła - oznajmił pokonany Rick. Leżał wyciągnięty na trawie i rozkoszował się słońcem.

- Chciałabym zobaczyć Galerię Narodową - powiedziała, zwijając się w kłębek obok niego i odsłaniając kilometry opalonych nóg.

- A co tam jest?

- Mnóstwo obrazów z całych Włoch.

- Nie.

- Tak. A potem muzeum archeologiczne.

- A dalej?

- Później będę już zmęczona. Pójdziemy do łóżka, zdrzemniemy się i pomyślimy o obiedzie.

- Jutro mam mecz. Usiłujesz mnie zamordować?

- Tak.

PO DWÓCH DNIACH SUMIENNEJ TURYSTYKI Rick marzył o futbolu, obojętnie czy pada deszcz, czy nie. Nie mógł doczekać się chwili, kiedy przejedzie obok starych kościołów, pójdzie na boisko, ubłoci się i może nawet komuś przyłoży.

- Przecież leje. - Livvy zagruchała pieszczotliwie spod koca.

- Trudno, cheerleaderko. Przedstawienie musi trwać.

Przekreśliła się na bok i położyła mu nogę na brzuchu.

- Nie - oświadczył stanowczo. - Nie przed meczem. I tak mam miękkie kolana.

- A ja myślałam, że jesteś ogierem quarterbackiem.

- W tej chwili tylko quarterbackiem.

Cofnęła nogę i opuściła ją z łóżka.

- A z kim dzisiaj grają Pantery? - zapytała, wstając, obracając się i kusząc.

- Z Gladiatorami z Rzymu.

- Co za nazwa. Jak grają?

- Są całkiem niezli. Musimy iść.

Posadził ją pod daszkiem po stronie gospodarzy. Godzinę przed meczem była jednym z niespełna dziesięciu kibiców. Ubrana w pelerynę bez rękawów siedziała pod parasolem i była mniej więcej zabezpieczona przed zacinającym deszczem. Nawet zrobiło mu się jej żal. Dwadzieścia minut później znalazł się na boisku w pełnym ekwipunku, rozciągał się, przekomarzał z kolegami i spoglądał na Livvy. Znowu był w college'u albo może w liceum, palił się do gry z samej miłości do niej, dla chwały z wygranej, ale także dla bardzo fajnej dziewczyny na trybunie.

Mecz przypominał raczej zapasy w błocie. Deszcz nie przestawał padać ani przez chwilę. W pierwszej połowie Franco dwa razy zgubił śliską piłkę i tyle samo razy wysliznęła się z rąk Fabrizia. Gladiatory również ugrzęźli. Na minutę przed końcem pierwszej połowy Rick wyskoczył z kieszeni i przebiegł trzydzieści jardów, by zdobyć pierwsze punkty w meczu. Fabrizio upuścił piłkę przy snapie i wynik do przerwy brzmiał: sześć do zera. Sam, który od dwóch tygodni nie miał okazji wściekać się i wydzierać, rozładował się w szatni i wszyscy poczuli się lepiej.

W czwartej kwarcie na całym boisku stały wielkie kałuże wody i mecz przekształcił się w ostrą walkę na linii wznowienia. W sytuacji druga i dwa jardy do zdobycia Rick zamarkował oddanie piłki do Franca, później do trzeciego tailbacka i rzucił miękkie długie podanie do Fabrizia, wybiegającego w głąb boiska na wolne pole. Fabrizio miał kłopoty z opanowaniem piłki, złapał ją jednak i przebiegł dwadzieścia jardów bez kontaktu z przeciwnikiem. Prowadząc dwoma przyłożeniami, Sam zaczął blitzować w każdej zagrywce i Gladiatory do końca meczu nie byli w stanie zdobyć nawet jednej pierwszej próby.

Przez całe zawody uzbierali ledwie pięć pierwszych prób.

W NIEDZIELĘ W NOCY Rick pożegnał się z Livvy na dworcu i patrzył na odjeżdżający Eurostar ze smutkiem, ale i z ulgą. Nie uświadamiał sobie dotąd, jak bardzo jest samotny. Był właściwie pewien, że bardzo brakuje mu towarzystwa kobiet, ale Livvy sprawiła, że poczuł się znowu jak studenciak. A jednocześnie nie było z nią tak prosto i łatwo. Wymagała, by poświęcał jej uwagę, i cechowała ją wyraźna nadaktywność. Potrzebował trochę odpoczynku.

Wieczorem w niedzielę dostał e-mail od matki:

„Drogi Ricky: Twój ojciec postanowił ostatecznie, że nie pojedzie do Włoch. Jest dość zły na ciebie za ten wycieczkę w Cleveland - już po meczu było trudno, a teraz dziennikarze wciąż wydzwanają, dopytując o napaść i pobicie. Nie cierpię tych ludzi. Zaczynam rozumieć, dlaczego uderzyłeś tego biedaka w Cleveland. Ale mogłeś chociaż zobaczyć się z nami na chwilę, skoro tu byłeś. Nie widzieliśmy cię od Bożego Narodzenia. Mogłabym przyjechać sama, ale boję się, że wrócą moje dolegliwości okrężnicy. Lepiej, jeśli zostanę w domu. Proszę, obiecaj mi, że przyjedziesz do nas za miesiąc lub dwa. Czy naprawdę chcesz cię aresztować? Całuję. Mama”.

Traktowała swoją dolegliwość jak aktywny wulkan - jeżeli oczekiwano od niej, by zrobiła coś, na co nie miała ochoty, choroba okrężnicy zawsze groziła erupcją. Pięć lat temu razem z Randallem popełnili błąd, jadąc do Hiszpanii z grupą emerytów. Do tej pory kłócili się o koszty, podróż samolotem, gburowatość Europejczyków, szokującą głupotę ludzi, którzy nie znają angielskiego.

W gruncie rzeczy Rick nie chciał, by przyjeżdżali.

Odpowiedział matce e-mailem:

„Droga Mamo: tak mi przykro, że nie możecie przyjechać, ale pogoda jest tu koszmarna. Nikt nie ma zamiaru mnie aresztować. Mam prawników, którzy nad tym pracują - to było tylko nieporozumienie. Powiedz Tacie, żeby wyluzował - wszystko będzie w porządku. Żyje mi się tu dobrze, ale oczywiście tęsknię za domem. Całuję, Rick”.

Przyszedł też e-mail od Arniego:

„Drogi Dupku.

Prawnik w Cleveland opracował ugodę, na mocy której przyznasz się do winy, zapłacisz grzywnę, dostaniesz po łapach. Ale jeżeli się

przyznasz, Cray może to wykorzystać przy powództwie cywilnym. Twierdzi, że ma złamaną szczękę, i dużo krzyczy o pozwie. Jestem pewien, że całe Cleveland zachęca go do tego. Czy miałbyś ochotę stanąć przed sądem w Cleveland? Myślę, że za tę napaść dostałbyś karę śmierci. A w powództwie cywilnym przyznaliby Crayowi miliard dolarów odszkodowania. Pracuję nad tym, sam nie wiem dlaczego.

Rat skłął mnie wczoraj po raz ostatni. Mam nadzieję. Tiffany urodziła wcześniaka i dziecko okazało się Mulatem. Chyba masz to z głowy.

Jako twój agent obecnie tracę pieniądze. Pomyślałem sobie, że powinienem o tym wiedzieć”.

E-mail do Arniego:

„Kocham Cię, Stary. Jesteś najwspanialszy, Arn. Staraj się nadal trzymać sępy z daleka. Potężne Pantery wybiegły wczoraj i wśród pożogi dokopały Gladiatorom z Rzymu. Twój szczerze oddany był wspomniały.

Jeżeli Cray ma złamaną szczękę, cieszy mnie to. Powiedz mu, niech mnie pozwie, a ja ogłoszę bankructwo - we Włoszech! Niech jego prawnicy się nad tym pomęczą.

Jedzenie i kobiety nadal są zdumiewające. Bardzo Ci dziękuję, że tak zręcznie skierowałeś mnie do Parmy. RD”.

E-mail do Gabrielli:

„Dzięki za miłego e-maila sprzed kilku dni. Nie przejmuj się tym epizodem we Florencji. Dało mi kosza wiele kobiet lepszych niż Ty. Bez obaw, nie będę próbował się z tobą skontaktować”.

MALOWNICZE MIASTO BOLZANO leży w górzystej, północno-wschodniej części kraju w Trentino-Górnej Adydze. Region ten należy do Włoch stosunkowo od niedawna, od czasu kiedy w 1919 roku został odebrany Austrii i oddany Włochom w nagrodę za udział w wojnie z Niemcami. Górna Adyga miała skomplikowaną historię. Granice były zmieniane przez każdego, kto przypadkiem dysponował silniejszą armią. Wielu tutejszych mieszkańców twierdzi, że są germańskiego pochodzenia, i rzeczywiście wyglądają na Niemców. Dla większości niemiecki jest też pierwszym językiem, włoski urzędowym i często używają go niechętnie. Pozostali Włosi mówią półgębkiem: „To nie są prawdziwi Włosi”. Wszelkie wysiłki, by ludność zitalianizować, zgermanizować czy uczynić jednorodną etnicznie, zawiodły całkowicie, ale w miarę upływu czasu zapanował rozejm i żyje się tu nieźle. Można uznać, że kwitnie tu po prostu kultura alpejska. Ludzie są konserwatywni, gościnni, zamożni i kochają swoją ziemię.

Krajobraz jest wręcz oszalamiający - poszarpane górskie szczyty, winnice i gaje oliwne nad jeziorami, doliny pełne sadów jabłoni i tysiące kilometrów kwadratowych rezerwatów leśnych.

Rick dowiedział się tego wszystkiego ze swojego przewodnika. Ale Livvy dołożyła dużo więcej szczegółów. Nie była tu dotąd, choć wcześniej zamierzała odwiedzić ten region. Przeszkodziły egzaminy, a także to, że z Florencji do Bolzano jechało się co najmniej sześć godzin. Przesłała mu więc wyniki swoich badań krajoznawczych w serii długich

e-maili. Rick przez cały tydzień przeglądał je w miarę, jak przychodziły, a potem zostawił wydruki na stole kuchennym. O wiele bardziej przejmował się futbolem niż tym, w jaki sposób Mussolini zniszczył tę krainę w okresie międzywojennym.

A futbol dawał wiele powodów do troski. Giganci z Bolzano przegrali tylko raz, z Bergamo, i tylko dwoma punktami. Razem z Samem dwukrotnie oglądali film z tego meczu i zgodnie uznali, że Bolzano powinno wygrać. Wszystko załatwił zły snap przy próbie łatwego kopnięcia z pola ⁹⁰.

Bergamo. Bergamo. Wciąż niezwykione, z pasmem zwycięstw w sześćdziesięciu sześciu meczach. Wszystko, co robiły Pantery, miało jakiś związek z Bergamo. Na ich plan meczu z Bolzano miała wpływ perspektywa następnego - z Bergamo.

Podróż autobusem trwała trzy godziny i w połowie drogi krajobraz zaczął się zmieniać. Na północy pojawiły się Alpy. Rick i Sam siedzieli z przodu i kiedy nie drzemali, rozmawiali o turystyce - wędrownkach po Dolomitach, narciarstwie, biwakowaniu nad jeziorami. Sam i Anna nie mieli dzieci i każdej jesieni spędzali parę tygodni, zwiedzając północne Włochy i południową Austrię.

GRAĆ PRZECIWKO GIGANTOM.

Jeżeli Rick Dockery w czasie swojej krótkiej, smutnej przygody w NFL dobrze zapamiętał jakiś mecz, to właśnie z Giantsami, w mglisty niedzielny wieczór na stadionie Meadowlands w obecności osiemdziesięciu tysięcy hałaśliwych kibiców. Mecz transmitowała ogólnokrajowa telewizja. Rick grał dla Seahawksów z Seattle, występując w swojej typowej roli rozgrywającego numer trzy. Numer jeden został znokautowany w pierwszej połowie, numer dwa, jeżeli nie gubił piłki, rzucał przechwyty. Kiedy pod koniec trzeciej kwarty Seahawksi przegrywali dwudziestoma punktami, wkurzyli się i wysłali na boisko Dockery'ego. Wykonał siedem podań, wszystkie do zawodników ze swojej drużyny, zdobywając w sumie dziewięćdziesiąt pięć jardów. Dwa tygodnie później nie przedłużono mu kontraktu.

Wciąż słyszał ogłuszający ryk na stadionie Giantsów.

Stadion Giantsów w Bolzano był o wiele mniejszy i cichszy, ale jednocześnie dużo ładniejszy. W tle było widać Alpy. Kiedy w obecności dwóch tysięcy kibiców obie drużyny ustawiły się do kickoffu, były transparenty, maskotka, śpiewy i pochodnie.

Drugie zagranie ofensywy rozpoczęło koszmar. Jego twórcą był Quincy Shoal, wysoki tailback, który kiedyś grał w Indianie. Po zwyczajowych okresach gry w Kanadzie i w hali Quincy przyjechał przed dziesięcioma laty do Włoch i znalazł tu sobie dom. Miał żonę Włoszkę, włoskie dzieci i niemal wszystkie włoskie futbolowe rekordy biegu.

Quincy przebiegł siedemdziesiąt osiem jardów i zdobył przyłożenie. Jeżeli ktoś go dotknął, film z meczu tego nie zarejestrował. Tłum oszalał - jeszcze więcej pochodni i nawet świeca dymna. Rick usiłował wyobrazić sobie świece dymne na Meadowlands ⁹¹.

Ponieważ Bergamo było następne, a Sam wiedział, że gracze obserwują mecz, wspólnie z Rickiem postanowili grać dużo dołem i nie podawać do Fabrizia. Była to ryzykowna taktyka i Sam uwielbiał taki styl gry. Obaj byli pewni, że ofensywa mogłaby podawać jak tylko zechce, ale woleli zachować coś na Bergamo.

Franco zazwyczaj gubił piłkę przy pierwszym handoffie, Rick wybrał bieg na zewnątrz Giancarla, młodego tailbacka, który zaczął sezon w trzecim składzie, ale z każdym tygodniem grał coraz lepiej. Rick lubił go przede wszystkim dlatego, że miał słabość do trzeciego składu. Giancarlo biegał w niepowtarzalnym stylu. Był niski, ważył jakieś siedemdziesiąt dziewięć kilogramów, nie miał solidnego umięśnienia i naprawdę nie lubił, gdy go uderzano. Jako nastolatek pływał i nurkował, biegał szybko i lekko. Kiedy czekał go nieunikniony kontakt, Giancarlo zwykle wyskakiwał do góry i do przodu, zdobywając przy każdym skoku dodatkowe jardy. Akcje w jego wykonaniu stawały się widowiskowe zwłaszcza dzięki biegom na zewnątrz, które pozwalały mu nabrać rozpędu przed przeskoczeniem nad obrońcami.

Sam często go ostrzegał, jak każdego młodego biegacza w siódmej klasie. „Nie odrywaj stóp! Opuść głowę, chroń piłkę i za wszelką cenę chroń kolana, ale nigdy nie odrywaj stóp!” W college'ach tysiące karier zawodniczych zakończyło się nagle po widowiskowych skokach nad

walczącymi zawodnikami. Setki zawodowych running backów zostało kalekami do końca życia.

Giancarlo nie miał ochoty korzystać z tej mądrości. Uwielbiał szybować w powietrzu i nie bał się twardego lądowania. Biegł osiem jardów w prawo, a potem przefruwał trzy dodatkowe. Dwanaście w lewo, w tym cztery z tradycyjnego padu. Rick przebiegł piętnaście, a w następnym zagranium oddał piłkę Francowi.

- Nie zgub jej! - warknął, chwytając Franca za maskę, gdy kończyli zbiórkę. Nabuzowany, z szałem w oczach Franco zrewanżował się tym samym i powiedział coś paskudnego po włosku. Kto łapie quarterbacka za maskę?

Nie zgubił, ale zamiast tego przebiegł ciężko dziesięć jardów, zanim połowa obrony wdeptała go w ziemię na czterdziestym jardzie Gigantów. Sześć zagrań później Giancarlo poszybował w pole punktowe. Remis.

Quincy potrzebował zaledwie czterech prób, by ponownie zdobyć punkty.

- Niech biega - powiedział Rick Samowi na linii bocznej. - Ma trzydzieści cztery lata.

- Wiem, ile ma - burknął Sam. - Ale bardzo bym chciał nie pozwolić mu wybiegać pięciuset jardów w pierwszej połowie.

Defensywa Bolzano była przygotowana na grę górą, uporczywa gra dołem ją zdezorientowała. Fabrizio nie dotknął piłki prawie do końca pierwszej połowy. W drugiej próbie, gdy pozostawało zaledwie sześć jardów do pola punktowego rywali, Rick zamarkował oddanie piłki do Franca, odwinął w prawo i podał do swojego receivera, umożliwiając mu łatwe zdobycie punktów. Świetny, wyrównany mecz. W każdej kwarcie drużyny miały po dwa przyłożenia. Hałaśliwy tłum bawił się na całego.

W CZASIE PRZERWY pierwszych pięć minut w szatni jest niebezpieczne. Zawodnicy są zgrzani, spoceni, niektórzy krwawią. Ciskają kaskami, klną, krytykują, wrzeszczą, zagrzewają się nawzajem, by wysilić się jeszcze bardziej i zrobić to, co nie zostało zrobione. W miarę jak adrenalina opada, odprężają się. Piją wodę. Czasami zdejmują ochraniacze z barków. Rozmasowują stłuczenia.

We Włoszech było dokładnie tak samo jak w Iowa. Rick nigdy nie poddawał się emocjom. Wolał trzymać się na uboczu, pozwalając narwańcom nakręcać drużynę. Remisowali z Bolzano i wcale go to nie martwiło. Quincy'emu Shoalowi język już wisiał na brodzie, a Rick i Fabrizio dopiero mieli zacząć przedstawienie.

Sam wiedział, kiedy wejść. Po pięciu minutach zjawił się w szatni i zapanował nad wrzaskiem. Quincy połknął haczyk - wybiegał sto sześćdziesiąt jardów i zdobył cztery przyłożenia.

- Cóż za wspaniała strategia! - grzmiał Sam. - Niech biega, aż padnie! Nigdy o czymś takim nie słyszałem! Chłopaki, jesteście wspaniali! - I tak dalej.

Rick podziwiał sposób, w jaki Sam strofował zawodników. Opieprzało go już wielu speców i chociaż Sam zwykle zostawiał Ricka w spokoju, kiedy zabierał się do innych, okazywał prawdziwy talent. A fakt, że mógł to robić w dwóch językach, po prostu powalał.

ALE SZALEŃSTWO W SZATNI NIEWIELE DAŁO. Quincy po dwudziestominutowym odpoczynku i szybkim masażu zaczął tam, gdzie skończył. Giganci zdobyli przyłożenie numer pięć po pierwszej serii zagrań ofensywnych w drugiej połowie, a kilka minut później, po pięćdziesięciostojardowym galopie, przyłożenie numer sześć.

Był to heroiczny wysiłek, ale niewystarczający. Nie wiadomo, czy przyczyną były trzydzieści cztery lata, za dużo makaronu, czy po prostu nadmierny wysiłek, ale Quincy był wykończony. Pozostał w grze aż do końca, zbyt zmęczony, by ocalić drużynę. W czwartej kwarcie obrona Panter wyczuli, że już po nim, i się ożywiła. Kiedy Pietro wbił go w ziemię w trzeciej próbie, właściwie było po meczu.

Z Frankiem taranującym na środku boiska i Giancarlem skaczącym przy obrońcach jak królik Pantery wyrównały dziesięć minut przed końcem. Minutę później znowu zdobyły punkty, gdy Duńczyk Karl przejął zgubioną piłkę i przykuśtykał trzydzieści jardów, by zaliczyć zapewne najbrzydsze przyłożenie w historii włoskiego futbolu. W ostatnich dziesięciu jardach biegu miał na plecach pasażerów - dwóch maleńkich Gigantów.

Gdy na zegarze pozostały jeszcze trzy minuty, Rick i Fabrizio zdobyli kolejny touchdown - na dokładkę. Wynik końcowy: pięćdziesiąt sześć do czterdziestu jeden.

PO MECZU NASTRÓJ W SZATNI BYŁ ZUPEŁNIE INNY. Ściskali się, wiwatowali, a paru sprawiało wrażenie, że chce się rozpłakać. Drużyna, która zaledwie kilka tygodni wcześniej wydawała się ospała i apatyczna, teraz znalazła się u progu wielkiego sezonu. Potężne Bergamo było następne, ale to Lwy musiały przyjechać do Parmy.

Sam pogratulował zawodnikom i dał im dokładnie godzinę na radość ze zwycięstwa.

- Potem dziób na kłódkę i zaczynajcie myśleć o Bergamo - oznajmił.
- Sześćdziesiąt siedem zwycięstw z rzędu, ośmiokrotnie zdobyty Super Bowl. Drużyna niepokonana od dziesięciu lat.

Rick siedział w kącie na podłodze oparty plecami o ścianę, bawił się sznurowadłami i słuchał, jak Sam nawija po włosku. Chociaż nie rozumiał trenera, dokładnie wiedział, o czym mówi. Bergamo to, Bergamo tamto. Koledzy z drużyny chłonęli każde słowo. Już wzbierało w nich niecierpliwe oczekiwanie. Leciutka fala energii dotarła też do Ricka i zmusiła go do uśmiechu.

Nie był już wynajętym rewolwerowcem, oszustem sprowadzonym z Dzikiego Zachodu, by poprowadził ofensywę i wygrywał mecze. Już nie marzył o NFL, sławie i bogactwie. Te marzenia miał za sobą, szybko blakły. Był kim był, Panterą, i kiedy rozglądał się po zatłoczonej, cuchnącej potem szatni, czuł się szczęśliwy.

W PONIEDZIAŁKOWY WIECZÓR podczas oglądania filmu wypito o wiele mniej piwa. Mniej było dowcipów, wyzwisk, śmiechu. Co nie oznacza, że nastrój był ponury, wciąż cieszyli się ze swojego wczorajszego zwycięstwa na wyjeździe, ale nic nie przypominało typowej poniedziałkowej sesji wideo. Sam pokazał wybrane fragmenty z Bolzano, a potem przeszedł do zmontowanych fragmentów meczów drużyny Bergamo, nad którymi przez cały dzień pracował z Rickiem.

Dla obu było oczywiste - Bergamo miało dobrego trenera, było porządnie dofinansowane, świetnie zorganizowane i na niektórych pozycjach, choć nie na wszystkich, miało graczy bardziej utalentowanych niż w pozostałych drużynach ligi. Miało też Amerykanów - wolnego rozgrywającego z San Diego State, strong safety, który mocno uderzał i pewnie będzie chciał skasować Fabrizia na samym początku meczu, a także cornerbacka, który mógł zastopować grę biegową na zewnątrz, ale podobno naciągnął mięsień dwugłowy uda. Bergamo było jedyną drużyną w lidze, z dwoma z trzech Amerykanów grającymi w defensywie. Ale ich najważniejszy gracz nie był Amerykaninem. Na pozycji środkowego linebackera grał Włoch Maschi, ekstrawagancki, długowłosy showman w białych butach, o ekstrawertycznym sposobie bycia skopiowanym z NFL, gdzie jego zdaniem powinien grać. Szybki i mocny, świetnie czuł grę, uwielbiał się bić, im później, tym lepiej, i w każdym zbiorowym starciu zazwyczaj znajdował się na samym dnie.

Ważył sto kilo i był wystarczająco wielki, aby wprowadzać zamęt wśród włoskich przeciwników. Mógłby grać w większości szkół pierwszej dywizji w Stanach, nosił na koszulce numer 56 i upierał się, by nazywano go L.T. na cześć jego idola, Lawrence'a Taylora ⁹².

Bergamo było mocne w obronie, ale nie najlepiej radziło sobie z piłką. W meczach z Bolonią i Bolzano - z tymi krwiożerczymi bestiami - przegrywali do czwartej kwarty i równie dobrze mogli przegrać obie rozgrywki. Rick uważał, że Pantery są lepszą drużyną, ale Sam przegrywał z Bergamo tyle razy, że nie chciał okazywać pewności siebie, w każdym razie w prywatnych rozmowach. Seria ośmiu zwycięstw w Super Bowl zapewniła Bergamo opinię niezwycięzonych, co było warte przynajmniej dziesięć dodatkowych punktów w każdym meczu.

Sam znów puścił nagranie i uparcie zwracał uwagę na słabości obrony przeciwników. Ich tailback był szybki, ale niechętnie opuszczał głowę i wchodził w kontakt z przeciwnikami. Dopóki nie musieli, rzadko grali górą - zawsze w trzeciej próbie, przede wszystkim dlatego, że nie mieli dobrego skrzydłowego. Linia ofensywy była duża i zasadniczo mocna - dobrze wyszkolona, ale często zbyt wolna, by zatrzymać szarżę na rozgrywającego.

Kiedy Sam skończył, głos zabrał Franco i we wspaniałym, prawniczym stylu wygłosił emocjonalny, porywający apel o tydzień ciężkiej pracy i poświęceń, taki, który doprowadzi ich do zwycięstwa. Na zakończenie zaproponował, by do soboty trenować co wieczór. Wniosek przyjęto jednogłośnie. Nino, nie chcąc być gorszy, zaczął od oświadczenia, że uznając powagę chwili, postanowił nie palić do zakończenia meczu, czyli do momentu, aż spuszczą łomot Bergamo. Oświadczenie przyjęto gorąco, najwyraźniej Nino poświęcał się tak już wcześniej, a Nino na głodzie nikotynowym byłby na boisku przerażającą siłą. Zapowiedział też, że w niedzielę wieczorem postawi drużynie obiad w Café Montana. Carlo już pracuje nad menu.

Zawodnicy Panter żyli w niecierpliwym oczekiwaniu. Rick przypomniał sobie mecz przeciw Davenport Central, najważniejszy w całym roku dla Davenport South. Od poniedziałku szkoła przez cały tydzień zajmowała się planowaniem, a w mieście mówiono prawie wyłącznie

o tym. W piątek po południu zawodnicy byli tak zdenerwowani, że mieli mdłości i wymiotowali na wiele godzin przed meczem.

Rick wątpił, czy którykolwiek z zawodników Panter dałby się zjeść nerwom, ale taka możliwość z całą pewnością istniała.

Wyszli z szatni z powagą i determinacją. To był ich tydzień. Ich rok.

LIVVY PRZYJECHAŁA W CZWARTEK PO POŁUDNIU z pompą i zaskakującą ilością bagażu. Rick był na boisku z Fabriziem i Claudiem, niezmordowanie pracując nad precyzyjnymi ścieżkami oraz sposobami zmiany zagrywki, a w czasie przerwy sprawdził komórkę. Była już w pociągu.

Kiedy jechali z dworca do jego mieszkania, dowiedział się że: (1) zdała egzaminy, (2) ma powyżej uszu współlokatorek, (3) poważnie myśli o tym, by nie wracać do Florencji na ostatnich dziesięć dni jej zagranicznego semestru, (4) czuje odrazę do swojej rodziny, (5) nie rozmawia z nikim z rodziny, nawet z siostrą, z którą wojowała od przedszkola, a która obecnie zbyt zaangażowała się w sprawę rozwodu rodziców, (6) potrzebuje miejsca, by pomieszkać przez kilka dni, stąd te bagaże, (7) martwi się sprawą wizy, ponieważ chce pozostać we Włoszech na jakiś nieokreślony czas i (8) jest naprawdę gotowa walnąć się do łóżka. Nie jęczała i nie szukała jego współczucia, w gruncie rzeczy przedstawiła listę problemów z chłodną bezstronnością, co Rick uznał za godne podziwu. Potrzebowała kogoś i uciekła do niego.

Wtaszczył ciężkie torby na trzecie piętro z łatwością i energią. Szczęśliwy. Mieszkanie było zbyt ciche, niemal bez życia i Rick zorientował się, że więcej czasu spędza poza nim, spacerując po ulicach Parmy, pijąc kawę lub piwo w ulicznych ogródkach, oglądając sklepy masarzy i winiarzy, nawet zwiedzając pobieżnie stare kościoły. Robił wszystko, by trzymać się z dala od otępiającej nudy pustego mieszkania. I zawsze był sam. Sły i Trey opuścili go i rzadko odpowiadali na jego e-maile. Sam przez większość czasu był zajęty, a poza tym miał żonę i prowadził zupełnie inne życie. Z Frankiem, jego ulubionym kumplem z drużyny, dobrze było zjeść od czasu do czasu lunch, ale

miał absorbującą pracę. Wszyscy zawodnicy Panter pracowali - musieli. Nie mogli sobie pozwolić na to, by spać do południa, spędzać kilka godzin w siłowni, a potem włączyć się po Parmie, nic nie zarabiając.

Rick nie był przygotowany do wspólnego życia pod jednym dachem. Wymagało to zaangażowania, które z trudem mógł sobie wyobrazić. Nigdy nie mieszkał z kobietą, prawdę mówiąc, nie mieszkał z nikim od czasów Toronto i nigdy nie myślał o czymś nieustannym towarzystwie.

Kiedy rozpakowywała rzeczy, po raz pierwszy przyszło mu do głowy pytanie, na jak długo ma zamiar się zatrzymać.

Odłożyli miłość na czas po treningu. Miała to być lekka rozgrzewka, bez ekwipunku, ale mimo wszystko wołał, by nogi były mu całkowicie posłuszne.

Livvy siedziała na trybunie i czytała książkę, gdy chłopcy zajmowali się ćwiczeniami i planami. Była też garstka rozproszonych wokół boiska żon i przyjaciółek, a nawet kilkoro małych dzieci, biegających w dół i w górę po stopniach trybuny głównej.

O dwudziestej drugiej trzydzięści zjawił się pracownik magistratu i podszedł do Sama. Miał wyłączyć światła.

ZAMKI CZEKAŁY NA NICH. Rick po raz pierwszy usłyszał to około ósmej rano, ale udało mu się przewrócić na drugi bok i zasnąć znowu. Livvy naciągnęła džinsy i wyszła po kawę. Wróciła po pół godzinie z dwoma kubkami kupionymi na wynos i ponownie oświadczyła, że zamki czekają i że chce zacząć od tego w Fontanellato.

- Jest bardzo wcześnie - zaprotestował Rick. Wypił łyk, siedząc na łóżku i próbując jakoś dojść do siebie o tak przedziwnej porze.

- Byłeś w Fontanellato? - zapytała, ściągając džinsy. Wzięła przewodnik z notatkami i wróciła na swoją stronę łóżka.

- Nawet o nim nie słyszałem.

- Czy odkąd przyjechałeś, w ogóle wyjeżdżałeś z Parmy?

- Jasne. Mieliśmy mecz w Mediolanie, drugi w Rzymie, trzeci w Bolzano...

- Nie, Rick, mówię o jeźdzeniu małym fiatem koloru miedzi i zwiedzaniu okolicy.

- Nie, po co...
- Czy w ogóle nie interesował cię twój nowy dom?
- Nauczyłem się nie przywiązywać do nowych domów. Wszystkie są tymczasowe.
- Fajnie. Posłuchaj, nie zamierzam siedzieć w mieszkaniu cały dzień, uprawiać seksu co godzinę i myśleć tylko o lunchu i kolacji.
- Dlaczego nie?
- Chcę pojechać na wycieczkę. Albo ty poprowadzisz, albo złapię autobus. Tu jest aż za dużo do oglądania. Nawet jeszcze nie skończyliśmy z Parmą.

Wyjechali pół godziny później i ruszyli na północny wschód w poszukiwaniu Fontanellato, XV-wiecznego zamku, który Livvy koniecznie musiała obejrzeć. Dzień był ciepły i słoneczny, opuścili szyby w samochodzie. Livvy była ubrana w krótką dżinsową spódniczkę i bawełnianą bluzkę, wiatr wdzięcznie owiewał ją całą, przyciągając uwagę Ricka. Dotykał jej nóg, a ona odpychała go jedną ręką, czytając trzymany w drugiej przewodnik.

- Robią tu dwanaście tysięcy ton parmezanu rocznie - oznajmiła, spoglądając na krajobraz za oknem. - Właśnie tutaj, na tych fermach.
- To i tak niewiele. Tutaj dodają go nawet do kawy.
- Pięćset mleczarni, wszystkie w ściśle określonym rejonie wokół Parmy. To regulacja prawna.
- Robią z tego lody.
- I dziesięć milionów szynek parmeńskich rocznie. Trudno uwierzyć.
- Wcale nie, jeśli się tu mieszka. Stawiają ci to na stole, zanim zdążysz usiąść. Dlaczego rozmawiamy o jedzeniu? Tak się spieszyłaś, że nie zjedliśmy śniadania.

Odłożyła książkę.

- Umieram z głodu - stwierdziła.
- Co powiesz na trochę sera i szynki?

Jechali wąską pustawą drogą i wkrótce dotarli do wioski Baganzola, gdzie znaleźli bar z kawą i croissantami. Bardzo chciała doskonalić swój włoski i chociaż według Ricka mówiła biegle, signora przy kasie z trudem ją zrozumiała.

- Dialekt - wyjaśniła Livvy, gdy wracali do samochodu.

Rocca, twierdza w Fontanellato, została zbudowana przed około pięcioma wiekami i rzeczywiście sprawiała wrażenie niedostępnej. Otaczała ją fosa i strzegły jej cztery wieże z ambrazurami do prowadzenia obserwacji i ostrzału. Wewnątrz umocnień znajdował się cudowny pałac z mnóstwem dzieł sztuki i wspaniale umeblowanymi pokojami. Po piętnastu minutach Rick uznał, że dość się już naoglądał, ale jego przyjaciółka dopiero się rozkręcała.

Kiedy w końcu doprowadził ją z powrotem do samochodu, ruszyli zgodnie z jej wskazówkami dalej na północ, do miasta Soragna. Leżało na żyznej równinie na lewym brzegu rzeki Stirone i według Livvy w przeszłości było miejscem wielu bitew. Strzelała informacjami jak karabin maszynowy, a Rick niezdolny wchłonąć tylu szczegółów wracał myślami do Lwów z Bergamo, a zwłaszcza signora Maschiego, zwinnego środkowego linebackera, który zdaniem Sama był kluczowym zawodnikiem drużyny. Zastanawiał się nad wszystkimi obmyślanymi przez błyskotliwych trenerów zagrywkami i planami, które miały zneutralizować środkowego linebackera. Rzadko kiedy działały.

Zamek w Soragna (wciąż mieszkał w nim prawdziwy książę!) w obecnym kształcie pochodził zaledwie z XVII wieku. Po krótkim zwiedzaniu zjedli lunch w małym barku. Potem ruszyli dalej do miasta San Secondo, słynącego obecnie ze *spalla*, gotowanej szynki. Zamek miejski, zbudowany w XV wieku, odegrał istotną rolę w wielu ważnych bitwach.

- Czemu ci ludzie tyle walczyli? - zapytał w pewnym momencie Rick.

Livvy rzuciła mu coś w odpowiedzi, ale sama niezbyt się interesowała wojnami. Bardziej pociągały ją dzieła sztuki, meble, marmurowe kominki. Rick wymknął się ukradkiem i uciął sobie drzemkę pod drzewem.

Skończyli w Colorno, zwanym „małym Wersalem nad Padem”. Była to majestatyczna twierdza, przekształcona w świetną rezydencję z rozległymi ogrodami i dziedzińcami. Kiedy tam dotarli, Livvy była równie podniecona jak siedem godzin wcześniej, w czasie zwiedzania pierwszego zamku, który Rick ledwo mógł sobie przypomnieć. Dzielnie

odbył męczącą wycieczkę i w końcu się poddał.

- Spotkamy się w barze - oznajmił i zostawił ją w ogromnym korytarzu, wpatrzoną we freski wysoko nad głową i całkowicie pogrążoną w swoim świecie.

W SOBOTĘ POSPRZECZALI SIĘ TROCHĘ. Była to ich pierwsza kłótnia i oboje uznali ją za zabawną. Szybko się skończyła i żadne z nich nie chowało urazy. Obiecujący znak.

Ona chciała pojechać na południe do Langhirano, przez krainę winnic i zwiedzić tylko kilka najważniejszych zamków. On natomiast miał ochotę spędzić spokojnie dzień, bez spacerów i więcej myśleć o Bergamo, a mniej o jej nogach. Ostatecznie doszli do kompromisu. Zostaną w mieście, ale zwiedzą kilka kościołów.

Był wypoczęty, z jasno myślącą głową, przede wszystkim dlatego, że drużyna postanowiła zrezygnować z piątkowej pizzy i wielu litrów piwa w Polipo. Odbyli szybki trening w samych szortach, wysłuchali kolejnych planów Sama, kolejnej natchnionej przemowy, tym razem Pietra, i rozeszli się o dziesiątej wieczór. Trenowali już wystarczająco długo.

W sobotę wieczorem zebrali się w Café Montana na posiłek przed meczem, trzygodzinną gastronomiczną fiestę, w której główną rolę grał Nino, a Carlo wrzeszczał w kuchni. Obecny tam signor Bruncardo również przemówił do drużyny. Podziękował za świetny sezon, który jednak nie będzie kompletny, jeżeli jutro nie dokopią Bergamo.

Kobiet nie było - małą restaurację wypełniali wyłącznie zawodnicy - co zaowocowało dwoma obscenicznymi wierszykami i ostatecznym pożegnaniem, pełną wyzwisk odą, ułożoną przez poetycznego Franca i wygłoszoną przez niego z historycznym zapalem.

Sam wysłał ich do domów przed jedenastą.

BERGAMO PODRÓŻOWAŁO W WIELKIM STYLU. Lwy przywiozły ze sobą imponującą liczbę kibiców, którzy przybyli wcześniej i robili dużo hałasu, rozwinęli transparenty, ćwiczili trąbienie w rogi oraz śpiewy, i ogólnie rzecz biorąc, czuli się na Stadio Lanfranchi zupełnie jak w domu. Osiem wygranych z rzędu w Super Bowl dawało im prawo brania każdego boiska włoskiej NFL w posiadanie. Ich cheerleaderki były ubrane w kuse złote spódniczki i czarne buty do kolan, co poważnie rozpraszało Pantery w czasie długiej rozgrzewki przed meczem. Gracze stracili przynajmniej chwilowo koncentrację, kiedy dziewczyny robiły rozciąganie, potrzęsały pomponami i rozgrzewały się przed wielkim meczem.

- Dlaczego nie możemy mieć cheerleaderek? - zapytał Rick przechodzącego obok Sama.

- Zamknij się.

Sam krążył wokół boiska, warcząc na swoich graczy zdenerwowany jak każdy trener NFL przed wielką rozgrywką. Porozmawiał krótko z dziennikarzem z „Gazetta di Parma”. Ekipa telewizyjna nakręciła kilka ujęć - w jednakowej proporcji cheerleaderek i zawodników.

Kibice Panter nie dali się zakasować. Alex Olivetto przez cały tydzień zbierał młodszych graczy z lig futbolu flagowego. Teraz usiedli razem w jednym końcu trybuny dla gospodarzy i wkrótce darli się na fanów Bergamo. Było też wielu byłych zawodników Panter razem z rodzinami i przyjaciółmi. Każdy kto choć trochę interesował się *football*

americano, był na miejscu na długo przed kickoffem.

W szatni panowało napięcie, Sam nie próbował jednak uspokajać graczy. Futbol jest grą emocji, z których większość oparta jest na strachu, i każdy trener chce, żeby jego drużyna głośno domagała się przemocy. Wygłosił więc zwykle przestrogi przed przewinieniami, stratami oraz głupimi błędami i puścił ich wolno.

Kiedy drużyny ustawiły się do rozpoczynającego mecz wykopu, pełen stadion był bardzo głośny. Giancarlo odebrał kickoff i pobiegł z piłką wzdłuż linii bocznej. Został wepchnięty na ławkę rezerwowych Bergamo w okolicach trzydziestego pierwszego jarda. Rick biegł razem ze swoim atakiem, pozornie spokojny, ale czuł, jak w brzuchu wszystko skręca mu się w supeł.

Trzy pierwsze zagrywki były zaplanowane i żadna z nich nie miała przynieść punktów. Rick wywołał quarterback sneak, tłumaczenie nie było potrzebne. Nino dygotał z wściekłości i głodu nikotynowego. Jego pośladki były napięte, ale snap okazał się szybki i Nino jak rakietą wystartował na Maschiego, ten jednak odparł atak i zatrzymał akcję, która przyniosła zaledwie jeden jard.

- Fajny bieg, Baranie! - wrzasnęła Maschi z wyraźnym włoskim akcentem. W pierwszej połowie Rick miał bardzo często słyszeć to przezwisko.

Drugą zagrywką był kolejny quarterback sneak. Poleciał donikąd - zgodnie z planem. Maschi blitzował w każdej trzeciej próbie, gdy dystans do pokonania był duży. Niektóre z jego sacków były bardzo brutalne. Miał jednak pewną tendencję - być może z powodu braku doświadczenia, a być może dlatego, że lubił być widoczny - blitzował wyprostowany. Na zbiórce Rick zarządził zagrywkę: „Zabić Maschiego”. Ofensywa ćwiczyła ją już od tygodnia. W formacji shotgun, bez tailbacka i z trzema skrzydłowymi, Franco ustawił się tuż za Duńczykiem Karlem, grającym jako lewy tackle⁹³. Ukrył się, kucając. Po snapie ofensywni liniowi wykonali podwójne bloki na defensywnych linemannah, pozostawiając dla signora „L.T.” wielką lukę z Rickiem na widelcu. Maschi połknął przynętę, szybkość omal go nie zabiła. Zaczął szarżę na wykonującego drop back Ricka, który liczył na powodzenie akcji.

Maschi wparował przez środek, biegnąc w wyprostowanej pozycji, podniecony myślą, że za chwilę skasuje Ricka. Nagle jak spod ziemi wyrósł sędzia Franco, doprowadzając do kolizji dwóch stukilowych graczy. Kask Franca wylądował w idealnym miejscu, tuż pod kratką kasku Maschiiego. Uderzenie było tak mocne, że odpadł pasek przytrzymujący brodę, a złoty kask Bergamo wyprysnął wysoko w powietrze. Maschi obrócił się w powietrzu, w mgnieniu oka jego stopy podążyły w ślad za kaskiem, a kiedy uderzył głową w ziemię, Sam przez chwilę pomyślał, że Franco go zabił. To była klasyczna, widowiskowa akcja, która w kanałach sportowych w Stanach byłaby pokazywana w powtórkach miliony razy. Absolutnie legalna i absolutnie mordercza.

Rick nie widział tego, bo podczas kolizji był odwrócony plecami do zagrania. Usłyszał jednak wszystko bardzo dobrze. Dźwięk brutalnego uderzenia zabrzmiał jak w prawdziwej NFL.

Po zakończeniu zagrania sędziowie przez pięć minut dyskutowali o tym, co przed chwilą zobaczyli. Na boisku pojawiły się co najmniej cztery flagi i trzy leżące bez ruchu ciała.

Ani Maschi, ani Franco się nie ruszali. Ale ta część akcji nie została oflagowana ⁹⁴. Pierwsza flaga pojawiła się w głębi pola. Safety Bergamo - McGregor - jankeski łamignat z Gettysburg College ⁹⁵, by zaznaczyć swoją obecność i zastraszyć rywala, okrutnie ściał Fabrizia, który nie angażując się w akcję, biegł w poprzek boiska daleko od miejsca kolizji. Na szczęście sędzia to zauważył. Na nieszczęście zauważył to również Nino i za chwilę, po krótkim sprincie w stronę McGregora znokoutował go. Murawę usiały kolejne flagi. Trenerzy wdarli się na boisko i ledwo udało im się zapobiec bójce.

Pozostałe flagi pojawiły się w miejscu, w którym Rick został przewrócony po zdobyciu pięciu jardów. Cornerback nazywany Profesorem w młodości występował sporadycznie w Wake Forest ⁹⁶, a teraz powoli zbliżał się do czterdziestki i był na najlepszej drodze do zdobycia kolejnego stopnia naukowego z literatury włoskiej. Gdy nie prowadził zajęć, grał i pomagał trenować Lwy z Bergamo. Daleki od oglądy akademickiej Profesor chciał kogoś załatwić i był zadowolony z tego wrednego ciosu. Jeżeli nawet miał jakieś kłopoty z mięśniem dwugłowym uda, nie było tego widać. Boleśnie skosił Ricka i wrzasnął jak szalony:

„Świetny bieg, Baranie! Teraz rzuć do mnie podanie!” Rick go odepchnął. Profesor nie pozostał mu dłużny. Na boisku zrobiło się jeszcze bardziej żółto.

Sędziowie naradzali się zaciekle, jakby nie mieli pojęcia, co zrobić, a trenerzy zajęli się rannymi. Franco podniósł się pierwszy. Powoli pobiegł do linii bocznej, gdzie uściskali go koledzy. Zagranie: „Zabij Maschiego”, zadziało bez zarzutu. Leżący Maschi poruszał nogami, co z ulgą przyjęli zgromadzeni na stadionie. Zgiął kolana, postawił stopy i stanął na nogach. Poszedł w stronę linii bocznej, znalazł miejsce siedzące na ławce i zaczął „karmić się” tlenem. Później wrócił do gry, ale do końca meczu kompletnie stracił entuzjazm do blitzowania.

Sam wrzeszczał na sędziów, chcąc wymusić wykluczenie McGregora, który na to zasługiwał. Wtedy jednak arbitrzy musieliby usunąć z boiska także Nina za wyprowadzenie nokautującego prostego. Kompromisowym rozwiązaniem była piętnastojardowa kara przeciwko Bergamo i automatyczna pierwsza próba dla Panter. Gdy Fabrizio zobaczył, jak sędzia główny ogłasza karę, powoli wstał i udał się na ławkę.

Brak poważniejszych kontuzji. Wszyscy wrócą na boisko. Obie ławki kipiały. Wszyscy trenerzy krzyczeli na sędziów, rzucając barwne wielojęzyczne wiąchy.

Niezrażony kolizją Rick zebrał ofensywę i z rozmysłem znów wywołał tę samą zagrywkę. Pobiegł w prawo, ściał do środka i popędził prosto w stronę Profesora, taranując go tuż przy ławce Panter. Zderzenie było wręcz widowiskowe, szczególnie dla zwykle unikającego kontaktu Ricka. Ławka zareagowała z zachwytem. Zdobycz siedmiojardowa. W żyłach Ricka podniósł się poziom testosteronu. Całe jego ciało pulsowało po dwóch potężnych kolizjach. Nie stracił jednak głowy. Nie było też śladu po dawnych wstrząśnieniach mózgu. Jeszcze raz ta sama zagrywka. Claudio zablokował Profesora, a gdy gracz się uwolnił, Rick pędził już na niego z ogromną prędkością, z opuszczonymi barkami, celując kaskiem w jego klatkę piersiową. Kolejne imponujące zderzenie. Rick Dockery - łowca głów.

- Co ty, u, diabła, robisz? - burknął Sam, gdy Rick przebiegał koło niego.

- Zdobywam jardy.

Gdyby nie kontrakt, Fabrizio już byłby w drodze do szatni i nie wróciłby na boisko. Ale gwarantowana wypłata wiązała się z odpowiedzialnością, którą chłopak przyjął dojrzałe. Nadal marzył też o grze w futbol akademicki w Stanach. Ucieczka z boiska na pewno nie zbliżyłaby go do realizacji tych planów. Wraz z Frankiem z powrotem wbiegł na boisko. Ofensywa była w komplecie.

Kilka biegów zmęczyło Ricka. Pantery wykorzystały nieobecność Maschiego, biegając przez środek. Piłka trafiała do Franca przysięgającego na grób matki, że jej nie zgubi, i biegającego jak zwykle na zewnątrz Giancarla. Rick również pobiegł dwukrotnie, zdobywając sporo jardów. W drugiej i dwa, dziewiętnaście jardów od pola punktowego rywali zamarkował oddanie piłki do Franca i Giancarla, odbiegł w prawo i ładnym podaniem obsłużył Fabrizia, który złapał futbolówkę w polu punktowym. McGregor był blisko, ale nie dość blisko.

- Co o tym myślisz? - zagadnął Ricka Sam, gdy zespoły ustawiały się do wykopu.

- Obserwuj McGregora. Spróbuje złamać Fabriziowi nogę. Gwarantuję ci to.

- Słyszysz te „baranie” wyzwiska?

- Nie, Sam. Jestem głuchy.

Tailback Bergamo, który według wywiadu nie lubił kontaktu, w trzecim zagranium dostał piłkę i niespodziewanie zdobył piękne, siedemdziesięcioczerojardowe przyłożenie, kasując po drodze kilku rywali. Publika była zachwycona, a Sam zrozpaczony.

Po wykopie Maschi znów pojawił się na boisku, ale w jego ruchach nie było już dawnej energii.

- Dopadnę go! - krzyknął Franco.

Czemu nie? - pomyślał Rick. Wywołał bieg przez środek, oddał piłkę Francowi i stał się biernym świadkiem czegoś strasznego. Franco zgubił piłkę, odbijając ją od swojego kolana. Poszybowała w stronę linii wznowienia i przynajmniej połowa zawodników na boisku dotknęła jej, gdy toczyła się i podskakiwała po murawie, a potem szczęśliwie dla Panter jakimś cudem wypadła poza linię boczną. Piłka pozostała w posiadaniu Panter. Zysk szesnastojardowy.

- To może być nasz dzień - mruknął do siebie Sam.

Rick przeorganizował ofensywę. Ustawił Fabrizia po lewej stronie, a następnie skierował do niego krótkie podanie przy linii bocznej. McGregor wypchnął go za linię boczną, bez faulu. To samo zagranie, tylko w prawą stronę. I znów się udało - z dwóch powodów: Fabrizio okazał się zbyt szybki, by McGregor mógł kryć go ciasno, a ramię Ricka zbyt mocne, żeby przeciwnik mógł zatrzymać grę, opartą na krótkich podaniach. Rick spędził z Fabriziem wiele godzin na dopracowywaniu opartych na timingu quick-outach, slantach, hookach i curlach.

Pytanie brzmiało: jak długo Fabrizio będzie w stanie przyjmować ciosy wymierzone mu przez McGregora po złapaniu podań Ricka?

Pantery ponownie zapunktowały pod koniec pierwszej kwarty. Giancarlo skoczył nad kilkoma obrońcami, wylądował na nogach i wykonał dziesięciojardowy sprint na pole punktowe. Był to fantastyczny, odważny, akrobatyczny manewr, po którym zawodnicy Parmy wpadli w szal. Sam i Rick kręcili głowami z niedowierzaniem. To jest możliwe tylko we Włoszech.

Pantery prowadziły czternaście do siedmiu.

W drugiej kwarcie ofensywy obu drużyn spuściły z tonu i ta część gry została zdominowana przez liczne odkopnięcia. Maschi powoli dochodził do siebie. Niektóre z jego zagrań były imponujące, przynajmniej z punktu widzenia Ricka, który stał w kieszeni. Maschi nie miał najwyraźniej ochoty dalej blitzować jak kamikadze. Franco niezmiennie czaił się przy swoim quarterbacku.

Na minutę przed końcem pierwszej połowy, gdy Pantery prowadziły jednym przyłożeniem, doszło do przełomowego zagrania. Rick przerwał passę pięciu meczów bez przechwyty. Nikt nie obstawiał curia Fabrizia, ale Rick posłał piłkę zdecydowanie za wysoko. Pośrodku pola padła lupem McGregora, który miał sporą szansę zamienić przechwyt na touchdown. Rick pomknął w stronę linii bocznej, Giancarlo też. Fabrizio złapał McGregora, ale zdołał go tylko spowolnić. McGregor wyrwał się i biegł dalej. Za nim Giancarlo. McGregor uciekł mu i nagle znalazł się na trasie rozgrywanego.

Marzeniem rzucającego przechwyty quarterbacka jest zmasakrowanie safety, którego lupem padła piłka. Marzenie to rzadko się urzeczywistnia, gdyż większość rozgrywających boi się kontaktu.

Ale agresywny przez cały mecz Rick, po raz pierwszy od czasów gry w liceum szukający gry kontaktowej, nagle stał się zawodnikiem budzącym postrach. Widząc szarżującego McGregora, wystartował w jego stronę, nie bacząc na ewentualne kontuzje. Zderzenie było hałaśliwe i gwałtowne. McGregor upadł na plecy jak trafiony kulą w głowę. Rick był przez chwilę oszołomiony, ale zaraz podniósł się jakby nigdy nic, jakby ot, tak sobie, powalił kolejnego rywala. Publiczność zamarała zafascynowana masakrą.

Giancarlo rzucił się na piłkę, a Rick zdecydował nie podejmować kolejnego ryzykownego ataku w ostatnich sekundach pierwszej połowy meczu. Opuszczając boisko, rzucił okiem na ławkę Bergamo i zobaczył, jak masażysta ostrożnie prowadzi McGregora, który wyglądał jak bokser wdeptany w deski.

- Próbowałeś go zabić? - zapytała później bez odrazy, ale i bez entuzjazmu Livvy.

- Tak - odparł Rick.

MCGREGOR NIE WYSZEDŁ JUŻ NA BOISKO. Druga połowa była popisem Fabrizia. McGregora zastąpił Profesor, którego Fabrizio od razu wyprzedził. Receiver grał z nim w kotka i myszkę - gdy Profesor zbliżał się przed zagranie, Fabrizio mu uciekał. Gdy Profesor dawał rywalowi więcej przestrzeni, co zdecydowanie wołał, Fabrizio łapał krótkie podania Ricka i regularnie zdobywał po dziesięć jardów. W trzeciej kwarcie Pantery zaliczyły dwa przyłożenia. W czwartej Lwy próbowały podwójnie kryć Fabrizia, ponieważ Profesor zupełnie z nim sobie nie radził. Asystujący obrońca, nie tylko niski, ale i powolny Włoch, nie mógł jednak powstrzymać Fabrizia, który wyprzedził obu i złapał piękne, długie podanie Ricka z okolic linii środkowej boiska. Wynik brzmiał: trzydzieści pięć do czternastu - i rozpoczął się bal.

Kibice Parmy odpalili fajerwerki, śpiewali, wymachiwali transparentami, ktoś rzucił obowiązkową świecę dymną. Siedzący po drugiej stronie boiska zdruzgotani kibice Bergamo zastygli w bezruchu.

Gdy wygrywa się sześćdziesiąt siedem meczów z rzędu, można uwierzyć we własną siłę. Wygrywanie staje się nalogiem.

Przegrana po tak zaciętym meczu byłaby przykra, ale tym razem Lwy poniosły klęskę. Kibice Bergamo zwinęli transparenty, spakowali wszystkie akcesoria. Śliczne małe cheerleaderki były milczące i smutne.

Wielu z zawodników Lwów nigdy dotąd nie przegrało, ale ogólnie rzecz biorąc, przyjęli porażkę z wdziękiem. Maschi, o dziwo, okazał się dobrodusznym facetem, który usiadł na trawie ze zdjętymi ochraniaczami barków i długo po zakończeniu meczu gawędził z kilkoma Panterami. Podziwiał Franca za brutalne skasowanie go, a kiedy usłyszał o zagrywce: „Zabić Maschiego”, uznał to za komplement. I przyznał, że długa seria zwycięstw spowodowała za dużą presję, wywołała zbyt wiele oczekiwań. Porażka w pewien sposób przyniosła im ulgę. Wkrótce Parma i Bergamo spotkają się znowu, zapewne w Super Bowl, a Lwy wrócą do formy. Tak obiecywał.

Zazwyczaj Amerykanie z obu drużyn spotykali się po meczu. Miło jest usłyszeć wiadomości z kraju i porównać informacje o graczach. Ale nie dzisiaj. Rick był dotknięty tym, że nazywano go „Baranem”, i szybko zszedł z boiska. Wziął prysznic, przebrał się, uczył przez chwilę zwycięstwo, a potem zniknął razem z Livvy.

W czwartej kwarcie kręciło mu się w głowie, u podstawy czaszki narastał ból. Za dużo ciosów w głowę. Za dużo futbolu.

SPALI DO POŁUDNIA w maleńkim pokoju w niewielkim *albergo* nie-
daleko plaży, potem zebrali ręczniki, parawany, butelki z wodą i książ-
ki, by w końcu wciąż na wpół przytomni powlec się na brzeg Adriatyku,
gdzie rozbili obóz na całe popołudnie. Był gorący początek lipca, sezon
turystyczny zbliżał się wielkimi krokami, ale na plaży nie było jeszcze
tłoczno.

- Potrzeba ci słońca - oświadczyła Livvy, smarując się oliwką. Góra
kostiumu opadła, pozostawiając jedynie parę sznureczków w absolut-
nie niezbędnych miejscach.

- Chyba dlatego jesteśmy na plaży - powiedział. - W Parmie nie ma
żadnych solariów.

- Bo nie ma Amerykanów.

Wyjechali z Parmy po piątkowym treningu! i pizzy w Polipo. Jazda
do Ankony trwała trzy godziny, potem kolejne pół godziny wzdłuż
wybrzeża na południe na półwysep Conerò i wreszcie do małej waka-
cyjnej miejscowości Sirolo. W hotelu znaleźli się po trzeciej w nocy.
Livvy zamówiła pokój i ustaliła koordynaty. Wiedziała, gdzie są restau-
racje. Uwielbiała takie szczegóły, związane z podróżą.

Kelner wreszcie ich zauważył i przywłókł się, by zarobić na napi-
wek. Zamówili kanapki i piwo, a następnie czekali na ich przyniesienie
dobrą godzinę. Livvy siedziała z nosem w książce, Rick pogrążał się i
wynurzał z drzemki, a kiedy czasem się budził, przekręcał się na prawy
bok i podziwiał, jak smaży się topless w słońcu.

W głębi jej torby plażowej zabrzączał telefon. Wyciągnęła go, sprawdziła, kto dzwoni, i postanowiła nie odbierać.

- Ojciec - oświadczyła z niesmakiem i wróciła do misterium opalania.

Wciąż wydzwaniali: ojciec, matka i siostra. Livvy powinna wrócić ze swoich zagranicznych studiów już dziesięć dni temu, ale bez przerwy wspominała, że być może nie pojedzie do domu. Bo po co? We Włoszech jest przyjemniej.

Chociaż nadal nie zdradziła niektórych szczegółów, Rick z grubsza zorientował się, o co chodzi. Matka pochodziła z arystokratycznej rodziny z Savannah. Według lakonicznego opisu Livvy była to banda wrednych ludzi, którzy nigdy nie zaakceptowali jej ojca, ponieważ urodził się w Nowej Anglii. Rodzice spotkali się na rodzinnej uczelni - Uniwersytecie Georgii. Rodzina żarliwie sprzeciwiała się ich małżeństwu, co tylko zachęciło matkę, by postawić na swoim. Walki domowe toczyły się na wielu frontach i związek od samego początku skazany był na porażkę.

Fakt, że ojciec został wybitnym neurochirurgiem i zarabiał mnóstwo pieniędzy, niewiele znaczył dla teściów i dalszych powinowatych, którzy wprawdzie nie mieli gotówki, ale od zawsze obdarzeni byli statusem „majątnej rodziny”.

Ojciec pracował bez przerwy, całkowicie pochłonięty swoim zawodem. Jadł w gabinecie, spał w gabinecie i najwyraźniej wkrótce zaczął w gabinecie korzystać z towarzystwa pielęgniarek. Trwało to od lat, w odwecie matka zaczęła spotykać się z młodszymi mężczyznami. O wiele młodszymi. Jej jedyna siostra trafiła do psychoterapeutów w wieku dziesięciu lat. Według Livvy stanowili „całkowicie dysfunkcyjną rodzinę”.

Z niecierpliwością czekała na chwilę, kiedy po ukończeniu czternastu lat będzie mogła wreszcie pojechać do szkoły z internatem. Wybrała ją możliwie jak najdalej, w Vermoncie, i przez cztery lata nienawidziła wakacji. Letnie ferie spędzała w Montanie, pracując jako wychowawczyni na obozie.

Tym razem ojciec załatwił dla niej po powrocie z Florencji staż w szpitalu w Atlancie. Miała pracować z ludźmi, którzy w wypadku doznali uszkodzenia mózgu. Chciał, żeby została lekarką, bez wątplenia

tak znakomitą jak on. Ona natomiast nie miała żadnych planów poza jednym - trzymać się jak najdalej od tego, co wybrali dla niej rodzice.

Rozprawa rozwodowa była wyznaczona na koniec września i chodziło o wielkie pieniądze. Matka żądała od Livvy, by zeznawała na jej korzyść, a konkretnie opowiedziała o incydencie sprzed trzech lat, kiedy to nieoczekiwanie zjawiała się w szpitalu i zaskoczyła ojca obściskującego młodą lekarkę. Ojciec rozgrywał finanse. Proces trwał od prawie dwóch lat i Savannah nie mogło się doczekać publicznego starcia znanego lekarza z osobą z towarzystwa.

Livvy usiłowała tego uniknąć za wszelką cenę. Nie chciała, aby ostatni rok jej studiów zniszczyła obrzydliwa awantura między rodzicami.

Rick dowiadywał się o tym stopniowo, w krótkich relacjach, zazwyczaj wówczas, gdy odebrała telefon od kogoś z rodziny. Słuchał cierpliwie, ona zaś była wdzięczna, że może komuś o wszystkim opowiedzieć. We Florencji jej współlokatorki były zbyt pochłonięte własnymi sprawami.

Zaczął doceniać swoich nudnych rodziców i ich proste życie w Davenport.

Jej telefon zadzwonił znowu. Złapała go, a potem poszła wzdłuż plaży z komórką przy uchu. Rick patrzył na nią, podziwiając każdy ruch. Inni mężczyźni poprawiali się na leżakach, aby na nią spojrzeć.

Domyślił się, że tym razem telefonuje jej siostra, ponieważ odebrała połączenie i szybko odeszła, jakby chcąc oszczędzić mu szczegółów. Chociaż wcale nie był tego pewien. Kiedy wróciła, powiedziała: „Przepraszam”, a potem ułożyła się na słońcu i zaczęła czytać.

NA SZCZĘŚCIE DLA RICKA alianci pod koniec wojny zrównali Ankonę z ziemią, w związku z czym z zamkami i pałacami było tu kiepsko. Według kolekcji przewodników Livvy warto obejrzeć tylko starą katedrę, a ona nie miała na to specjalnej ochoty. W niedzielę znowu długo spali, zrezygnowali ze zwiedzania i w końcu znaleźli boisko do futbolu.

Pantery przyjechały autobusem o trzynastej trzydziści. Rick samotnie czekał na nich w szatni. Równie samotna Livvy czytała na trybunie włoską gazetę.

- Cieszę się, że mogłeś się zjawić - burknął do quarterbacka Sam.
- Widzę, że jesteś w swoim normalnym radosnym nastroju, trenerze.
- O tak. Czterogodzinna jazda autobusem zawsze bawi mnie do łez.

Zawodnicy jeszcze nie ochłonęli po zwycięstwie nad Bergamo, toteż Sam jak zwykle spodziewał się katastrofy w meczu z Delfinami z Ankony. Jedna wpadka i Pantery nie wejdą do playoffów. Pogonił zawodników ostro w środek i piątek, ale oni wciąż upajali się swoim oszałamiającym przerwaniem Wielkiej Serii Lwów. „Gazetta di Parma” zamieściła na całej pierwszej stronie artykuł z wielkim zdjęciem Fabrizia w akcji. Kolejny artykuł pojawił się we wtorek i napisano w nim o Francu, Ninie, Pietrze i Giancarlu. Pantery były najostrzejszą drużyną w lidze, wygrywały wysoko, mając właściwie tylko włoskich zawodników. Jedyne ich rozgrywający był Amerykaninem. I dalej w tym duchu.

Ale Ankona wygrała tylko jeden mecz, a przegrała sześć, zwykle wysoko. Zgodnie z ich oczekiwaniami Pantery były bezbarwne, ale przecież rozgromiły Bergamo i już samo to budziło postrach. Rick i Fabrizio w pierwszej kwarcie dwukrotnie zdobyli punkty, a Giancarlo wykonał dwa efektowne przyłożenia w drugiej. Na początku czwartej kwarty Sam wprowadził zmienników i atak przejął Alberto.

Dla Panter sezon zasadniczy dobiegł końca, gdy piłka znajdowała się na środku boiska. W ostatnich sekundach meczu obie drużyny stały nad nią, przypominając młyn na meczu rugby. Potem zawodnicy zerwali brudne koszulki, ochraniacze i przez następne pół godziny ścisnęli sobie ręce oraz i obiecywali spotkanie w następnym roku. Tailback Ankony był z Council Bluffsów w stanie Iowa i grał w małym college'u w Minnesocie. Siedem lat wcześniej widział Ricka grającego w wielkim meczu Iowa-Wisconsin i z przyjemnością powspominali tamto

wydarzenie. Był to jeden z lepszych występów Ricka w czasie studiów. Miło pogawędzić z kimś o podobnym akcencie.

Rozmawiali o znajomych graczach i trenerach. Tailback miał następnego dnia samolot i nie mógł się doczekać powrotu do domu. Rick oczywiście musiał pozostać na playoffach, nie miał też żadnych planów na przyszłość. Życzyli sobie wszystkiego najlepszego i obiecali spotkać się później.

Bergamo, które najwyraźniej chciało rozpocząć nową złotą serię, rozgromiło Rzym sześcioma przyłożeniami i zakończyło sezon z wynikiem siedem do jednego. Parma i Bolonia zajęły ex aequo drugie miejsce z wynikiem sześć do dwóch i miały grać ze sobą w półfinale. Wielką wiadomością dnia była klęska Bolzano. Nosorożce z Mediolanu wygrały w ostatnim meczu i fuksem wcisnęły się do playoffów.

PRZEZ NASTĘPNY DZIEŃ OPALALI SIĘ, potem Sirolo ich znudziło. Pojechali na północ i zatrzymali się na całą dobę w średniowiecznej wiosce Urbino. Livvy poznała już trzynaście z dwudziestu regionów i wyraźnie miała ochotę na dłuższą podróż, w której zaliczyłaby pozostałych siedem. Ale jak daleko zajędzie z wygasłą wizą?

Wolała o tym nie rozmawiać. I bardzo starała się nie myśleć o swojej rodzinie, dopóki ta nie zawracała jej głowy. Kiedy jechali bocznymi drogami Umbrii i Toskanii, studiowała mapę i z niezwykłym wycuciem odnajdowała maleńkie wioski, winnice i stare *palazzi*. Znała historię wojen i konfliktów, władców i ich miast-państw, wiedziała, jakie wpływy wywierał Rzym i jak wpływy te słabły. Wystarczyło, że spojrziała na kościół w małej wiosce, i już mogła stwierdzić: „Barok, koniec XVII wieku” albo „Styl romański, początek XII wieku” i czasami uzupełniała: „Ale kopułę dodał sto lat później klasycystyczny architekt”. Wiedziała prawie wszystko o wielkich artystach i to nie tylko o ich dziełach, ale również o rodzinnych miastach, latach nauki, dziwactwach i wszystkich ważnych szczegółach związanych z ich twórczością. Znała się na włoskich winach i niezliczonych odmianach szczepów z

tego regionu. Kiedy byli spragnieni, znajdowała ukrytą winnicę. Zwie-
dzali ją szybko, a potem zajmowali się bezpłatną degustacją.

Wrócili do Parmy w środę późnym popołudniem, akurat na bardzo
długi trening. Livvy została w mieszkaniu (ich „domu”), Rick powłókł
się na Stadio Lanfranchi, żeby po raz kolejny przygotować się na spo-
tkanie z Wojownikami z Bolonii.

NAJSTARSZYM ZAWODNIKIEM PANTER BYŁ TOMMASO, czyli po prostu Tommy. Miał czterdzieści dwa lata, a grał od dwudziestu. Postanowił, o czym aż za często mówił w szatni, wycofać się dopiero wtedy, gdy Parma zdobędzie swój pierwszy Super Bowl. Paru kolegów z drużyny sądziło, że powinien to zrobić już dawno i uważali, że jest to jeszcze jeden dobry powód, by Pantery pospieszyły się i zdobyły wielką nagrodę.

Tommy grał na pozycji defensive end ⁹⁷ i był skuteczny mniej więcej przez jedną trzecią meczu. Wysoki, o wadze około dziewięćdziesięciu kilogramów, miał szybki start i nieźle wywierał presję na rozgrywającym. Gdy jednak rywale grali dołem, nie był równorzędnym przeciwnikiem dla szarżującego linemana czy fullbacka, co powodowało, że Sam wpuszczał go na boisko z wielką rozważą. W drużynie Panter było kilku starszych zawodników potrzebnych tylko w pojedynczych zagraniach w całym meczu.

Tommy był urzędnikiem państwowym, miał niezłą, bezpieczną pracę i odjazdowe mieszkanie w śródmieściu. Stary był tylko budynek. W mieszkaniu Tommy starannie usunął wszystko, co przypominałoby o historii. Meble były ze szkła, chromu i skóry, podłogi z matowego jasnego dębu, ściany obwieszane zadziwiającym współczesnym malarstwem, całość dopełniała zgrabnie poustawiana najwyższej klasy aparatura multimedialna.

Jego towarzyszka i z całą pewnością nie żona doskonale pasowała do wystroju wnętrza. Miała na imię Maddalena, była wzrostu Tommy'ego,

ale o czterdzieści pięć kilo lżejsza i co najmniej piętnaście lat młodsza. Kiedy Rick się z nią witał, Tommy ścisnął i obcałowywał Livvy zachowując się tak, jakby miał zamiar natychmiast zaciągnąć ją do sypialni.

Livvy przyciągała uwagę Panter, nic w tym dziwnego. Piękna młoda amerykańska dziewczyna, która mieszkała w Parmie z ich rozgrywanym. Gorąckowłóści Włosi nie mogli się powstrzymać od poufałości. Ricka często zapraszano na obiady, ale teraz był po prostu rozchwytywany.

Udało mu się odbić Livvy i zaczął podziwiać kolekcję futbolowych trofeów i pamiątek Tommy'ego. Znajdowało się wśród nich zdjęcie Tommy'ego z młodą drużyną futbolową.

- W Teksasie - wyjaśnił. - Niedaleko Waco. Jeżdżę tam co roku w sierpniu, by trenować z drużyną.

- Licealną?

- Si. Biorę urlop i odbywam to, co nazywacie dwudniówką. Nie?

- O, tak. - Dwudniówki, zawsze w sierpniu. Rick osłupiał. Nigdy dotąd nie spotkał nikogo, kto dobrowolnie poddawałby się koszarowi sierpniowych dwudniówek. Poza tym w sierpniu było już po włoskim sezonie, po co zawracać sobie głowę brutalnymi ćwiczeniami kondycyjnymi?

- Wiem, to wariactwo - przyznał Tommy.

- Zgadzam się. Ciągłe tam jeździsz?

- Nie. Trzy lata temu przestałem. Moja druga żona była temu przeciwna. - Mówiąc to, z jakiegoś powodu zerknął ostrożnie na Maddalene. - Odeszła, ale ja byłem już za stary. Chłopaki mają za ledwie po siedemnaście lat, są za młodzi dla czterdziestoletniego starszaka, prawda?

- Niewątpliwie.

Rick był zdumiony. Jak Tommy czy ktokolwiek inny, mógł spędzać wakacje w teksańskim upale, biegając sprinty i taranując sledy? ⁹⁸

Jedna z pólki była wypełniona idealnie dobranymi, oprawionymi w skórę albumami. Każdy miał jakieś dwa i pół centymetra grubości, a na jego grzbiecie znajdował się wytłoczony złotem rok. Jeden album na każdy z dwudziestu sezonów Tommy'ego.

- Ten jest pierwszy - oznajmił gospodarz. Na stronie pierwszej był lśniący terminarz meczów Panter z wpisanymi ręcznie wynikami. Cztery wygrane, cztery przegrane. Potem programy meczów, artykuły prasowe i strony fotografii. Tommy pokazał siebie na zdjęciu grupowym i powiedział: - To ja, już wtedy numer 82, czternaście kilogramów cięższy. - Wyglądał potężnie i Rick miał na końcu języka, że trochę tej masy przydałoby się i teraz. Ale Tommy dbał o elegancję i lubił dobrze wyglądać. Niewątpliwie zrzućenie dodatkowej wagi miało jakiś związek z jego życiem erotycznym.

Przekartkowali kilka roczników, sezony zaczęły się zlewać.

- Ani jednego Super Bowl - powtarzał raz po raz Tommy. Wskazał puste miejsce pośrodku półki.

- To specjalne miejsce, Reek. Tu postawię wielkie zdjęcie Panter, kiedy zdobędziemy Super Bowl. Będziesz na nim, Reek, prawda?

- Na pewno.

Objął Ricka i ramię w ramię przeszli do części jadalnej, gdzie czekały drinki.

- Bardzo się martwimy, Reek - powiedział, nagle poważniejąc i umilkł.

- Czym się martwicie?

- Tym meczem. Jesteśmy tak blisko. - Cofnął rękę i nalał dwa kieliszki białego wina. - Jesteś wielkim zawodnikiem, Reek. Najlepszym, jaki grał w Parmie, może w całych Włoszech. Prawdziwy quarterback z NFL. Czy możesz zagwarantować, że wygramy Super Bowl?

Panie oglądały na patio kwiaty w skrzynkach.

- Nikt nie jest aż tak mądry, Tommy. Mecz jest zbyt nieprzewidywalny.

- Ale ty, Reek, widziałeś tylu wspaniałych graczy na ogromnych stadionach. Przecież wiesz, czy możemy wygrać.

- Tak, możemy.

- Ale czy to obiecujesz? - Tommy uśmiechnął się i szturchnął Ricka w pierś. - Stary, tak między nami, powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

- Wierzę, że wygramy dwa następne mecze i Super Bowl. Ale, Tommy, tylko dureń mógłby to obiecywać.

- Joe Namath obiecał 99. W Super Bowl III czy IV?
- W Super Bowl III. Ja nie jestem Joem Namathem.

Tommy był tak nowoczesny, że przed obiadem nie postawił na stole parmezanu i szynki. Wino było hiszpańskie. Maddalena podała sałatkę ze szpinaku i pomidorów, a następnie małe porcje dania z pieczonym dorszem, którego na pewno nie znalazłoby się w książce kucharskiej z regionu Emilia-Romania. *Pasty* się nie pojawiła. Na deser podano suche, kruche herbatniki, ciemne jak z czekolady, ale praktycznie bez smaku.

Po raz pierwszy w Parmie Rick wstał od stołu głodny. Po słabej kawie i długotrwałych pożegnaniach wyszli i w drodze do domu zafundowali sobie wielkie lody.

- To świntuch - orzekła Livvy. - Wciąż mnie obmacywał.
- Trudno mieć mu to za złe.
- Zamknij się.
- A poza tym ja obmacywałem Maddalene.
- Nic podobnego, cały czas cię obserwowałam.
- Zazdrosna?
- Ogromnie. - Włożyła do ust łyżeczkę pistacjowych lodów i powiedziała bez uśmiechu: - Słyszysz, Reek? Jestem ogromnie zazdrosna.
- Tak jest, proszę pani.

Było to jak osiągnięcie kolejnego niewielkiego kamienia milowego, kolejny wspólny krok. Od flirtu do przygodnego seksu, a potem do uczucia. Od szybkich e-maili do długich rozmów telefonicznych. Od romansu na odległość do zabawy w dom. Od niepewnej przyszłości, do życia, które można było wspólnie dzielić. A teraz wyrazili zgodę na wyłączność. Monogamie. A wszystko to przypieczone łyżeczką lodów pistacjowych.

TRENER SAM RUSSO miał powyżej uszu rozmów o Super Bowl. W poniedziałkowy wieczór nawrzeszczał na drużynę, że jeżeli nie potraktują poważnie Bolonii, drużyny, z którą mówiąc na marginesie, przegrali, nie zagrają o Super Bowl. Liczy się tylko najbliższy mecz, idioci.

Wrzeszczał również w sobotę, w czasie lekkiego treningu, którego domagali się Nino i Franco. Pojawili się na nim wszyscy zawodnicy, większość godzinę wcześniej.

Następnego dnia wyjechali do Bolonii autobusem o dziesiątej rano. W porze lunchu zjedli kanapki w kafeterii na skraju miasta, a o wpół do drugiej wysiedli z autobusu i przeszli po najlepszym boisku futbolowym we Włoszech.

Bolonia liczyła pół miliona mieszkańców i mnóstwo kibiców futbolu amerykańskiego. Wojownicy wpisywali się w długą tradycję dobrych drużyn, aktywnych lig młodzieżowych i solidnych właścicieli, a ich stadion (podobnie jak w innych wypadkach dawne boisko do rugby) przebudowano zgodnie z wymogami regulaminowymi futbolu i pieczołowicie pielęgnowano boisko. Przed zwycięstwem Bergamo to Bolonia przodowała w lidze.

W ślad za drużyną przyjechały dwa wyczarterowane autobusy z kibicami Parmy, którzy hałaśliwie wkroczyli na stadion. Nie minęło wiele czasu, a obie strony trybun podjęły współzawodnictwo we wznoszeniu dopingujących okrzyków. Pojawiły się transparenty. Rick zauważył po stronie Bolonii jeden, który głosił: „Upiec Barana”.

Według Livvy Bolonia słynęła zjedzenia, utrzymywano, iż jest tu najlepsza kuchnia w całych Włoszech. Być może pieczony baran był miejscowym specjałem.

W ich pierwszym meczu Trey Colby w pierwszej kwarcie złapał trzy podania na przyłożenie. Do przerwy złapał cztery, jego występ i kariera urwały się na początku trzeciej kwarty. Ray Montrose, tailback, który grał w Rutgersach i bez trudu zdobywał wyróżnienia dla najlepszego running backa ligi, zaliczając w każdym meczu po dwieście dwadzieścia osiem jardów, przedzierał się przez obronę Panter, zdobywając trzy przyłożenia i dwieście jardów. Bolonia wygrała trzydzieści pięć do trzydziestu czterech.

Od tego momentu Pantery już nie przegrały ani jednego meczu. Rick nie spodziewał się, by stało się tak dzisiaj. Bolonia to drużyna jednego zawodnika - Montrose'a. Quarterback był typem gracza z małego college'u - twardego, ale wolnego i nierównego, nawet przy krótkich podaniach. Trzecim Amerykaninem był safety z Dartmouth,

który nie był w stanie upilnować Treya. A Trey nie był ani tak zwinny, ani tak szybki jak Fabrizio.

Mecz zapowiadał się na ekscytujące, zakończone wysokim wynikiem widowisko. Rick chciał, żeby Pantery pierwsze miały piłkę. Losowanie wygrali jednak Wojownicy i kiedy drużyny ustawiły się do pierwszego wykopu, pełne trybuny drżały w posadach. Odbierającym był maleńki Włoch. Rick zauważył na wideo, że często trzyma piłkę nisko, daleko od ciała, popełniając błąd, który przekreśliłby jego szansę na grę w Ameryce.

- Zabierzcie mu piłkę! - Sam darł się tak tysiące razy w ostatnim tygodniu. - Jeżeli ósemka odbierze wykop, wyrwijcie mu tę cholerną piłkę!

Ale najpierw trzeba go było złapać. Numer 8 pędził przez środek boiska, czując zapach linii pola punktowego. Piłka oddaliła się od ciała, gdy przełożył ją do prawej dłoni. Silvio, szybki, drobny linebacker, dopadł go z boku, niemal wyrwał mu prawą rękę ze stawu i piłka zaczęła się toczyć po murawie. Zdobyły ją Pantery. Montrose będzie musiał poczekać.

W pierwszym zagranium Rick zamarkował oddanie piłki do Franca, a potem udał krótkie podanie do Fabrizia. Cornerback wyczuł szansę na szybki i dramatyczny przechwyt, połknął przynętę, ale Fabrizio odbił wzdłuż linii bocznej i przez długą chwilę był niepilnowany. Rick rzucił zdecydowanie za mocno, ale Fabrizio to zauważył. Wyciągnął się i końcami palców opanował piłkę, amortyzując silne podanie. Zbliżający się safety nie miał szans. Fabrizio runął naprzód i po chwili celebrował przyłożenie. Siedem zero.

Aby jeszcze bardziej odwlec wejście Montrose'a, Sam zarządził on-side kick ¹⁰⁰. Zagranie to ćwiczyli dziesiątki razy przed meczem. Filippo, strzelec o silnych nogach, trafił dokładnie w czubek piłki ¹⁰¹, która w nieprzewidywalny sposób zaczęła toczyć się na środek pola. Franco i Pietro podążyli za nią nie po to, by jej dotknąć, ale by ją ochraniać. Roztrącili dwóch zdezorientowanych przeciwników, którzy cofali się, by uformować klin ¹⁰², gdy nagle dostrzegli, że zawodnicy Panter wykonują on-side kick i przerażeni zaczęli rozpaczliwie biec w stronę piłki. Giancarlo przekoziołkował przez walczących o piłkę i

nakrył ją ciałem. Trzy zagrania później Fabrizio cieszył się z kolejnego przyłożenia.

W końcu swoją szansę dostał także Montrose. Pierwsza próba i dziesięć na trzydziestym pierwszym jardzie. Oddanie piłki do running backa było tak przewidywalne jak wschód słońca. Sam nakazał, aby wszyscy defensorzy, prócz free safety, zaszarżowali na rywala. Efektem był potężny gang tackle ¹⁰³, ale mimo wszystko Montrose zdobył trzy jardy. W następnych zagraniach pięć, cztery i znowu trzy. Jego biegi były krótkie, ale okupione twardą walką z obroną. W trzeciej i jeden Bolonia w końcu zdecydowała się na ofensywną zagrywkę. Sam wywołał kolejny blitz, ale rozgrywający Bolonii zamarkował oddanie piłki do Montrose'a, a następnie podał do zupełnie nieobstawionego skrzydłowego, który tańczył przy linii, krzycząc i wymachując rękami, gdyż w odległości dwudziestu jardów od niego nie było żadnej Pantery. Podanie było długie i wysokie, gdy receiver starał się je złapać dziesięć jardów przed polem punktowym, kibice zespołu gospodarzy zerwali się z miejsc. Skrzydłowy chwycił piłkę w obie dłonie, a chwilę później wyslizgnęła mu się z palców - powoli, jakby w zwolnionym tempie. Upadł na ziemię na piątym jardzie i bezradnie uderzył z wściekłością powalony pięścią w murawę.

Można było prawie usłyszeć jego skowyt.

Punter, którego średnia długość kopnięć wynosiła około dwudziestu ośmiu jardów, tym razem zagrał jeszcze gorzej. Uderzona nieczysto, bo goeniem, piłka wpadła na trybuny. Rick wbiegł z ofensywą na boisko i wykonał trzy zagrania bez zbiórki ¹⁰⁴, w których piłka powędrowała do Fabrizia - slant w środek pola na dwunastojardową zdobycz, jedenastojardowy curl, a ostatecznie post, który pozwolił zdobyć trzydzieści cztery jardy i trzecie przyłożenie w pierwszych czterech minutach meczu.

Bolonia trzymała się swojego planu gry. W każdym zagraniu piłka wędrowała w ręce Montrose'a, Sam blitzował przynajmniej dziewięcioma obrońcami. Gra przerodziła się w regularną bitwę, a ofensywa Bolonii systematycznie przesuwała się z piłką w stronę pola punktowego rywali. W ostatnim zagraniu pierwszej kwarty Montrose zdobył przyłożenie.

Druga kwarta przebiegała podobnie. Rick i jego ofensywa łatwo zdobywali punkty, Montrose ze swoim atakiem musieli ciężko na nie zapracować. Po pierwszej połowie Pantery prowadziły trzydzieści osiem do trzynastu i Sam musiał się bardzo starać, by znaleźć powód do narzekań. Montrose zdobył dwa przyłożenia i blisko dwieście jardów w dwudziestu jeden biegach. Ale kto by się tym przejmował.

Sam potraktował ich typową trenerską gadką o katastrofach w drugich połowach meczu, ale poszło mu marnie. Prawda była taka, że Sam nigdy dotąd nie widział drużyny, na żadnym poziomie, która po tak fatalnym początku zespoliłaby się równie pięknie i bez wysiłku. Oczywiście, jego quarterback był w swoim żywiole, a Fabrizio był nie tylko dobry, ale wspaniały i wart każdego centa ze swoich ośmiuset euro miesięcznie.

Jako zespół Pantery wzniosły się na nowy poziom. Franco i Giancarlo biegali z pełnym przekonaniem i brawurą. Nino, Paolo „Aggie” i Giorgio dosłownie eksplodowali, startując szybko przy każdym snapie i rzadko chybiali z blokiem. Rick był nie tylko rzadko powalany, ale też nawet niezbyt często wywierano na niego presję. A defensywa z Pietrem pilnującym środka i Silviem blizującym bez opamiętania przypominała szaloną watahę, przy każdej próbie dopadającą piłkę jak stado wilków.

Nie wiadomo jak, zapewne dzięki obecności quarterbacka, Pantery uzyskały pewność siebie, o jakiej marzą trenerzy. Odzyskały swoją dumę. To był ich sezon.

W otwierającej drugą połowę serii zagrań Pantery znowu zdobyły punkty. Tym razem nie wykonując nawet jednego podania. Giancarlo biegał w lewo i w prawo, Franco taranował przez środek. Seria trwała sześć minut, na tablicy pojawił się wynik czterdzieści pięć do trzynastu. Montrose i jego koledzy wbiegli na boisko ze świadomością przegranej. Running back Bolonii nie zrezygnował wprawdzie z walki, ale po trzydziestym biegu stracił na szybkości. Po trzydziestej piątej zagrywce zdobył czwarty touchdown, ale potężni Wojownicy przegrali z kretelem. Wynik końcowy: pięćdziesiąt jeden do dwudziestu siedmiu.

W PONIEDZIAŁEK O ŚWICIE Livvy wyskoczyła z łóżka, zapaliła światło i oświadczyła:

- Jedziemy do Wenecji.
- Nie. - Rozległo się spod poduszki.
- Tak. Nigdy tam nie byłeś. A Wenecja to moje ulubione miasto.
- Tak jak Rzym, Florencja i Siena.
- Wstawaj, kochany. Mam zamiar pokazać ci Wenecję.
- Nie. Jestem zbyt obolały.
- Mięczak. Pojadę do Wenecji znaleźć sobie prawdziwego mężczyznę, piłkarza.
- Pośpijmy jeszcze trochę.
- Nie. Wyjeżdżam. Pewnie pojadę pociągiem.
- Przyślij mi pocztówkę.

Klepnęła go w tyłek i weszła pod prysznic. Godzinę później fiat był załadowany, a Rick przyniósł z pobliskiego baru kawę i croissanty. Trener Russo zawiesił treningi do piątku. Przygotowania do Super Bowl, podobnie jak jego amerykańskiego pierwowzoru, trwały dwa tygodnie.

Nikogo nie zdziwiło, że przeciwnikiem okazało się Bergamo.

Za miastem, kiedy skończył się poranny tłok na szosie, Livvy zaczęła opowiadać historię Wenecji, ale litościwie ograniczyła się do najważniejszych wydarzeń z pierwszych dwóch tysięcy lat. Rick słuchał, trzymając dłoń na jej kolanach, a ona wyjaśniała, jak i dlaczego

zbudowano miasto na błotnistych brzegach morza na terenach nieustannie zalewanych. Od czasu do czasu zaglądała do przewodników, ale najczęściej mówiła z pamięci. W zeszłym roku była tam dwa razy podczas długich weekendów. Po raz pierwszy przyjechała z grupą studentów, co zachęciło ją, by powrócić miesiąc później, już samotnie.

- Ulice to rzeki? - zapytał Rick, niepokojąc się o fiata i o to, gdzie będzie parkować.

- Lepiej znane jako kanały. Nie ma tam samochodów, tylko łodzie.

- Jak się nazywają?

- Gondole.

- Gondole. Widziałem kiedyś film, w którym jakaś para wybrała się na przejażdżkę gondolą, a mały szyper...

- Gondolier.

- Mniejsza o to, ale śpiewał bardzo głośno i nie mogli go zmusić, żeby się zamknął. Dosyć śmieszne. To była komedia.

- To dla turystów.

- Nie mogę się doczekać.

- Wenecja to jedyne w swoim rodzaju miasto na świecie, Rick. Chcę, żebyś je pokochał.

- Na pewno. Ciekawe, czy mają drużynę futbolową.

- W przewodniku o niej nie wspominają.

Miała wyłączony telefon. Wydawało się, że nie obchodzi ją to, co dzieje się w jej rodzinie. Rick wiedział, że rodzice są wściekli i grożą jej, ale było w tym o wiele więcej, niż dotąd ujawniła. Livvy mogła wyłączyć wszystko jednym ruchem palca, a kiedy pograżyła się w historii, sztuce i kulturze Włoch, znowu stawała się studentką, zafascynowaną swoim przedmiotem i spragnioną dzielenia się własną wiedzą.

Zatrzymali się na lunch na przedmieściu Padwy. Godzinę później znaleźli płatny parking dla turystów i zostawili na nim fiata za dwadzieścia euro dziennie. W Mestre złapali prom, rozpoczynając przygodę na wodzie. Prom zakołysał się w czasie załadunku, a potem ruszył po lagunie. Livvy trzymała mocno ramię Ricka. Stali przy relingu na górnym pokładzie, z niecierpliwością wypatrując zbliżającej się Wenecji.

Wkrótce znaleźli się na Canale Grande, wszędzie naokoło widać było łodzie - prywatne taksówki wodne, małe barki wyładowane różnymi towarami, motorówkę karabinierów z policyjnymi migaczami i oznakowaniami, *vaporetto* pełne turystów, łodzie rybackie, inne promy i dziesiątki gondoli. Mętna woda omywała schody stojących obok siebie eleganckich *palazzi*. W oddali widać było wysoką kampanillę na placu Świętego Marka.

Rick dostrzegł kopuły niezliczonych starych kościołów i miał ponure przeczucie, że pozna większość z nich.

Wyszli na przystanku promu koło pałacu Grittiich. Na pomoście Livvy powiedziała:

- To gorsza strona Wenecji. Musimy zaciągnąć nasze bagaże do hotelu. - Tak też zrobili: po zatłoczonych ulicach, wąskich mostach, po zaułkach, do których nie docierało słońce. Uprzedziła go, żeby nie brał za dużo, ale jej torba i tak była dwa razy większa od jego bagażu.

Hotel okazał się uroczym małym pensjonatem, leżącym daleko od turystycznych szlaków. Właścicielka, signora Stella, była żwawą siedemdziesięciolatką, która prowadziła recepcję i udawała, że zapamiętała Livvy, bo mieszkała tu cztery miesiące wcześniej. Umieściła ich w narożnym pokoju, dość ciasnym, ale z pięknymi widokiem na okolicę - wszędzie naokoło katedry - a także z całkowicie wyposażoną łazienką, co jak wyjaśniła Livvy, nie było czymś oczywistym w małych włoskich hotelikach. Łóżko zaskrzypiało, kiedy Rick się na nim wyciągnął. Trochę go ten dźwięk zaniepokoił, ale Livvy nie była w nastroju. Czekala na nich Wenecja, tyle rzeczy do obejrzenia. Nie mógł jej nawet namówić na drzemkę.

UDAŁO MU SIĘ WYNEGOCJOWAĆ UMOWĘ. Jego limit zwiedzania ograniczy się do dwóch katedr lub pałaców dziennie. Dalej będzie już chodzić sama. Dotarli na plac Świętego Marka, pierwszy przystanek wszystkich zwiedzających, gdzie spędzili pierwszą godzinę w kawiarnianym ogródku, popijając drinki i przyglądając się wielkim falom studentów i turystów, przewalającym się po wspaniałym placu. Wyjaśniła, że zbudowano go przed czterystu laty, kiedy Wenecja była bogatym i potężnym miastem-państwem. Pałac Dożów, potężna twierdza,

chroniąca Wenecję od przynajmniej siedmiuset lat, znajdował się w jednym rogów.

Kościół, a właściwie bazylika Świętego Marka, był ogromny i przyciągał największe tłumy.

Livvy poszła kupić bilety, a Rick zadzwonił do Sama. Sam oglądał nagranie wczorajszego meczu Bergamo z Mediolanem, typowe zajęcie w poniedziałkowe popołudnie trenera przygotowującego się do Super Bowl.

- Gdzie jesteś? - zapytał Sam.
- W Wenecji.
- Z tą dziewczynką?
- Ma dwadzieścia jeden lat, trenerze. Owszem, jest tuż obok.
- Bergamo robi wrażenie, żadnych zgubionych piłek, tylko dwie kary. Wygrało trzema przyłożeniami. Teraz, kiedy nie mają już tej serii zwycięstw na karku, wydają się o wiele lepsi.

- A Maschi?
- Wspaniały. Znokautował ich quarterbacka w trzeciej kwarcie.
- Już mnie nokautowano. Podejrzewam, że wysłał na Fabrizia dwóch Amerykanów i spuszcza mu łomot. To może być dla niego długi dzień. Tyle, jeżeli chodzi o grę górą. Maschi może zabić grę biegową.

- Dzięki Bogu za punktowanie - parsknął Sam. - Masz plan?
- Mam plan.
- Mógłbyś łaskawie podzielić się nim ze mną, żebym mógł dziś zasnąć?

- Nie. Jeszcze nie skończyłem. Parę dni w Wenecji i dopracuję wszystkie sztuczki.

- Spotkajmy się w czwartek po południu i popracujemy nad tym.
- Jasne, trenerze.

Rick i Livvy wlekli się noga za nogą przez bazylikę Świętego Marka, ramię w ramię z grupką holenderskich turystów; przewodnik trajkotał w każdym języku, w jakim się do niego zwracano. Po godzinie Rick zwiął. W kawiarni pił piwo w zachodzącym słońcu i czekał cierpliwie na Livvy.

Pospacerowali po śródmieściu Wenecji i przeszli mostem Rialto, nie kupując niczego. Jak na córkę bogatego lekarza zachowywała się

bardzo wstrzemięźliwie. Małe hoteliki, tanie posiłki, pociągi i promy - wyraźnie przejmowała się tym, ile co kosztuje. Upierała się, by płacić za wszystko połowę albo przynajmniej to proponowała. Rick nieraz jej powtarzał, że wprawdzie z całą pewnością nie jest zamożny ani wysoko opłacany, ale nie ma zamiaru martwić się wydatkami. I nie pozwalał płacić jej za wiele rzeczy.

W czasie nocnej sesji ich łóżko z metalową ramą przewędrowało na środek pokoju, a hałas skłonił signore Stellę, by następnego ranka w czasie śniadania szepnąć coś dyskretnie Livvy.

- Co ci powiedziała? - zapytał Rick, gdy Stella odeszła.

Livvy nagle się zaczerwieniła.

- Za bardzo hałasowaliśmy w nocy. Były skargi - powiedziała ci-chutko.

- I co ty na to?

- Że trudno, nie możemy przestać.

- Zuch dziewczyna.

- Nie przypuszczała, że moglibyśmy, ale przeniesie nas do innego pokoju, z cięższym łóżkiem.

- Uwielbiam wyzwania.

W WENECJI NIE MA DŁUGICH BULWARÓW. Ulice wiją się wzdłuż kanałów i przechodzą nad nimi po najrozmaitszych mostach. Ktoś kiedyś naliczył czterysta mostów w mieście i w środę wieczorem Rick był pewien, że widział je wszystkie.

Tkwiał pod parasolem w ogródku kawiarnianym, pykał leniwie kubańskim cygarem i popijał campari z lodem, czekając, aż Livvy zaliczy kolejną świątynię, tym razem kościół San Fantin. Wcale nie był nią zmęczony, wręcz przeciwnie. Jej energia i ciekawość zachęciła go do używania szarych komórek. Była cudowną kompanką, łatwo jej było dogodzić i zawsze chętnie robiła wszystko, co zapowiadało dobrą zabawę. Wciąż czekał, czy nie wyjdzie z niej rozkapryszony, bogaty dzieciak, egoistyczna królowa akademika. Może jednak w ogóle niczego takiego w niej nie było.

Nie był też zmęczony Wenecją. Prawdę mówiąc, miasto oczarowało go niezliczonymi zaułkami, ślepymi uliczkami i ukrytymi placami. Owoce morza były niesamowite i bardzo cieszyła go przerwa w jedzeniu

wszystkich rodzajów *pasta*. Widział wystarczająco dużo katedr, pałaców i muzeów, aby jego zainteresowanie historią i sztuką miasta zostało rozbudzone.

Ale Rick był futbolista i pozostał mu jeszcze jeden mecz. Mecz, który musiał wygrać, aby uzasadnić swoją obecność, swoje istnienie oraz związane z nim, co prawda skromne, ale jednak koszty. Poza sprawą pieniędzy, był kiedyś quarterbackiem w NFL i jeżeli tu, we Włoszech, nie byłby w stanie zebrać do kupy ofensywy tak, by wygrała jeszcze jeden mecz, musiałby przyznać, że czas zawiesić buty na kołku.

Rzucił od niechcenia, że musi wyjechać w czwartek rano. Odniósł wrażenie, że się tym nie przejęła. W czasie obiadu we Fiore, oznajmił:

- Jutro muszę pojechać do Parmy. Trener Russo chce się ze mną spotkać po południu.

- Chyba tu zostanę - odpowiedziała bez wahania. Wszystko miała zaplanowane.

- Na długo?

- Jeszcze na kilka dni. Wszystko będzie okej.

Wcale w to nie wątpił. Wprawdzie woleli być razem, ale oboje potrzebowali własnej przestrzeni i potrafili zniknąć bez trudu. Livvy mogłaby objechać samotnie cały świat, przyszłoby jej to łatwiej niż jemu. Nic jej nie wyprowadzało z równowagi ani nie onieśmiało. Przystosowywała się w locie niczym doświadczony podróżnik i nie wahała się posłużyć uśmiechem i urodą, aby osiągnąć to, czego chciała.

- Wrócisz na Super Bowl? - zagadnął.

- Nie ośmieliłabym się go opuścić.

- Mądra dziewczynka.

Zmówili węgorza, barwęnę i mątwy, a kiedy się najedli, poszli nad Canale Grande, by u Harry'ego wypić kieliszek na dobranoc. Siedzieli przytuleni w kącie, obserwując tłum hałaśliwych Amerykanów, i nie tęsknili za domem.

- Co będziesz robił, kiedy sezon się skończy? - zapytała. Przytuliła się do ramienia Ricka, jego dłoń gładziła jej kolana. Popijali powoli, jakby mieli zamiar siedzieć tu całą noc.

- Nie jestem pewien. A ty?
- Muszę jechać do domu, ale nie chcę.
- Ja nie muszę i nie chcę. Ale jeszcze nie bardzo wiem, co miałbym tu robić.

- Chcesz zostać? - spytała i jakoś udało się jej przytulić jeszcze bardziej.

- Z tobą?
- Masz na oku kogoś innego?
- Nie o tym myślałem. Zostaniesz?
- Można by mnie do tego namówić.

Cięższe łóżko było w większym pokoju, co rozwiązało problem skarg. W czwartek spali do późna, a potem niezręcznie się pożegnali. Rick machał do niej, gdy prom odbijał i wypływał na Canale Grande.

DŹWIĘK WYDAWAŁ SIĘ ZNAJOMY. JUŻ go kiedyś słyszał, ale pogrążony we śnie nie był w stanie przypomnieć sobie gdzie i kiedy. Usiadł na łóżku i zobaczył, że jest cztery minuty po trzeciej w nocy. W końcu udało mu się wszystko poukładać. Ktoś dzwonił do drzwi.

- Już idę! - warknął i intruz zdjął palec z białego guzika w korytarzu. Rick wciągnął spodenki gimnastyczne i podkoszulek. Zapalił światło i nagle przypomniał sobie detektywa Roma i „niearesztowanie” sprzed kilku miesięcy. Pomyślał o Francu, swoim osobistym sędzim, i uznał, że nie ma się czego obawiać.

- Kto tam? - zapytał, niemal przykładając usta do górnej zasuwy.
- Chciałbym z panem porozmawiać. - Niski, szorstki głos. Amerykanin. Cień nosowej wymowy.
- W porządku, rozmawiamy.
- Szukam Ricka Dockery'ego.
- Znalazł go pan. I co dalej?
- Proszę pana... Muszę zobaczyć się z Livvy Galloway.
- Jest pan jakimś gliną? - Rick nagle pomyślał o swoich sąsiadach i spokoju, który zakłóca, krzycząc przez zamknięte drzwi.
- Nie.

Rick otworzył drzwi i stanął oko w oko z ubranym w tani, czarny garnitur mężczyzną o potężnym torsie. Wielka głowa, gęste wąsy, mocno podkrążone oczy. Pewnie długa historia przyjaźni z butelką. Facet wyciągnął dłoń i się przedstawił:

- Jestem Lee Bryson, prywatny detektyw z Atlanty.

- Miło mi - odparł Rick, nie podając ręki. - A to kto?

Za Brysonem stał Włoch o ponurej twarzy. Miał na sobie ciemny garnitur, który kosztował parę doliczając więcej niż ubranie Brysona.

- Lorenzo. Jest z Mediolanu.

- To rzeczywiście wiele wyjaśnia. Gliniarz?

- Nie.

- A więc nie ma tu żadnego gliniarza, co?

- Nie, jesteśmy prywatnymi detektywami. Czy mógłbym zająć panu tylko dziesięć minut?

Rick wpuścił ich do środka i zamknął drzwi. Poszedł za nimi do pokoju, gdzie obaj usiedli tuż obok siebie na sofie. Rick usadowił się w krześle po drugiej stronie pokoju.

- Lepiej, żeby tak było - powiedział.

- Pracuję dla prawników w Atlancie, panie Dockery. Mogę mówić do pana Rick?

- Nie.

- W porządku.

- Ci prawnicy prowadzą sprawę rozwodową doktora Gallowaya i pani Galloway i przysłali mnie, żebym zobaczył się z Livvy.

- Nie ma jej tutaj.

Bryson rozejrzał się po pokoju i jego wzrok zatrzymał się na parze czerwonych pantofli na wysokich obcasach, stojących na podłodze koło telewizora. Na stole leżała brązowa torebka. Brakowało tylko stanika dyndającego na żyrandolu. Takiego z lamparcimi cętkami. Lorenzo tylko się w Ricka wpatrywał, jakby jego rola ograniczała się do dokonania w razie potrzeby zabójstwa.

- Sądzę, że jest - oznajmił Bryson.

- Nie obchodzi mnie, co pan sądzi. Była tu, ale teraz jej nie ma.

- Mogę się rozejrzeć?

- Oczywiście. Pokaże mi pan nakaz rewizji i może pan nawet przetrząsnąć brudną bieliznę.

Bryson znowu odwrócił wielką głowę.

- Mieszkanie jest małe - powiedział Rick. - Z trzema pokojami. Z miejsca, na którym pan siedzi, widać dwa z nich. Zapewniam pana, że Livvy nie ukrywa się w łazience.

- Gdzie jest?
- Dlaczego chce pan wiedzieć?
- Przysłano mnie tu, żebym ją znalazł. To moja praca. Rodzice bardzo się o nią niepokoją.
- Może nie ma ochoty wracać do domu. Może chce być z dala właśnie od rodziców.
- Gdzie ona jest?
- Ma się doskonale. Lubi podróżować. Trudno będzie panują znaleźć.

Bryson szarpnął koniuszek wąsa i jakby się uśmiechnął.

- Może mieć kłopoty z podróżowaniem - stwierdził. - Jej wiza wygasła trzy dni temu.

Rick przyjął to do wiadomości, ale nie ustępował.

- Przecież to żadna zbrodnia.
- Nie, ale sprawy mogą się skomplikować. Musi wrócić do domu.
- Być może. Niech pan jej to wszystko wytłumaczy, a kiedy pan to zrobi, jestem pewien, że podejmie taką decyzję, na jaką będzie miała ochotę. To duża dziewczynka, panie Bryson, potrafi o siebie zadbać. Nie potrzebuje pana, mnie ani nikogo z rodziny.

Nocny nalot nie udał się i Bryson rozpoczął odwrót. Z kieszeni marynarki wyszarpnął jakieś dokumenty, cisnął je na stolik i powiedział, starając się, by zabrzmiało to dramatycznie:

- Sprawa wygląda tak. Tu jest bilet w jedną stronę na samolot z Rzymu do Atlanty. Na najbliższą niedzielę. Pojawi się, nikt nie będzie pytał o wizę. Tym drobiazgiem już się zajęto. Jeśli się nie pojawi, przedłuży pobyt nielegalnie, bez odpowiednich dokumentów.

- To wszystko bardzo piękne, ale mówi pan do niewłaściwej osoby. Jak już powiedziałem, panna Galloway sama podejmuje decyzje. Ja tylko udostępniam jej pokój, kiedy jest tu przejazdem.

- Ale pan z nią porozmawia.
- Być może, choć nie wiem, czy zobaczę się z nią przed niedzielą, czy też może dopiero za miesiąc. Lubi wędrować.

Bryson nie mógł już nic więcej zdziałać. Zapłacono mu, żeby znalazł dziewczynę, pogroził jej trochę, by zechciała wrócić do domu, i wręczył

bilet. Poza tym nic nie mógł zrobić. Nie miał żadnej władzy. Ani we Włoszech, ani gdzie indziej.

Wstał, Lorenzo naśladował każdy jego ruch. Rick nie podniósł się z krzesła. Bryson zatrzymał się w drzwiach.

- Jestem kibicem Falconsów. Czy parę lat temu nie grał pan w Atlancie?

- Grałem - odparł Rick szybko, nie podejmując tematu.

Detektyw jeszcze raz popatrzył na mieszkanie. Trzecie piętro, bez windy. Stary budynek przy wąskiej ulicy starego miasta. Daleko od jaskrawych świateł NFL.

Rick wstrzymał oddech, czekając na złośliwy komentarz. Może coś w tym rodzaju: „Przypuszczam, że wreszcie znalazł pan swoje miejsce”. Albo: „Niezły postęp w karierze”.

Sam przejął inicjatywę:

- Jak mnie znaleźliście?

Otwierając drzwi, Bryson rzucił:

- Jedna z jej współlokatorek zapamiętała pańskie nazwisko.

BYŁO JUŻ PRAWIE POŁUDNIE, kiedy wreszcie odebrała telefon. Jadła lunch na placu Świętego Marka i karmiła gołębie. Rick opowiedział jej o wizycie Brysona.

Najpierw się wściekła - jak rodzice ośmielają się ją śledzić i wtargać w jej życie! Wściekła się na prawników, wynajmujących oprychów, którzy wtargnęli do mieszkania Ricka o nieludzkiej porze. I na koleżankę, która ją zakablowała. Kiedy się uspokoiła, ciekawość wzięła górę i zaczęła się zastanawiać, które z rodziców to wykombinowało. Nie ma mowy, żeby działali wspólnie. I wtedy przypomniała sobie, że ojciec ma prawników w Atlancie, a matka w Savannah.

Kiedy wreszcie zapytała go o zdanie, Rick, który od wielu godzin właściwie nie myślał o niczym innym, powiedział, że powinna wziąć bilet i wrócić do domu. Tam na miejscu będzie mogła załatwić sprawę wizy i wrócić najszybciej jak się da.

- Nic nie rozumiesz - powtórzyła kilka razy i rzeczywiście nie rozumiał. Jej wytłumaczenie było zaskakujące. Nigdy w życiu nie skorzysta z biletu przysłanego przez ojca; udawało mu się manipulować

nią przez dwadzieścia jeden lat i ma już tego dosyć. Jeżeli wróci do Stanów, to tylko na swoich warunkach.

- Za nic na świecie nie wezmę tego biletu i ojciec o tym wie - powiedziała.

Rick zmarszczył czoło, podrapał się w głowę i po raz kolejny był wdzięczny losowi za to, że ma nudną i zwyczajną rodzinę.

Nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie: jak bardzo poraniono tę dziewczynę?

A co z nieważną wizą? Nie było nic zaskakującego w tym, że opracowała już plan. Włochy, jak to Włochy, miały furtki w przepisach imigracyjnych. Jedna z nich nazywała się *permesso di soggiorno*, czyli pozwolenie na pobyt. Czasami przyznawano je obcokrajowcom, legalnie przebywającym w kraju, ale którym wiza już wygasła. Zazwyczaj takie pozwolenie było ważne dziewięćdziesiąt dni.

Zastanawiała się, czy sędzia Franco nie zna przypadkiem kogoś w urzędzie imigracyjnym. A może signor Bruncardo? Albo Tommy, urzędnik państwowy, obrońca, który nie umie gotować? Z całą pewnością ktoś z Panter może znaleźć kogoś, kto popchnie sprawę.

Cudowny pomysł, uznał Rick. A na pewno będzie wykonalny, jeśli wygrają Super Bowl.

PRZEPYCHANKI Z KABLÓWKĄ w ostatniej chwili spowodowały przesunięcie kickoffu na ósmą wieczór w sobotę. Transmisja meczu na żywo, nawet na mniej ważnym kanale, była ważna dla ligi i całego sportu, a Super Bowl w świetle reflektorów oznacza większe zainteresowanie i liczniejszy, bardziej hałaśliwy tłum. Późnym popołudniem parkingi wokół stadionu były pełne, a fanatycy futbolu świętowali włoską wersję tailgate ¹⁰⁵. Z Parmy i Bergamo przyjeżdżały autobusy pełne kibiców. Na ogrodzeniu stadionu rozwieszono transparenty jak na meczu piłki nożnej. Nad boiskiem unosił się maleńki balon na gorące powietrze. Jak zawsze był to najważniejszy dzień w roku dla futbolu amerykańskiego i jego niewielki, ale wierny kontyngent kibiców przybył do Mediolanu na mecz wieńczący sezon.

Spotkanie miało się odbyć na pięknie utrzymanym małym boisku używanym przez miejscową ligę piłki nożnej. Na tę okazję zdemontowano bramki, a na całym boisku starannie wymalowano linie, nawet z krótkimi oznaczeniami przy liniach bocznych biegnących w odległości jarda. Jedno pole punktowe było w kolorze czarnym i białym ze słowem „Parma” pośrodku. Znajdujące się w odległości stu jardów (dokładnie!) ¹⁰⁶ pole punktowe Bergamo było złote i czarne.

Przed meczem wygłosili przemówienia oficjalni przedstawiciele ligi, przedstawiono dawne futbolowe sławy, odbyły się ceremonialny rzut

monetą, wygrany przez Lwy, i długotrwałe przedstawianie rozpoczynających składów. Kiedy drużyny w końcu ustawiły się do pierwszego wykopu, obie ławki były kłębkami nerwów, a tłum szalał.

Nawet Rick, spokojny, niewzruszony quarterback, chodził po linii bocznej, klepał kolegów po ochraniaczach barków i żądał krwi. To miał być taki futbol, jaki lubił.

Bergamo zagrało trzy próby i musiało punktować. Pantery nie miały w pogotowiu kolejnej zagrywki: „Zabić Maschiego”. Maschi nie był aż tak głupi. Im więcej razy Rick oglądał nagranie, tym bardziej podziwiał i obawiał się środkowego linebackera. Był w stanie rozbić atak tak samo jak wielki L.T. Przy pierwszej próbie, jak przewidywali Rick i Sam, Fabrizio był podwójnie kryty przez dwóch Amerykanów - McGregora i Profesora. Dobre posunięcie drużyny Lwów i początek trudnego dnia dla Ricka i ofensywy. Wywołał ścieżkę przy linii bocznej. Fabrizio złapał piłkę i został popchnięty przez Profesora, a następnie uderzony w plecy przez McGregora. Ale flag nie było. Rick naskoczył na sędziego, a Nino i Duńczyk Karl pognali za McGregorem. Sam wybiegł na boisko, klnąc na całe gardło po włosku, i natychmiast zarobił przewinienie osobiste. Sędziom udało się zapobiec bójce, ale awantura trwała długo. Fabrizio był mniej więcej cały i dokuśtykał z powrotem do zbiórki. W sytuacji druga i dwadzieścia Rick odrzucił piłkę do biegnącego szeroko Giancarla, a Maschi podciął go na linii. Pomiędzy zagraniami Rick nadal wściekał się na sędziego, a Sam opieprzał sędziego w głębi pola.

W trzeciej, gdy do zdobycia pierwszej próby było dużo jardów, Rick postanowił przekazać piłkę Francowi i mieć już za sobą tradycyjne zgubienie futbolówki w pierwszej kwarcie. Franco i Maschi zderzyli się potężnie na pamiętkę poprzedniego spotkania i zagrywka przyniosła parę jardów bez straty futbolówki.

Różnica trzydziestu pięciu punktów, jaką przed miesiącem wygrali z Bergamo, nagle zaczęła sprawiać wrażenie cudu.

Dominowała defensywa, drużyny punktowały raz za razem. Fabrizio został zneutralizowany, przy swojej wadze siedemdziesięciu dziewięciu kilogramów obrywał niemilosiernie. Claudio opuścił dwa rzucone za mocno krótkie podania.

Pierwsza kwarta zakończyła się bez punktów dla obu drużyn, nudna gra uspokoiła tłum. Być może nudna dla patrzących, ale na linii wznowienia wymiana ciosów była zaciekle. Każda próba była ostatnią w sezonie i nikt nie ustępował nawet na cal. Przy upuszczonym snapie Rick obiegnął prawe skrzydło w nadziei, że wybiegnie z piłką poza boisko, kiedy jak diabeł z pudełka pojawił się Maschi i staranował go kaskiem w kask. Rick zerwał się na równe nogi, nic wielkiego się nie stało, ale na linii bocznej roztarł skronie i starał się jakoś otrząsnąć po zderzeniu.

- Dobrze się czujesz? - mruknął Sam, przechodząc obok.
- Wspaniale.
- W takim razie zrób coś.
- Dobra.

Ale nic nie działało. Tak jak się obawiali, Fabrizio został wyłączony z gry, a razem z nim cała gra górą. Nad Maschim nie można było zapanować. Był zbyt silny na środku i zbyt szybki w biegach na zewnątrz. Na boisku wyglądał o wiele lepiej niż na wideo. Każdy atak zdobywał kilka pierwszych prób, ale żaden nie zbliżył się do red zone¹⁰⁷. Punterzy zaczęli być zmęczeni.

Trzydzieści sekund przed końcem pierwszej połowy kopacz Lwów celnie strzelił z czterdziestu dwóch jardów i Lwy zeszyły do szatni, prowadząc trzy do zera.

Charley Cray - o dziewięć kilogramów lżejszy, ze zdrutowaną szczęką, wychudzony, z fałdami obwisłej skóry na policzkach i podbródku - ukrył się w tłumie i w przerwie wystukał kilka notatek na laptopie.

„Nieźle miejsce na mecz; ładny stadion, dobrze udekorowany, pełen entuzjazmu mniej więcej pięciotysięczny tłum.

Dockery może nie dać sobie rady nawet tu, we Włoszech. W pierwszej połowie miał tylko trzy udane podania na osiem prób i dwadzieścia dwa jardy górą, do tego bez punktów.

Muszę jednak przyznać, że to prawdziwy futbol. Walka jest brutalna, zawodnicy biegają bardzo szybko i mają wielką wolę walki. Nikt nie odpuszcza, ci faceci grają nie dla pieniędzy, ale by okazać swoją dumę, a to potężna zachęta.

Dockery jest jedynym Amerykaninem w drużynie Parmy i można się zastanawiać, czy byliby lepsi bez niego. Zobaczymy”.

W SZATNI NIE SŁYCHAĆ BYŁO KRZYKÓW. Sam chwalił obronę i jej nieustępliwość: Trzymajcie się dalej. Wymyślimy sposób zdobycia punktów.

Trenerzy wyszli i zaczęli mówić zawodnicy. Nino namiętnie wychwalał bohaterstwo defensywy i apelował do ataku, by zdobył kilka punktów. To nasza chwila, oznajmił. Być może niektórzy z nas nie będą już mieli drugiej szansy. Atakujcie. Trzymajcie się. Kiedy skończył, otarł łzy.

Tommy wstał i oświadczył, że kocha wszystkich w tym pokoju. To jego ostatni mecz i bardzo chce skończyć grać jako mistrz.

Na środek wyszedł Pietro. To nie jest jego ostatni mecz, ale niech go diabli wezmą, jeżeli jego dalszą karierą sportową mieliby kierować chłopcy z Bergamo. Oświadczył też głośno, że w drugiej połowie Lwy nie zdobędą żadnego punktu.

Kiedy Franco miał już wszystko podsumować, Rick stanął obok niego i podniósł rękę. Zaczął mówić, a Franco tłumaczył:

- Obojętne, czy wygramy, czy przegramy, dziękuję wam, że pozwiliście mi grać przez ten sezon w waszej drużynie.

Stop. Tłumaczenie. W szatni panowała cisza. Koledzy chłonęli każde jego słowo.

- Obojętne, czy wygramy, czy przegramy, jestem dumny, że zostałem Panterą, jednym z was. Dziękuję za to, jak mnie przyjęliście.

Przekład.

- Obojętne, czy wygramy, czy przegramy, uważam was wszystkich nie tylko za przyjaciół, ale za braci.

Przekład. Niektórzy sprawiali wrażenie, że zaraz się rozpłaczą.

- Bawiłem się tu lepiej niż w drużynach NFL. I nie przegramy tego meczu. - Kiedy skończył, Franco chwycił go w niedźwiedzi uścisk, a drużyna wiwatowała. Klepali go po plecach i ramionach.

Elokwentny jak zawsze Franco zajął się teraz historią. Żadna drużyna z Parmy nie zdobyła Super Bowl i następna godzina będzie dla nich najwspanialsza. Dokopali Bergamo przed czterema tygodniami,

przełamali ich świetną passę, odesłali ich do domu w niesławie i na pewno zwyciężą znowu.

DLA TRENERA RUSSO I JEGO ROZGRYWAJĄCEGO pierwsza połowa była idealna. Podstawowy futbol - daleki od skomplikowanej gry w wielkich college'ach i drużynach zawodowych - można często zaplanować jak starożytną bitwę. Uporczywy atak na jednym froncie może przygotować grunt do zaskoczenia na innym. Te same monotonne ruchy mają na celu uśpić uwagę przeciwnika. Na początku zrezygnowali z gry górą. Nie byli zbyt pomysłowi przy grze dołem. Bergamo zatrzymywało wszystko i byli pewni, że Panterom nie pozostał żaden atut.

W drugim zagrananiu w drugiej połowie Rick zanurkował oddanie piłki do Franca, udał odrzucenie do Giancarla, a następnie ruszył sprintem w prawo. Maschi, zawsze szybki do piłki, był daleko z lewej, nie na pozycji. Rick przebiegł dwadzieścia dwa jardy i wybiegł poza boisko, by uniknąć McGregora.

Sam podszedł do Ricka biegnącego na zbiórkę.

- Działa. Zachowaj to na później.

Po trzech kolejnych zagraniach Pantery punktowały znowu. Pietro i Silvio wybiegli na boisko, szukając kogoś do poturbowania. Trzykrotnie zatrzymali grę dołem. W miarę trzeciej kwarty kolejne punkty poleciały w górę i obie drużyny zmagaly się na środku boiska niczym dwóch nieruchawych bokserów wagi ciężkiej, którzy stoją pośrodku ringu, przyjmując i zadając ciosy, i nie ustępując ani na krok.

Na początku czwartej kwarty Lwy cał po calu doprowadziły piłkę aż do dziewiętnastego jardu, najbliżej jak dotąd pola punktowego rywali, i w sytuacji czwarta i pięć ich kopacz bez trudu zdobył punkty.

Na dziesięć minut przed końcem Pantery przegrywały sześcioma punktami. Emocje i panika na ich ławce sięgnęły zenitu. Kibice nie pozostawali w tyle, atmosfera wydawała się przesycona elektrycznością.

- Czas na finał - powiedział Samowi Rick, gdy obserwowali wykop.

- Tak. Nie daj się skrzywdzić.

- Żartujesz? Nokautowali mnie lepsi zawodnicy.

W pierwszej próbie Giancarlo zdobył pięć jardów biegiem na zewnątrz. W drugiej Rick zamarkował takie samo zagranie, zatrzymał jednak piłkę i niezaatakowany obiegł szeroko prawą stronę linii ofensywnej. Zaliczył dwadzieścia jardów, gdy dopadł go szarżujący nisko i ostro McGregor. Rick opuścił głowę, doszło do brutalnego zderzenia. Obaj szybko zerwali się na nogi. Nie było czasu na mroczki przed oczami i miękkie kolana.

Giancarlo pobiegł w prawo i został powalony przez Maschiego. Rick znów skręcił, tym razem w lewo i zaliczył piętnaście jardów, zanim McGregor dopadł jego kolana. Jedyną taktyką pozwalającą na zniwelowanie szybkości jest wykonywanie biegów w odwrotnych niż przewidywane kierunkach. Nagle ofensywa zaczęła wyglądać inaczej. Running backowie w ruchu, trzej receiverzy z jednej strony, dwóch tight endów ¹⁰⁸, nowe zagrania i nowe formacje. Z formacji wishbone ¹⁰⁹. Rick odebrał piłkę od centra, zamarkował jej oddanie do Franca, odwrócił się w stronę pola punktowego rywala i odrzucił ją do Giancarla w momencie, w którym uderzył go Maschi. Idealne rozwiązanie - Giancarlo przebiegł jedenaście jardów. Z formacji shotgun kolejny bieg Ricka zakończył się tym razem na osiemnastym jardzie.

Teraz Maschi kombinował, a nie tylko reagował. A miał o czym myśleć. McGregor i Profesor odsunęli się o krok lub dwa od Fabrizia, bo nagle musieli również zatrzymać pędzącego quarterbacka. Siedem twardych zagrań przesunęło piłkę na trzeci jard i przy czwartej i sytuacji goal ¹¹⁰ Filippo zdobył trzy punkty łatwym kopnięciem na bramkę. Sześć minut przed końcem Bergamo prowadziło sześć do trzech.

Przed kickoffem Alex Olivetto zebrał defensywę. Klął, klepał po kaskach i świetnie się czuł, zagrzewając swoje wojsko do walki. Może trochę przesadził. W drugiej próbie Pietro skasował quarterbacka i za osobisty faul oddał piętnaście bezcennych jardów. Seria zagrań Bergamo zatrzymała się na połowie boiska, a wspaniały punt spowodował, że piłka przestała się toczyć dopiero na piątym jardzie.

Dziewięćdziesiąt pięć jardów do zdobycia w trzy minuty. Wbiegając na boisko, Rick ominął Sama. W zgromadzonych wokół niego graczach

wyczuł strach. Powiedział im, żeby się odprężyli, nie gubili piłki, nie prowokowali kar. Mają tylko uderzać mocno i wkrótce znajdą się w polu punktowym. Tłumaczenie nie było potrzebne.

Kiedy podchodzili do linii, Maschi zaczął się z niego wyśmiewać. „Mógłbyś to zrobić, Baranie. Rzuć mi podanie”. Ale Rick odrzucił piłkę do Giancarla, który chwycił ją mocno i przebiegł pięć jardów. W drugiej próbie Rick odbił w prawo, poszukał wzrokiem Fabrizia po drugiej stronie boiska, zobaczył zbyt wiele złotych koszulek i zdecydował się pobiec z piłką. Franco, niech go Bóg błogosławi, wyrwał się z kłębowiska i dotkliwie zablokował Maschiego. Rick zaliczył czternaście jardów i wybiegł za boisko. W pierwszej próbie Fabrizio znowu wykonał kolejnego, jak w całym meczu, bezużytecznego curia, ale gdy tym razem Rick ruszył z piłką, Fabrizio na pełnym gazie wyprzedził McGregora i Profesora, pozostawiając ich daleko w tyle. Rick zatrzymał się kilka cali przed linią. Maschi pędził, by go skasować.

W każdym meczu jest jedna lub dwie takie chwile, kiedy istnieje szansa podania do nieobstawionego skrzydłowego, ale nieblokowany, potężny liniowy szarżuje na quarterbacka. Rozgrywający ma wtedy do wyboru - albo zacisnąć zęby i poświęcając własne ciało, wykonać to cholerne podanie, po którym zostanie rozdeptany, albo schować piłkę pod pachę i modląc się, by dożyć do następnego zagrania, biec z nią stronę pola punktowego rywali.

Rick ustawił się i rzucił piłkę jak najdalej. Chwilę potem kask Maschiego niemal złamał mu szczękę. Podanie leciało perfekcyjną spiralą, tak wysoko i daleko, że tłum jęknął, nie wierząc własnym oczom. Piłka sunęła w powietrzu jak idealny punt przez kilka długich sekund. Wszyscy zamarli.

Wszyscy poza Fabriziem, który frunął i usiłował złapać piłkę. Początkowo nie sposób było obliczyć, gdzie może wylądować, ale ćwiczyli Hail Mary ¹¹¹ setki razy. „Tylko dostań się na pole punktowe - powtarzał Rick. - Piłka tam będzie”. I kiedy zaczęła opadać, Fabrizio uświadomił sobie, że musi przyspieszyć. Mocniej przebierał nogami, jego stopy prawie nie dotykały trawy. Na linii pięciu jardów wybił się, jak skoczek w dal na igrzyskach olimpijskich, i pożegłował w powietrzu z wyciągniętymi na całą długość rękami, palcami chwytając piłkę. Złapał

ją na linii pola punktowego, mocno uderzając w ziemię. Odbił się w górę jak akrobata i pomachał piłką, pokazując ją całemu światu.

Widzieli to wszyscy poza Rickiem, który kołysał się na czworakach, próbując sobie przypomnieć, jak się nazywa. Gdy trybuny ryknęły, Franco pomógł mu wstać i doholował go na linię boczną, gdzie rzuciła się na niego cała drużyna. Rick zdołał utrzymać się na nogach, ale nie bez pomocy.

Sam miał wrażenie, że Rick poległ, stracił przytomność, ale był zbyt oszołomiony fantastycznym przyjęciem podania, by troszczyć się o to, co stało się z jego quarterbackiem.

Na boisku pojawiły się żółte flagi, gdy uszczęśliwione Pantery wybiegły na boisko ¹¹². Sędziowie w końcu przywrócili porządek, odmierzyli piętnaście jardów a Filippo wykonał kopnięcie na podwyższenie za jeden punkt, które spokojnie znalazłoby drogę do bramki, nawet gdyby kopał z połowy boiska.

Charley Cray mógł teraz napisać:

„Piłka przeleciała 76 jardów w powietrzu bez najmniejszego kołysania, ale samo podanie było niczym w porównaniu z tym, jak genialnie zostało złapane. Widziałem wiele wspaniałych przyłożeń, ale szczerze mówiąc, drodzy kibice, to plasuje się na szczycie listy. Chudziutki Włoch, Fabrizio Bonozzi, ocalił Dockery'ego przed kolejną upokarzającą klęską”.

Filippo jeszcze raz wykorzystał przy wykopie buzującą w nim adrenalinę oraz silną nogę i piłka wypadła poza pole punktowe rywali. W trzeciej próbie, gdy Bergamo miało do pokonania wiele jardów, Tommy wyminął lewego obrońcę i zsackował quarterbacka. Jego ostatni mecz z Panterami był najwspanialszy.

Przy czwartej i jeszcze większym polu do zdobycia quarterback Bergamo zgubił źle wysnapaną z formacji shotgun piłkę i w końcu upadł na nią na linii piątego jarda. Ławka Panter znowu eksplodowała, a ich kibice darli się jeszcze głośniejszymi, o ile to możliwe.

Na zegarze zostało jeszcze pięćdziesiąt sekund, a Rick wachał na ławce amoniak. Ofensywę przejął Alberto i po prostu dwa razy ukłęknął z piłką ¹¹³. Upłynął regulaminowy czas gry i Pantery z Parmy zdobyły swój pierwszy Super Bowl.

ZEBRALI SIĘ TRYUMFALNIE U MARIA, w starej pizzerii w północnej części śródmieścia Mediolanu, dwadzieścia minut drogi od stadionu. Signor Bruncardo wynajął cały lokal na tę uroczystość - hojny gest, którego zapewne by nie uczynił, gdyby Pantery przegrały. Tak się jednak nie stało i teraz wszyscy przyjeżdżali autobusami i taksówkami, z radosnymi okrzykami wchodzili w drzwi frontowe i rozglądali się za piwem. Zawodników posadzono przy trzech długich stołach pośrodku sali i wkrótce otoczyli ich wielbiciele - żony, przyjaciółki, kibice z Parmy.

Włączono wideo, a kiedy kelnerzy roznosili tuziny pizz oraz hektolitry piwa, na wielkich ekranach znowu toczył się mecz.

Wszyscy mieli aparaty, zrobiono tysiące zdjęć. Najchętniej fotografowano Ricka. Przytulano go, poklepywano, ściskano, aż zaczęły go boleć plecy, Fabrizio również znajdował się w centrum uwagi, zwłaszcza dziewcząt. The Catch ¹¹⁴ już stał się legendą.

Kark, podbródek, szczęki i czoło Ricka pulsowały bólem. Wciąż dzwoniło mu w uszach. Matteo dał mu środki przeciwbólowe, po których nie można pić alkoholu, nawet piwa. Poza tym nie miał apetytu.

W filmie pominięto wszystkie zbiórki, timeouty i przerwę, a kiedy coraz bliżej było do zakończenia meczu, gwar w lokalu wyraźnie przycichł. Operator odtwarzał teraz nagranie w zwolnionym tempie i kiedy Rick wyskoczył z kieszeni i zamarkował bieg, w pizzerii zapadła cisza. Uderzenie Maschiego nadawało się do pokazywania bez końca w

wiadomościach sportowych, a w Stanach gadające głowy dyskutowałyby o nim z pianą na ustach. W poniedziałek przeglądy sportowe w kabłówkach obwołałyby to „Zderzeniem dnia” i pokazywały co dziesięć minut. Ale U Maria zapadła martwa cisza, kiedy ich rozgrywający poświęcił się, pozostał na miejscu i posłał swoją bombę. Po nokaucie Maschiego rozległo się kilka stłumionych jęków - wszystko odbyło się czysto, całkowicie legalnie i niezwykle brutalnie.

Ale po drugiej stronie boiska był powód do radości.

The Catch został zarejestrowany przepięknie i na zawsze, a oglądanie go po raz drugi i trzeci było równie podniecające jak moment, gdy widziano to na żywo. Fabrizio, całkiem nietypowo dla siebie, zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, ot, po prostu kolejny dzień w pracy. Stać go na wzięcej.

Kiedy zjedzono już pizzę i film się skończył, zebrani przystąpili do załatwienia kilku formalności. Po długim przemówieniu signora Bruncarda i krótkim Sama obaj pozwali z pucharem Super Bowl, by uwiecznić tę najwspanialszą chwilę w historii Panter. Kiedy zaczęły się pijackie pieśni, Rick zrozumiał, że pora iść. Długa noc miała się właśnie stać o wiele dłuższa. Wyszedł dyskretnie z pizzerii, złapał taksówkę i wrócił do hotelu.

DWA DNI PÓZNIEJ spotkał się z Samem w Sorelle Picchi przy Strada Farina, niedaleko swojego domu. Mieli parę spraw do obgadania, ale najpierw jeszcze raz omówili mecz. Ponieważ Sam nie pracował, wypili do nadziewanej pasty butelkę lambrusco.

- Kiedy wybierasz się do Stanów? - spytał Sam.
- Nie wiem. Nie spieszy mi się.
- To coś nowego. Zazwyczaj Amerykanie kupują bilet na dzień po ostatnim meczu. Nie tęsknisz za domem?
- Muszę zobaczyć moich starych, ale „dom” to dla mnie dość mgliste pojęcie.

Sam przeżuwał powoli makaron.

- Myślałeś o przyszłym roku?
- Niezupełnie.
- Możemy o tym pogadać?

- Możemy gadać o wszystkim. To ty stawiasz lunch.
- Lunch stawia signor Bruncardo, a teraz jest w świetnym nastroju. Uwielbia wygrywać, kocha prasę, zdjęcia, trofea. I chce powtórzyć to w przyszłym roku.

- To oczywiste, że chce.

Sam ponownie napełnił oba kieliszki.

- Jak się nazywa twój agent?

- Arnie.

- Arnie. Wciąż u niego jesteś?

- Nie.

- Świetnie, czyli możemy pogadać o interesach?

- Jasne.

- Bruncardo proponuje dwa tysiące pięćset euro miesięcznie, przez dwanaście miesięcy, plus mieszkanie i samochód na cały rok.

Rick wypił duży łyk wina i wbił wzrok w czerwono-białą kratę obrusu.

- Woli dać ci te pieniądze - ciągnął Sam - niż wydawać je na kolejnych Amerykanów. Zapytał, czy możemy wygrać w przyszłym roku z tą samą drużyną. Powiedziałem, że tak. Mam rację?

Rick z krzywym uśmiechem skinął głową.

- Dlatego daje ci taki dobry kontrakt.

- Nie jest zły - przyznał Rick, mniej myśląc o pieniądzach, a bardziej o mieszkaniu dla dwóch osób. Pomyślał też o Silviu, który pracował w rodzinnym gospodarstwie, i o Filippie, który prowadził ciężarówkę do przewozu cementu. Obaj daliby się posiekać za taką propozycję, a trenowali i grali równie zawzięcie jak Rick.

Ale nie byli rozgrywającymi.

Kolejny łyk wina. Teraz pomyślał o czterystu tysiącach dolarów, które zapłacili mu w Buffalo, kiedy przed sześcioma laty podpisywał z nimi kontrakt, a także o Randailu Farmerze, koledze z drużyny w Seattle, który dostał osiemdziesiąt pięć milionów dolarów za rzucanie podań przez kolejnych siedem lat. Wszystko jest względne.

- Posłuchaj, Sam. Pół roku temu znieśli mnie w Cleveland z boiska. Obudziłem się dwadzieścia cztery godziny później w szpitalu. Moje trzecie wstrząśnienie mózgu. Lekarz sugerował, żebym dał sobie

spokój z futbolem, matka błagała, żebym się wycofał. W ubiegłą niedzielę ocknąłem się dopiero w szatni. Utrzymałem się na nogach, zszedłem z boiska, chyba świętowałem ze wszystkimi. Ale nie pamiętam tego, Sam. Czwarty raz zostałem znokautowany. Nie wiem, ile razy jeszcze zdołam przeżyć.

- Rozumiem.
- W tym sezonie oberwałem parę razy. To w końcu futbol, a Maschi walnął mnie tak mocno, jakby to była NFL.
- Wycofujesz się?
- Nie wiem. Daj mi trochę czasu, żebym mógł wszystko przemyśleć, dojść z tym do ładu. Jadę parę tygodni popłażować.
- Dokąd?
- Moja konsultantka turystyczna wybrała Apulię, daleko na południu, na obcasie włoskiego buta. Byłeś tam?
- Nie. Mówisz o Livvy?
- Tak.
- A wiza?
- Ona się nie martwi.
- Porywasz ją?
- Wzajemnie się porywamy.

WSIEDLI DO POCIĄGU WCZEŚNIE i już cierpieli z powodu upału, kiedy inni pasażerowie dopiero się schodzili. Livvy zajęła miejsce naprzeciwko niego, zrzuciła pantofle i położyła mu stopy na kolanach. Pomarańczowy lakier. Krótka spódniczka. Kilometry nóg.

Przeglądała rozkład jazdy pociągów w południowych Włoszech. Pytała go o rady, jego życzenia i pomysły, a ponieważ ich nie miał, była wyraźnie zadowolona. Spędzą tydzień w Apulii, potem przeprawią się promem na Sycylię, pobędą tam dziesięć dni, a później popłyną na Sycylię. Zanim nastanie sierpień, skierują się na północ, byle dalej od urlopowiczowi upału, zbadają góry w Veneto i Friuli. Chciała zobaczyć Weronę, Vicencę i Padwę. Chciała zobaczyć wszystko.

Mieli zamiar zatrzymywać się w tanich hotelach i schroniskach, używając jego paszportu, zanim nie załatwią maleńkiego problemu jej wizy. Franco energicznie pracował nad tym trudnym zadaniem.

Będą podróżowali pociągami i promami, taksówkami tylko w razie konieczności. Livvy sporządziła plany, alternatywne plany i warianty planów. Jedynym warunkiem postawionym przez Ricka był limit dwóch katedr dziennie. Pertraktowała, ale w końcu ustąpiła.

Ale nie snuli żadnych planów na później, po sierpniu. Każda myśl o rodzinie wprawiała ją w przerażenie, próbowała całkiem zapomnieć o zamieszaniu w domu. Coraz mniej mówiła o rodzicach, za to coraz więcej o przełożeniu ostatniego roku studiów.

Rickowi to odpowiadało. Teraz, w pociągu, masując jej stopy, przyznawał w duchu, że za tymi nogami poszedłby wszędzie. Pociąg był wypełniony do połowy. Przechodzący obok mężczyźni gapili się na Livvy, ale ona była już duchem na południu Włoch, cudownie nieświadoma uwagi, jaką przyciągały jej gołe stopy i opalone nogi.

Kiedy Eurostar powoli ruszył z peronu, Rick zapatrzył się w okno i czekał. Wkrótce w odległości może sześćdziesięciu metrów od północnego pola punktowego, czy jak to się nazywa w rugby, minęli Stadio Lanfranchi.

Pozwolił sobie na uśmiech głębokiej satysfakcji.

Przypisy

Wszystkie przypisy pochodzą od konsultanta.

- ¹ Quarterback - rozgrywający.
- ² Strona obrony, po której nie jest ustawiony tight end - zawodnik liniowy uprawniony do łapania piłki.
- ³ AFC - American Football Conference - jedna z dwóch konferencji w NFL.
- ⁴ Zespół kanadyjskiej ligi futbolu - Canadian Football League (CFL).
- ⁵ Trzecia i dwanaście, czyli trzecia próba i dwanaście jardów do pokonania, by atak mógł zdobyć pierwszą próbę i podtrzymać serię zagrań ofensywnych, a w efekcie zdobyć punkty. Na zdobycie każdej kolejnej pierwszej próby zespół ma cztery szanse.
- ⁶ Kick-off - wprowadzenie piłki do gry na początku każdej z połów meczu, a także po akcjach punktowych.
- ⁷ Zagranie górą - podanie do przodu zwykle w wykonaniu rozgrywającego, gra dołem; akcje oparte na grze biegowej.
- ⁸ Punt - odkopnięcie piłki, wykonywane zwykle w czwartej próbie, jeśli zespołowi nie uda się zbliżyć do pola punktowego rywali.
- ⁹ World Series- seria finałowa zawodowej ligi bejsbolu - Major League Baseball (MLB).
- ¹⁰ Mecze pucharowe (Bowl) kończą sezon futbolu akademickiego. W tych spotkaniach grają zespoły, które odniosły w sezonie więcej zwycięstw niż porażek. Najbardziej prestiżowym meczem pucharowym jest mecz o mistrzostwo kraju - BCS Championship Bowl.
- ¹¹ Big Ten - jedna z mocniejszych konferencji najwyższej dywizji futbolu akademickiego.
- ¹² NFL Draft - nabór zawodników z lig uniwersyteckich do zawodowej ligi NFL.
- ¹³ W rzeczywistości czwarta liga futbolu akademickiego.
- ¹⁴ Odmiana futbolu amerykańskiego rozgrywana w hali, na przykład w Arena Football League (AFL).
- ¹⁵ Zawodnik, który wykonuje akcje biegowe.
- ¹⁶ Słynna drużyna futbolu akademickiego Ohio State Buckeyes.

- 17 Lineman - zawodnik linii ofensywnej lub defensywnej.
- 18 Superdome - słynna hala w Luizjanie, w której swoje mecze rozgrywają zawodnicy zespołu NFL New Orleans Saints, Carrier Dome - hala, w której gra uniwersytecki zespół futbolowy Syracuse Orange.
- 19 Flag football - bezkontaktowa odmiana futbolu amerykańskiego.
- 20 Formacja ofensywna preferowana szczególnie w grze biegowej.
- 21 Tzw. *misdirection plays* - czyli zagrania, w których obrona spodziewa się biegu w jedną stronę, a running back biegnie w przeciwną.
- 22 Zawodnik trzeciej linii obrony - „ostatnia instancja” formacji defensywnej, szczególnie przy akcjach podaniowych.
- 23 Ole Mississippi Rebels - drużyna futbolu akademickiego.
- 24 Linia wznowienia akcji - *line of scrimmage*.
- 25 Joe Montana - legendarny rozgrywający San Francisco 49ers, zdobywca czterech Super Bowl.
- 26 Według kanonów futbolowych zbyt niski i zbyt lekki na grę w linii ofensywnej.
- 27 Texas A&M Aggies - drużyna futbolu akademickiego Texas A&M University.
- 28 Zespół futbolu akademickiego Iowa Hawkeye.
- 29 Oczywiście, nie chodzi tu o stypendium naukowe, ale stypendium, które częściowo lub całkowicie pokrywa koszty studiów i pozwala uczelniom rekrutować najzdolniejszych sportowców ze szkół średnich.
- 30 Dwuletnia szkoła, w której mogą uczyć się absolwenci szkół średnich. Wiele osób, które uczą się w junior college, kontynuuje potem naukę na uniwersytetach albo w college'ach.
- 31 Zawodnik zwykle torujący drogę swojemu running backowi.
- 32 Nagroda dla zwycięzców finału NFL - Super Bowl.
- 33 Zawodnik, który występował w meczu gwiazd NFL.
- 34 Przyłożenie.
- 35 Przekazanie piłki przez rozgrywającego biegaczowi.
- 36 Nazwa Niepokalane Przyjęcie bierze się z tego, że ta akcja została przeprowadzona 8 grudnia, czyli w dniu Niepokalanego Poczęcia i jest swoistą grą słów *Immaculate Conception* (Niepokalane Poczęcie) - *Immaculate Reception* (Niepokalane Przyjęcie).
- 37 Screen pass - zagranie, w którym formacja ofensywna udaje podanie w głąb pola, pozwalając na penetrację linii ofensywnej szarżującym obrońcom. Po kilku chwilach rozgrywający wykonuje jednak krótkie podanie do runningbacka, a zawodnicy linii ofensywnej torują mu drogę.
- 38 Zawodnicy formacji obrony, którzy zwykle kryją skrzydłowych formacji ofensywnej zespołu przeciwnego.
- 39 Zestaw zagrywek stosowany przez formacje ofensywne, defensywne i specjalne zespołu. Playbooki zespołów nawet amatorskich liczą często kilkaset zagrywek.
- 40 Zespoły NFL przystępują do przygotowań przedsezonowych z większą liczbą graczy niż maksimum określone przez ligę. Przed rozpoczęciem sezonu zespół wybiera ostateczny skład, odrzucając nadmiarowych zawodników.

⁴¹ Running back ustawiony najdalej za rozgrywającym. Zwykle to on biegnie z piłką.

⁴² Zawodnicy drugiej linii obrony, zazwyczaj najbardziej atletyczni w formacji defensywnej.

⁴³ Krótka ścieżka skrzydłowego, w której przebiega on kilka jardów, a następnie skręca pod kątem prostym w stronę linii bocznej.

⁴⁴ Wprowadzenie piłki do gry przez zawodnika formacji ofensywnej. Zazwyczaj piłka jest rzucana lub przekazywana między nogami w ręce będącego tuż za centrem rozgrywającego.

⁴⁵ Żółte flagi rzucane na murawę przez sędziów sygnalizują przewinienie.

⁴⁶ W momencie wprowadzenia piłki do gry wszyscy zawodnicy formacji ofensywnej, poza jednym graczem upoważnionym do poruszania się, ale nigdy w stronę linii wznowienia akcji, muszą stać w bezruchu.

⁴⁷ W momencie wprowadzania piłki do gry przez ofensywę żaden z zawodników obrony nie może przekroczyć linii wznowienia akcji.

⁴⁸ Przekazanie piłki z ręki do ręki przez rozgrywającego do running backa.

⁴⁹ Hole - luka pomiędzy zawodnikami linii ofensywnej. Przed rozpoczęciem zagrywki ofensywnej wszyscy gracze formacji ataku wiedzą, któredy pobiegnie running back.

⁵⁰ Typowa, prosta kadencja, czyli sekwencja sygnałów przygotowywanych do rozpoczęcia akcji: „down”, zawodnicy ustawiają się na pozycjach do rozpoczęcia zagrania, „set” - czekają na sygnał rozpoczęcia akcji, „hut” – moment wprowadzenia piłki do gry.

⁵¹ Three-point stance - sposób, w jaki zwykle ustawieni są zawodnicy linii ofensywnej, a także często fullbackowie - trzecim punktem podparcia jest dłoń dotykająca ziemi. Zawodnicy linii defensywnej często ustawieni są w four-point stance - czyli w pozycji czteropunktowej, w której dotykają ziemi obiema rękami.

⁵² Generalny menedżer zespołu - główna postać w personelu zarządzającym klubem. Odpowiedzialny między innymi za negocjowanie kontraktów z zawodnikami.

⁵³ Czyli w komplecie ochraniaczy - w kaskach, ochraniaczach na ramiona, kolana, itp.

⁵⁴ Zawodnik linii defensywnej ustawiony naprzeciw centra formacji ofensywnej zespołu przeciwnego.

⁵⁵ Sposób wprowadzenia piłki do gry, w którym odrzucana jest ona do rozgrywającego stojącego kilka jardów za centrem, a nie przekazywana z ręki do ręki.

⁵⁶ Członek sztabu trenerskiego odpowiedzialny za wybór zagrywek ofensywnych.

⁵⁷ Secondaries - zawodnicy trzeciej linii obrony, którzy zwykle mają za zadanie obronę przed podaniami ofensywy przeciwników.

⁵⁸ Dive - szybko rozwijająca się zagrywka ofensywna, w której piłkę najczęściej otrzymuje stojący tuż za rozgrywającym fullback. Zwykle jego zadaniem jest zdobyć mały dystans brakujący do kolejnej pierwszej próby lub uzyskania przyłożenia.

591 formation - formacja ofensywna, która swą nazwę zawdzięcza temu, że czterech jej zawodników ustawionych jest w linii - center, rozgrywający, fullback oraz tailback.

⁶⁰ Czyli najbardziej cofnięty running back, bo running backiem jest też fullback.

⁶¹ Zamarkowanie podania górą.

⁶² Zawodnik trzeciej linii obrony, którego zadaniem jest zwykle obrona przed podaniami. Safety jest także często ostatnią instancją obrony.

⁶³ Jedna z zagrywek. Każdy zespół ma swój system i sposób nazywania zagrywek.

⁶⁴ Slant - krótka ścieżka receivera, w której wykonuje on zwykle dwa kroki do przodu, a następnie skręca na środek pola pod kątem około 45 stopni, kontynuując bieg między linebackerami a safeties. Post - długa ścieżka receivera, w której biegnie on kilkanaście jardów przed siebie, a następnie ścina pod kątem około 45 stopni w stronę środka boiska. Curl - ścieżka średniej długości, w której receiver biegnie kilka lub kilkanaście jardów przed siebie, a następnie szybko się zatrzymuje i odwraca w stronę rozgrywającego.

⁶⁵ Ślepa strona - blind side; strona, w którą rozgrywający widzi gorzej z racji ustawienia ciała - dla praworęcznego rozgrywającego słabiej widoczną stroną jest lewa, dla leworęcznego prawa.

⁶⁶ Bowling Green Falcons - drużyna pierwszej dywizji futbolu akademickiego.

⁶⁷ Defensive tackle - w skrócie tackle - zawodnik linii defensywnej, ale tackle to także skrajny zawodnik linii ofensywnej.

⁶⁸ Zagranie, które wygląda jak akcja biegowa, jednak po zamarkowaniu oddania piłki do running backa rozgrywający wykonuje podanie górą w głąb pola.

⁶⁹ Bali State Cardinals - drużyna pierwszej dywizji futbolu akademickiego.

⁷⁰ Drop back - technika, w której rozgrywający po odebraniu snapa odbiega od linii ofensywnej, przygotowując się do podania. W tej technice wykonujący nogami przeplatankę zawodnik cały czas ma głowę skierowaną w stronę linii wznowienia, będąc w gotowości do wykonania podania.

⁷¹ Legendarny running back zespołu NFL Chicago Bears. Sayers miał przydomek „Kometa z Teksasu”.

⁷² Pocket - potoczna nazwa miejsca, w którym operuje rozgrywający, wykonując podanie. Pocket tworzony jest przez blokujących przeciwników graczy linii ofensywnej.

⁷³ Zawodnik trzeciej linii obrony, cornerback lub safety.

⁷⁴ Na 22 próby 18 udanych podań.

⁷⁵ Łapanie za maskę to nieprzepisowe, niebezpieczne zagranie, karane cofnięciem zespołu o 15 jardów. W tym przypadku za kolejne niesportowe przewinienie osobiste Nino został wyrzucony z boiska.

⁷⁶ Po zdobyciu przyłożenia zespół ma prawo podwyższyć za jeden lub dwa punkty. W pierwszym wypadku musi wykonać skuteczne kopnięcie z kilku jardów (odległość, z której kopie, zależy od ligi i jej przepisów) pomiędzy słupami bramki, a nad jej poprzeczką. W wypadku podwyższenia za dwa punkty zespół ma jedną próbę na wprowadzenie piłki w pole punktowe rywali.

⁷⁷ Rutgers Scarlet Knights - zespół pierwszej dywizji futbolu akademickiego. Czerwoni Rycerze wygrali pierwszy w historii mecz futbolu amerykańskiego, który został rozegrany 6 listopada 1869 roku w Nowym Brunzwicku. Rutgers pokonało Princeton 6:4.

⁷⁸ Underdog, zespół skazywany w meczu na porażkę. Dwudziestopunktowy underdog - zespół skazywany na dwudziestopunktową porażkę.

⁷⁹ Slippery Rock University of Pennsylvania - zespół drugiej dywizji futbolu akademickiego - de facto trzeciej ligi.

⁸⁰ W rozgrywkach szkół średnich funkcjonuje system zaszeregowania drużyn - 1A to drużyny ze szkół o najmniejszej liczbie uczniów, 8A to drużyny z największych szkół średnich w Stanach Zjednoczonych.

⁸¹ Southeastern Conference - jedna z najlepszych konferencji futbolu akademickiego w najwyższej dywizji.

⁸² Nagraniu wideo z poprzedniego meczu. Często trenerzy przed nadchodzącym meczem wymieniają się nagraniami wideo ostatniego starcia przeciwnika.

⁸³ Blitz - defensywna strategia, w której linebacker lub defensive back porzuca swoje normalne zadania i stara się wyrzucić presję na rozgrywającego. Udana blitz kończy się zwykle powaleniem rozgrywającego przed linią wznowienia akcji - tzw. sackiem.

⁸⁴ Saskatchewan Roughriders - zespół Kanadyjskiej Ligi Futbolu (CFL).

⁸⁵ Mecz o mistrzostwo CFL (najbardziej popularne wydarzenie sportowe w Kanadzie) i nazwa trofeum wręczanego nieprzerwanie co roku od 1900 roku.

⁸⁶ Dla Amerykanów rozgrywki college'owe to świętość większa niż NFL. Georgia, z której pochodzi Livvy, ma słynną drużynę uniwersytecką Bulldogów, która jest jednym z bardziej znanych programów futbolowych w konferencji SEC.

⁸⁷ Southeartem. Sposób grania w futbol, w którym akcja zatrzymywana jest w momencie, gdy zawodnik z piłką zostanie dotknięty przez jednego z obrońców. Zwykle stosowany jest w grze rekreacyjnej, w niewielkich składach jako substytut zrywania flag, które stosuje się w odmianie flag football.

⁸⁸ Najlepsze ligi półprofesjonalne lub profesjonalne afiliowane z Major League Baseball (MLB), stanowiące zaplecze jej drużyn.

⁸⁹ Letter- monogram np. drużyny futbolowej, noszony na odpowiednio skrojonych ubraniach, takich jak kurtka i bluza, który ma prawo nosić uczeń szkoły średniej lub coUege'u, gdy wystąpi w odpowiedniej liczbie meczów i/lub gdy osiągnie odpowiedni poziom sportowy. Lettermanem można być też, m.in. występując w przysportowej orkiestrze albo w innych przedsięwzięciach.

⁹⁰ Field goal. Jeżeli zespołowi nie uda się zdobyć przyłożenia, a dystans do pola punktowego rywali nie jest duży, drużyna wykonująca czwartą próbę może zdecydować się na premiowane trzema punktami kopnięcie z pola. Warunkiem dobrego kopnięcia jest, by piłka przeleciała pomiędzy słupkami, a nad poprzeczką bramki.

⁹¹ W NFL byłoby to absolutnie niemożliwe. Gdyby kibic usiłował przemycić racę, mógłby dostać dożywotni zakaz wejścia na stadion.

⁹² Lawrence Taylor - legendarny linebacker New York Giants, który w latach 80. XX wieku zrewolucjonizował grę na tej pozycji. L.T. grał z numerem 56.

⁹³ Skrajny zawodnik linii ofensywnej.

⁹⁴ Nie rzucono flagi sygnalizującej przewinienie.

⁹⁵ Gettysburg College Bullets - drużyna trzeciej dywizji futbolu akademickiego.

⁹⁶ Wake Forest Demon Deacons - zespół pierwszej dywizji futbolu akademickiego.

⁹⁷ Skrajny zawodnik linii defensywnej.

⁹⁸ Blocking sled - urządzenie treningowe przypominające wielkie sanie, przeznaczone do morderczego treningu blokowania.

⁹⁹ Słynny rozgrywający New York Jets, który przed starciem z faworyzowaną, uznawaną za jedną z najlepszych drużyn w historii - Baltimore Celts - wypowiedział do niedowiarków znamienne słowa „Wygramy ten mecz. Gwarantuję to”. Namath poprowadził Jets do szokującego triumfu.

¹⁰⁰ On-side kick - sposób krótkiego, ryzykownego kopnięcia, które pozwala wykonującym wykop odzyskać piłkę. Warunkiem odzyskania piłki jest to, by pokonała ona przynajmniej dziesięć jardów. Wtedy może zostać złapana przez zawodnika zespołu kopiącego. On-side kick stosowany jest zwykle w końcówkach meczów jako desperacka próba odzyskania piłki i uzyskania szansy na zdobycie punktów. Czasem zagranie to jest wykonywane, by zmylić przeciwnika.

¹⁰¹ Piłka w futbolu amerykańskim jest podłużna, o dwóch szpiczastych końcach, nie jajowata jak w rugby.

¹⁰² Wedge - sposób blokowania wykorzystywany w akcjach, w których piłka jest kopana, polegający na tym, że kilku zawodników, chcąc ochronić wykonującego akcją powrotną gracza, zbliża się do siebie, tworząc „klin” (wedge), który ma utorować drogę.

¹⁰³ Powalenie przeciwnika przez więcej niż jednego zawodnika.

¹⁰⁴ No huddle offense - sposób gry ofensywnej, w którym zawodnicy nie naradzają się po każdym zagranium, a po zakończeniu poprzedniej akcji ustawiają się w gotowości do rozpoczęcia kolejnej. Rozgrywający wywołuje zagrywkę już na linii wznowienia akcji. Ten typ ofensywy jest zwykle stosowany, gdy do końca połowy lub całego meczu pozostaje mało czasu. Taktyka ta jest też czasem stosowana do zmylenia rywali i uniemożliwienia przegrupowania formacji obronnej.

¹⁰⁵ Tailgating - zwykle masowe spotkanie towarzyskie, urządzone zazwyczaj w okolicach otwartego bagażnika w samochodzie. Tailgating jest niezwykle popularny w Stanach Zjednoczonych i jest właściwie nieodłącznym elementem meczów futbolu amerykańskiego - zarówno w wydaniu NFL, jak i akademickim. Na wiele godzin przed meczem olbrzymie parkingi przed stadionem zapełniają się raczącymi się potrawami z grilla i popijającymi piwo lub inne napoje wysokokowe kibicami.

¹⁰⁶ Radosny wykrzyknik bierze się tu stąd, że niewiele boisk, na których rozgrywane są mecze futbolu amerykańskiego, jest pełnowymiarowych. Szczególne problemy są z długością boiska - 120 jardów z polami punktowymi, czyli około 110 metrów. Szerokość pola gry nie jest problemem gdyż boisko do futbolu amerykańskiego spokojnie mieści się w boiskach piłkarskich.

¹⁰⁷ Czerwona strefa - tak potocznie nazywa się strefę zawierającą ostatnich 20 jardów do pola punktowego rywali, którą ma do przebycia ofensywa.

¹⁰⁸ Tight end - zawodnik linii ofensywnej uprawniony do złapania podania.

¹⁰⁹ Formacja ofensywna z trzema running backami, której zaletą jest duży potencjał w grze dołem. Formacja ta była wykorzystywana z największym powodzeniem w latach 70. i 80. W nowoczesnym, szczególnie zawodowym futbolu używa się jej bardzo rzadko.

¹¹⁰ Sytuacja goal ma miejsce wtedy, gdy do pola punktowego pozostaje mniej niż dziesięć jardów. Wtedy próby nazywane są np. pierwsza i goal, itp.

¹¹¹ Desperackie zagranie podaniowe zawdzięcza swoją nazwę dziennikarzowi, który opisał touchdown zdobyty w 1975 roku przez Drew Pearsona po podaniu Rogera Staubacha. Hail Mary polega zwykle na tym, że wszyscy skrzydłowi pędzą przed siebie, licząc na celne, długie podanie, które może dać zespołowi zwycięskie przyłożenie.

¹¹² Za nieprzepisowe niesportowe zachowanie drużyny.

¹¹³ Quarterback kneel - to zagranie, także nazywane formacją zwycięstwa, w którym rozgrywający po odebraniu piłki od centra natychmiast klęka na murawie, powodując zatrzymanie akcji, ale z racji tego, że jest ona traktowana jako akcja biegowa zatrzymana w boisku, czas na zegarze meczowym płynie. Taktyka jest wykorzystywana zwykle w końcówkach meczów, gdy zespół ma już zapewnione zwycięstwo, a potrzebuje zbić brakujące do zakończenia regulaminowego czasu gry sekundy z zegara meczowego. Wykonanie takiego zagrania minimalizuje ryzyko zgubienia piłki, jakie mogłoby się pojawić przy próbie biegu.

¹¹⁴ The Catch to zagranie z historii NFL- tzn. taką nazwę zyskało widowiskowe zagranie, którego autorem był duet - rozgrywający Joe Montana i skrzydłowy Dwight Clark. Miało to miejsce w meczu o mistrzostwo NFL w 1982 roku. Grający w San Francisco 49ers Montana pod olbrzymią presją podał w stronę będącego w polu punktowym Clarka, który wyskoczył do piłki i opanował ją końcami palców. To zdobyte na 51 sekund przed końcem meczu przyłożenie pozwoliło pokonać Dallas Cowboys i otworzyło drogę do XVI Super Bowl, w którym 49ers pokonali Cincinnati Bengals.

Od Autora

Kilka lat temu, zbierając materiały do innej książki, poznałem futbol amerykański we Włoszech. Jest tam prawdziwa NFL, z prawdziwymi drużynami, graczami, jest nawet Super Bowl. Tło i miejsce akcji przedstawiłem dość wiernie, chociaż jak zwykle, kiedy stawałem wobec groźby dokładniejszego sprawdzenia realiów, bez wahania pozwalałem sobie na swobodniejsze podejście do tematu.

Pantery z Parmy istnieją naprawdę. Przyglądałem się, jak na Stadio Lanfranchi grają w deszczu z Delfinami z Ankony. Ich trenerem jest Andrew Papoccia (z Illinois), a jego współpraca okazała się nieoceniona. Ich quarterback Mike Souza (z Illinois), wide receiver Craig McIntyre (z Eastern Washington University) i koordynator defensywy Dan Milsten (z University of Washington) bardzo mi pomagali. Odpowiadali na wszystkie moje pytania dotyczące futbolu, a kiedy chodziło o jedzenie i wino, ich entuzjazm był jeszcze większy.

Właścicielem Panter jest niezwykle serdeczny Ivano Tira, który zadbał, bym cieszył się moim krótkim pobytem w Parmie. David Montaresi oprowadzał mnie po tym uroczym mieście. Dawni gracze, Paolo Borchini i Ugo Bonvicini, pomagają zarządzać całą organizacją. Pantery to grupa twardych Włochów, którzy grają z miłości do futbolu i za pizzę po meczu. Pewnego wieczoru zaprosili mnie po treningu do Polipo - uśmiełem się wtedy do łez.

Ale wszystkie postaci w tej powieści są fikcyjne. Dokładałem wszelkich starań, żeby nie kojarzyły się z rzeczywistymi osobami. Wszelkie podobieństwa są więc całkowicie przypadkowe.

Podziękowania niech przyjmą także Bea Zambelloni, Luca Patouelli, Ed Pricolo, Liana Young Smith i Bryce Miller. Ogromnie dziękuję burmistrzowi Parmy Elvio Ubaldiemu za bilety do opery. Byłem gościem honorowym w jego łoży i bardzo mi się podobał *Otello* wystawiany w Teatro Regio.

John Grisham
27 czerwca 2007